

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 138.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

M a j.

TOM II. — ZESZYT V.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 29 kwietnia 1875

# T R E Ś Ć.

	stron.
I. HISTORIA. Wyznania religijne w Indyach Wschodnich i wpływ jaki na nie wywarły rządy angielskie. Przez Adama Sierakowskiego. . . . .	173
II. POWIEŚĆ. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. . . . .	192
III. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i artystyczna.—Dzieło p. Wallon: Ludwik święty i jego czasy.—Sorbona: stan nauk i sztuk pięknych. Pieśni Truwerów. Katedry XIII-go wieku. Architektura francuzka.—Przyjęcie do akademii prof. Caro.—Historia literatury współczesnej w Rosyi p. Courrière.—Życiorys Juliusza Janin, przez p. Piedagnel.—Pieśni Żołnierza p. Derouledé.—Pani Ancelet.—Tragedya Karol Wielki, p. Rene Fabert.—Komedyja Niedzięczni, przez Juliusza Claretie.—Teza doktorska panny Stefanii Wollckiej: Griechische Frauengestalten. Edgar Quinet.—Agrykol Perdiguier, reprezentant robotników francuzkich w Izbie 1848 r. . . . .	240
IV. NAUKI SPOŁECZNE. Przesilenie spekulacyi w 1873 roku, czyli Krach wiedeński. Przez Al. Oskierkę. . . . .	270
V. SZTUKI PIĘKNE. Przegląd teatralny. Przez Ed. Lubowskiego . . . . .	285
VI. KORRESPONDENCYA. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez —o— . . . . .	315
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. T. I, Warszawa. Nakład Świdzińskich. 1875 roku (w wielkiej 8-ce str. 193). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . .	322
Wicé Paczółtowice (monografia) przez Józefa Louis, w Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego, 1874 r. (w 12-cc, str. 174). Przez Wł. . . . .	330
Dawny zabytek języka polskiego w Żywocie Ojca Amandusa. (Opisał ks. Ignacy Polkowski z jedną tablicą podobizny. Gniczno, 1875 rok. Przez Feliksa Jozierskiego. . . . .	332
Sprawozdanie komisji konkursowej i rozdanie nagród za utwory sceniczne w r. 1875. Rok V. Nagrody hrabiów Fr. Lubińskiego, Art. Potockiego, p. Lud. Oraczewskiego i dyrekcji teatru krakowskiego. Krakow, w druk. L. Paszkowskiego. 1875, w 18cc, str 33. Przez R. . . . .	335
1) Pamiętnik Warszawskiego Inst. głuch. i ociemniałych z roku szkolnego 1872/3, rok IV. Warszawa, r. 1873, 8ka więk. str. 276 i LII. 2) Tenże Pamiętnik z roku szkolnego 1873/4, rok V, 1874, str. 317 i XLIII. 3) Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki	

*(Dalszy ciąg na trzeciej stronie okładki).*



De. II. 1.

WYZNANIA RELIGIJNE

## W INDYACH WSCHODNICH,

i wpływ jaki na nie wywarły rządy angielskie.

PRZEZ

*Adama Sierakowskiego.*

Dla łatwiejszego rozpatrzenia się w kwestyi, jaki wpływ wywarły rządy angielskie na wyznania religijne w Indyach Wschodnich, wypada mi przedewszystkiém skreślić główne *zasady* przodujących w Indyach religij i *stan* ich obecny. Przeszło 150 mil. Indyan lgnie dziś jeszcze do *Brahmanizmu*, jego rozmaitych wyznań i sekt. Żadna z ważniejszych religii tego świata, nie jest nam tak mało znaną, jak Brahmanizm. Tylko Niemcy, przynęceni zapewne zawziętością i wielością systemów filozoficznych z téj religii się wyłaniających, rzucili się z całym zapałem do jój rozpoznania. Ale ani dzieła Dunckera, Lessera, Webera, professora Maxa Müllera, ani téż poszukiwania angielskiego uczonego Muira, nie rozświetliły dla nas ciemnicy Brahmanizmu. Bābu Rajendralala Mitra, uczony Hindu z Kalkuty, obeznany dokładnie z literaturą angielską i niemiecką, zapewniał mnie, że żaden z jego ziomków w opisach Maxa Müllera swojej religii nie pozna, ale że i oni sami dokładnego pojęcia o niój nie mają, bo najdawniejszych ksiąg ich świętych, mowa już im jest w wielkiej części niezrozumiałą, tak, że czasem nawet przyjmują wskazówki europejskich uczonych, jako na głębszej sanskrytu znajomości oparte.

Wedle najnowszych poszukiwań naszych uczonych, streszczonych przez Wurma w jego dziele: „Die Indischen Religionen” Brahmanizm dzisiejszy opiera się na zasadzie pantheizmu. Najdawniejsza forma téj religii, tak, jak ją nam święte księgi *Rig-Veda* znane, podają, nieco inny przedstawia obraz od dzisiejszego Brahmanizmu. Max Müller nazwał religią Rig-Vedów *Kathentheizmem*, bo czytającemu spisane tamże modlitwy do pojedynczych bogów, zdawać się może,



jakoby każdy z tych bogów był najpierwszym i najpotężniejszym. Nazwy owych bogów wskazują na najważniejsze zjawiska w przyrodzie, zwłaszcza na zjawiska światła. Można by tedy podsunąć Brahmanizmowi pierwiastek monotheistyczny: jedna wszechpotężna istota ubóstwiana jest w najważniejszych zjawiskach przyrody, jako ich sprawczyni. Ale zagłębiając się dalej w czytaniu Vedów, wnet innego nabierzemy przekonania, bo i objawy ludzkiej religijności, jako ogień ofiarny, modlitwa, nawet *przedmioty* ofiarne, wciągnięte są w zakres bóstwa, słowem wszystko do pantheizmu skierowane. Rumaki ciągnące rydwan Sūryi boga słońca, pod nazwą „*Aṅvin*“ bożkiej czci doznają. Rig-Veda podają nam nazwiska 33 bogów, dzisiejsi Brahmani liczą ich 330 mil. Wielu bogów uosabia abstrakcyjne, ogólne pojęcia. *Aditi* jest bogiem nieskończoności w przestrzeni. Synowie *Aditi* są znowuż bogami czysto-duchowego charakteru, „bo nie mają ani prawicy, ani lewicy, ani przodu, ani tyłu.” Wszystko przenikają, jak wszechobecne światło, widzą dobre i złe w sercu ludzkim, różnią pocziwego człowieka od oszusta. Niecierpią i karzą zbrodnicę i strzegą od władzy *Daemonów* (R. V. II 27). Inni bogowie nie są czém innym, jak duchami *źródeł, drzew, rzek*, lub do godności bogów podniesionemi ludźmi. O *Stwórcy* wszechświata, w Vedach się nie doczytasz.

Światło w Wedach jest objawem boskości. O ile człowiek ogień roznieca na ziemi, o tyle jest zdolen coś boskiego stworzyć; myśl ta charakteryzuje panteizm indyjski. Bogowie dzielą się na bogów nieba, powietrza i ziemi. Bogowie na ziemi są to objawy ludzkiej religijności, uosobione w postaci boskiej. Są niemi 1-o: *Agni*, bóg ogniska; 2-o: *Sōma*, właściwie bogom podawany trunek ofiarny z łydąg *aselepias acida* i *sacrostema vininale*, dobywany sok, który ponieważ upaja, ma skryty w sobie ogień, a zatem jest boski. 3-o: *Brahmanaspati* (*Brihaspati*) bóg modlitwy, z którego później bóg *Brahma* powstał. Zwie się ojcem bogów, bo bez modlitw i ofiar ludzi, nie mogą bogowie światem rządzić. *Ludzka pobożność jest jedynym niezbędnym czynnikiem w świecie. Bogowie nie mogą ani żyć, ani działać bez nabożnych ludzi.* I u *Aryów*, i u *dzikich*, (wyznających religie czarów), człowiek może zmusić bóstwo przez modlitwy do wysłuchania swych prośb, z tą wszelako różnicą, że dzicy wyznawcy Fetysizmu i Szamanizmu do nieprzyjaznych demonów, a aryjskie szczepy do złydzających bóstw się modlą, by im dodały potrzebnej do zwalczania złych duchów siły. *Koeppen* mówi, że ta potęga modlitwy, znamionuje Brahmanizm i Buddyzm zarówno. Nabożne usposobienie i pokuta są silniejsze od wszystkich bogów, a duchowny i pokutujący asceta, staje na równi z bogiem. Nie dziw tedy, że z czasem Brahmani w Indyi stali się bogami na ziemi. *Brahma* w rodzaju męzkim oznacza pobożnego; *Brāhma* zaś w rodzaju nijakim, znaczy to, co jest wielkie, godne uczczenia; połączenie modlitwy z ofiarą, w czém, wedle wyobrażeń indyjskich, leży zarazem *twórczość*. Po śmierci, nabożny

człowiek idzie do raju, równie zmysłowo w Vedach, jak w Koranie opisanego. O wędrówkach duszy z ciała do ciała, czyli o metempsychozie, jeszcze Vedy nie wspominają. Przez spalenie ciała umarłego, ofiaruje go się niejako bogom, i nieboszczyk dostaje się w skutek tego do stref niebieskich. O paleniu wdów po śmierci mężów w Vedach nie ma wzmianki. Zwyczaj ten dopiero później się zakorzenił.

O piekle także nie wiele co wyczytać można. Było ono głównie przeznaczone dla nieprzyjaciół politycznych, zaborecznych szczepów aryjskich.

Idea przewodnia Brahmanizmu, że modlitwy i ofiary muszą skutkować, bo ich wysłuchanie nie jest łaską, ale obowiązkiem bogów, naznaczyła naturalnie od najdawniejszych czasów najwyższe w społeczeństwie stanowisko Brahmanom, czyli duchownym. Wpływ ich łatwo sobie wytłumaczyć: panteizm indyjski nie znał osobistego boga; wprawdzie wystawiali sobie Hindusowie bogów swych, jako osobistości, ale to tylko, jako wyższą, doskonalszą kategorią ludzi, albo jako produkt ludzkiej pobożności i poetycznych utworów fantazyi: w każdym razie Hinduś nie znał istoty żadnej w niewidzialnym świecie, od którejby się czuł bezpośrednio zależnym. Skutkiem tego byłby mógł łatwo całkiem religią stracić. Ale temu jego usposobienie nabożne i wierzące, sprzeciwiło się; nie mu tedy nie pozostało, jak rzucić się w objęcia Brahmanów i ich na ziemi ubóstwiać. W najpierwszym tedy ustroju społeczeństwa aryjskiego, widzimy na pierwszym miejscu Brahmanów, czyli księży; pod niemi lud wierzący w wojowników i kupców złożony, a na najniższym szczeblu zawojowane przez nich ciemne szczepy turańskie *Cudra* zwane, owych autochtonów Indyi, którzy religią najeźdźców przyjęli.

Podział społeczeństwa aryjskiego na tysiączne kasty dopiero z czasem nastąpił. Z postępem czasu także i religia Vedów znacznym podległa zmianom.

Piewcy Vedów naprózno się starali wytłumaczyć powstanie świata czynnością rozlicznych twórczych bogów. Natomiast późniejsze szkoły filozofujących Brahmanów postawiły jeden pierwiastek stworzenia, *Brahma* zwany. Razem ze światem powstało i zło. Świat z *Bráhmny* wy płynął. Wszystko zaś powstaje i kończy się w sposób następujący: jeden prąd idzie od *Bráhmny* do świata, jakoby rzeka, która im dalej od swego źródła odpływa, tém mętniejszą się staje od złego. Człowiek rzucony w jej nurty po życiu pełném bóleści umiera, ale na to tylko, by się na nowo odrodził w ciele ludzkim lub zwierzęcym i żył dalej mniej lub więcej szczęśliwy, wedle tego czy w poprzednim żywocie dobrze lub źle się sprawował. Od tego wiecznego kołatania się po ciernistych drogach życia, wyzwala tylko *asceza*. Asceta daje pierwszy pochop do drugiego odwrotnego prądu, od świata nazad do *Bráhmny*. Ponieważ zło powstało razem ze światem, świat musi zatonać w *Bráhmie*, jeśli ma być złe usuniętem. Życie ludzkie i jego

przedłużenie przez transmigracyą duszy w coraz to inne ciała jest męką, a zatem zbawieniem (mókscha) może być tylko powrót do pierwiastku wszechstworzenia, pochłonięcie w Bráhmie, a do tego prowadzi asceza.

Wedle Wuttkego, *Bráhma* nie jest niczém inném jak naturą sprowadzoną do swój jedności. *Bóg jest owym kielkiem, z którego świat powstał. A zatem Bóg i świat są jednym, a między nimi jest tylko różnica formy.* Otóż rdzeń pantheizmu indyjskiego! Bráhma nie jest wprawdzie grubą widzialną materią, ale siłą twórczą i pobudzającą; nie jest duchem, nie myśli, ani chce, nie jest zatem osobistością. Jest tylko maską pod którą się ukrywa zasada jedności przyrody! Owo abstrakcyjne Bráhma dostaje formę mytologiczną w osobie boga Bráhmy o czterech głowach, dla którego wszelako nigdzie nie budują świątyni, i który jest tylko najwyższym bogiem szkoły filozofów i teologów, a nie ludu. Świat bez pierwiastku złego ostać się nie może, człowiek doń jest przykuty nieubłaganą regułą ciągłych odradzań się po śmierci. Póki ascetyczne życie nie uwolni go od konieczności metempsychozy, a on pochłonięty przez wszechwórczy pierwiastek, Bráhma nie zatraci indywidualności swój. Pojmijmy teraz łatwiej zapał, z jakim indyjscy asceci, *vulgo* „*Fakirami*” zwani, najstraszliwszym samowolnie się poddają katuszom i umartwieniom, i ogólny szacunek jakiego zażywają. Dawniej tylko najwyższym kastom społeczeństwa indyjskiego dozwoloną była asceza. Niższe musiały czekać cierpliwie, aż na drodze transmigracyi ich duszy w ciało jakiej wyższej kasty człowieka, użyczą kwalifikacyę do rozpoczęcia życia ascety.

Metempsychoza indyjska następniemi się powoduje zasadami: Kto cnotliwie żyje, i Vedy dobrze rozpozna, po śmierci jako *bóg* w niebie się odrodzi; kto nie ma upodobania w dobrem, zmysłowy i niestały jest, a namiętnościami się powoduje, jako *człowiek* się odrodzi. Kto jest śpiący, okrutny, chciwy, bogów się wypiera, jako *zwierzę* się odrodzi.

Przy odrodzeniu się jako zwierzę Hindusowie mają właściwości tych zwierząt na uwadze, i tylko człowiek z odpowiednią wadą charakteru w ich ciele się odradza. I tak złodziej owoców odrodzi się jako małpa, złodziej koni jako tygrys, (Manu XII, 55). Wreszcie i piekłem grożą grzesznikowi, ale ani w piekle, ani w niebie pobyt nie jest wieczysty; jestto tylko jedna stacya wędcej na drodze wędrówek duszy.

Na tych podstawach wyrobił się powoli Brahmanizm w swój dzisiejszej postaci. Liczba bogów doszła w prawdzie milionów, ale wciągnięto ich coraz bardziej w zakres człowieczeństwa. Ażeby rażący dla pantheisty kontrast między bogiem a światem ile można zagładzić, bogów ściągnięto na ziemię: wielogłowne i wieloręczne statuy bóstw w dzisiejszych pagodach indyjskich oznaczają wybitnie, że bóg jest niczém innem jak spotęgowanym człowiekiem. To téż ile razy bóg jaki chce czynnie się wmisczać w sprawę tego świata, musi zestą-

pię poprzednio na ziemię, wcielić się tam w człowieka, a czasem nawet w zwierzę, i w tej inkarnacji jako „*Avatára*” ludziom grzesznym dotykalnie dać uczuć przewagę swej siły w czynieniu dobrego a odwracaniu złego. System *Avatárów* Vedom nie znany, dopiero w Mahábháracie objawia się w następném zdaniu: „Ile razy o prawach ludzie zapominają, a niegodziwości się na świecie szerzą, *Vischnu* zstępuje na ziemię w jakiejkolwiek postaci” (Bhag. Gítá. IV, 6). Ale dopiero w najnowszej epoce Brahmanizmu, w jego walkach z Budyzmem, nauka o *Avatárach* stała się na całym półwyspie Indyjskim popularną.

Panował w III wieku przed Chr. król Kansa w Mathurze nad rzeką Dżumną. Gdy przebrała się miarka niegodziwości jego, *Vischnu* na prośby uciskanego przez owego króla ludu, zstąpił na ziemię jako *Krischna*. *Krischna* wnet zabił Kansę, ale mimo dokończenia swej misyi, długie lata jeszcze na świecie przebywał, i nie zawsze ściśle drogi cnoty się trzymał, równie potężny będąc w czynieniu dobrego jak w brojeniu złego. Przytoczyłem ten przykład, by nie nasunęło się komu z mych słuchaczy porównanie Awetarów z Chrystusem, lub nawet i z Buddhą.

Z pomiędzy nieprzebranego szeregu bóstw indyjskich dwa zyskały sobie obecnie największą że tak powiem popularność: 1) *Vischnu*, który zstępując często między ludzi jako *avatára*, zachowuje i strzeże porządku na świecie, a regulując bieg słońca zapewnia stałość odwiecznym prawom przyrody; słowem zachowawczy przedstawia element w wszechświecie, 2) *Siva*, najsilniejszy z bogów, niszczący złe, a przez niszczenie złego wciąż odradzający ludzkość. Do tych dwóch bogów dołączywszy *Brahmę*, jako pierwiastek wszechstworzenia, otrzymujemy Brahmańską *Timurti*, czyli Trójęc, ale nie w chrześcijańskiem znaczeniu tego słowa. Każdy z tych trzech bogów jest osobistością dla siebie, każdy ma osobny zakres działania: *Brahma* tworzy, *Vischnu* utrzymuje, *Siva* niszczy co rozwojowi przeszkadza; ale wspólném działaniem ci trzej bogowie utrzymują świat w swej terażniejszej postaci i najprzedniejsze zajmują miejsca w pantheonie indyjskim, a Brahmani, by ludowi indyjską *kosmogonię* wytłumaczyć, nowe do świątyni wstawiają bożyszcze, na jednym tułowiu trzy głowy osadziwszy.

Hindusowie do dziś dnia poddają się chętnie władzy licznej kasty Brahmanów, czyli księży. Ale że władzy centralnej hierarchia indyjska nie ma, więc naród rozpadł się na tysiączne wyznania i sekty. Na północy i zachodzie przeważają *Vischnuici*; na południu Indyi przeważa kult *Siwy* i jego symbolu *linga* zwanego, a odpowiadającego *Phallusom* i *Priapom* grecko-rzymskiej mytologii. Kastowość do najwyższego stopnia się rozwinęła na podstawie narodowych i politycznych odcieni, urzędów, rzemiosł i wszelkiego rodzaju zajęć ludzkich. Najmniejsze przekroczenie praw kastowych, jako np. zetknięcie się bliższe z cudzoziemcem, podróże w obce kraje, czynią przestępcę nieczystym. Ale równie łatwe jest oczyszczenie. Wystarczy ku temu

datek pieniężny dla najbliższej mieszkającego Brahmana, napicie się gangesowej wody, lub potarcie się odchodami za świętą uważanej krowy. Brahmani na krok nie odstępują Hindusa, który im się przez całe życie opłacać musi; życie Brahmana 15 sakramentalnych obrzędów dzieli na tyleż ważniejszych odstępów. W kście Brahmanów dużo jest takich co jako *Laukika* świeckim oddaje się zajęciom w wojskowości, policyi, handlu i przemyśle. Tylko pługa niewolno się dotykać pod żadnym warunkiem. Tysiące napół nagich, obrzydząco pomalowanych *fakirów* i *zebraków* wszelkiego gatunku w całych Indiach utrzymuje po dziś dzień wiarę w zastugę i skuteczność *ascety*. W świątyniach głównie tylko Brahmanów widać modlących się i bogom ofiary składających, lud natomiast ma upodobanie w wielkich świętach (*mela* zwanych), a nasze odpusty przypominających, na które setkami tysięcy z blizkich i dalekich stron się zbiera. Wszystkie te święta ubarwione są łagodną wesołością Hindusa. Niektóre pełne są szczytnęj poezyi.

W Jabalpór raz w rok zaraz po peryodzie deszczów, gdy czas siewów pszenicy nadchodzi, cała ludność wylega nad świętym stawem świątyni Parasnatha, i wrzuca do wody wykietkowane w ciepłe pokojów ziarnka pszenicy na błogosławieństwo siewom, wśród muzyki, śpiewów, i przy sztucznych ogniów oświecłaniu. W Delhi rok rocznie cała ludność zbiera się na długim pasmie pagórków „*ridge*” przez Anglików zwanym, by modlić się wspólnie za umarłych w ciągu roku.

Z Brahmanizmu wywiązał się w VI wieku przed Chr. Buddyzm, a choć dziś zaledwie 2—3 milionów ludzi na wyspie Ceylon i w kilku zakątkach południowego stoku Himalayów Buddyzm w Indiach wyznaje, jednakże niepodobna zupełném go pominąć milczeniem, bo posłuży do lepszego zrozumienia Brahmanizmu. Syn królewski z Kapilarastu Sákya Muni, wystąpiwszy jako reformator Brahmanizmu, przejął od niego naukę o konieczności złego na świecie i o metempsychozie, a ogłosiwszy się *Buddą*, t. j. *rozbudzonym*, *wiedzącym*, ogłosił religię bez boga, religię tegoczesności, tchnącą humanizmem i racyonalizmem, religię bez dogmatów ale z kodeksem moralnym, dorównywającym nieledwie chrześciańskiemu. Pantheizm monistyczny charakteryzuje Brahmanizm; człowiek pobożny wiecznie zwraca się od wielości jestestw do ich boskiego pierwiastku, Brahmy, *od obwodu koła do jego środka*. Tylko Bráhma istnieje rzeczywiście, wszystko inne przeznaczone jest na absorpcyą przez Bráhme. Buddyzm nie zna bogów, ale zna pojedyncze dusze ludzkie; trzymając się *obwodu koła*, neguje środek, t. j. Bráhme. Przyznaje istnienie wielu a wielu światów, po sobie i obok siebie istniejących. Świat powstaje przez niepohamowaną ochotę istnienia owych dusz; a odkąd się one w bolesne więzy życia wplątały, straszne prawo ciągłych odradzań się przykuwa je do świata, a zatém i do boleści. Bolesć i cierpienie od ludzkich żądź i namiętności nierozdzielne, mogą przeto tylko ustać, gdy i dusza żyć



przestanie, na co Buddyzm wymyślił wyraz *nirvāna*. Buddha wskazał ludzkości, zdjęty litością nad jej cierpieniami, środek do dostąpienia swego *nirvāna*, wskazał go wszystkim bez różnicy kast i narodowości. Środkiem owym jest życie ascetyczne.

Ale asceza Buddy różni się znacznie od ascezy Brahmanizmu, bo jest nie tylko wyższym, ale i niższym kastom społeczeństwa dostępną, i nie zależy na okrutnym i bezmyślnym katowaniu ciała, ale na systematycznym powściągnięciu namiętności, wedle przepisów wzniosłej etyki Buddyzmu.

Przepisy owe przypominają nam II tablicę dekalogu, o ile Buddyście nie wolno zabijać, kraść, cudzołożyć i kłamać. Ćwiczenie się w 6-ciu cnotach głównych jest mu przepisane, a są niemi: 1) jałmużna, 2) ubóstwo, 3) cierpliwość, 4) odwaga, 5) rozpamiętywanie, 6) nauka, i dwie dodatkowe: 1) poskramianie się w mówieniu i 2) skromność.

Z rozlicznych przysłów Buddy jedno tylko wspomnę:

„Człowiek grzeszny cnotliwego obmawiający podobny do kogoś, co w górę patrząc w niebo pluje; *ślina* nieba nie dotknie, ale spadnie na plującego i obryzga go.”

Dla ułatwienia ascezy zaprowadził Buddha życie klasztorne, oparte na ślubach ubóstwa, czystości i posłuszeństwa; chrzest dzieci, publiczna spowiedź i rodzaj mszy za dusze zmarłych wchodzi także w skład Buddyzmu. Wnętrze świątyni Buddhystowskiej, jej ołtarze strojne w kwiaty i figury, mocno przypominają nasze katolickie kościoły. Asceza uwalnia od odrodzenia się na nowo na świecie i zapewnia *nirvāna*. *Nirvāna* znaczy u jednych tyle, co „cessatio existentiae,” u drugich oznacza stan, w którym dusza traci poczucie owój indywidualności. i wraca do tego stanu spokoju i niewrażliwości, w którym się znajdowała zanim zawiął wiatr stworzenia; *nirvāna* oznaczałaby wtedy *przewianie* ochoty do bycia i działania. Oba te pojęcia „*nirvāny*” niewątpliwie prowadzą do najczystszej *nihilizmu*, i bez wątpienia Sa-kya Muni „*nirvāne*” w jednym lub drugim sensie miał na myśli. Ale równie niewątpliwym jest, wiem to od najpierwszych uczonych indyjskich, że dzisiejsi Buddyści tłumaczą sobie *nirvāne* jako zwycięstwo ducha nad ciałem, i stan błogiego spokoju ztąd wynikający, w którym się wszelako nie traci poczucia swój indywidualności. Buddyści w Chinach poszli jeszcze dalej, i pobyt w *zachodnim raju Amittbhy* z *nirvāną* identyfikują.

*Sakya Muni* umierając zapowiedział, że za 5,000 lat nowy Buddha na świat zstąpi, by nowem objaśnieniem zasilić zakon Buddyzmu. Będzie nim jego uczeń Maitrēya.

Buddyzm w Indyi nie przemógł na zawsze Brahmanizmu, bo się targnął na duchowieństwo i na kastowość. Po kilku wiekach istnienia ustąpił z całych prawie Indyi między r. 700 a 1,100. Gdy r. 1872 z panem Shewing ruiny Buddhystowskiego klasztoru w Sarnath przy Benares zwiedzałem, uczony ten misionarz podniósł z ziemi cegielkę, na której było wypalone *Credo* Buddhystów: „Buddha (Dharm-

ma) znał przyczyny istnienia rzeczy ziemskich, ale poznał téż i przyczyny ustania wszelkiego istnienia (niroriti, *nirvān*).

W zachodniej części półwyspu Indyjskiego napotyka się tu i owdzie tak zwanych *Dżinów*, zwolenników sekty, która z połączeniem Buddyzmu z Brahmanizmem wynika. Czczą oni 24 *Tirthankrów*, czyli śmiertelników, którzy *nirvāny* dostąpili. Światem, który wedle nich od wieków trwa, i nigdy trwać nie przestanie, rządzi *Dżinan*, od którego nazwanie swęj religii wywodzą. Czczą przytém jednak i niektóre bóstwa Hindusów, jako to Indrę, Ganészę, Humayuna, Sarasvati i Devi. Niektóre przepisy religijne Dżinów są bardzo oryginalne: i tak nie wolno im handlować mydłem, solą, indygo i żelazem. Nie wolno im jeść pod gołym niebem, gdy zacznie padać, lub się ściemni, ażeby przytém jakiej muszki przypadkiem nie potknęli; nie wolno im zostawić naczyń z płynem nieprzykrytego, by się jaki owad w nim nie utopił. Wodę mają 3 razy przez płótno przecedzić zanim ją wypiją, a pod wiatr nie chodzić bez kawałka białej tkaniny *Mahomāti* zwanęj przed ustami, by uchronić się od potknięcia jakiego owadu. Na półwyspie Kattiyawar w Satrundżaja koło Palitany zwiedziłem najświętsze miejsce Dżinów. Na górze 1,000 stóp wysokości, a trudno dostępnęj, rozsiadło się 400 przeszło świątyni, bulbiaste a przeciężone ozdobami kopuły wznosząc ku niebu na znak ofiarności i bogactw wyznawców Dżinana. Ale że sekta Dżinów nie ma żadnego politycznego znaczenia w Indyach, więc nie będę dalej o niej się rozwodził. W okolicy *Jabalpur* zwą Dżinów „Parwari” od wzajemnej pomocy, którą sobie w każdej potrzebie dawać zwykli. Trudnią się kupiectwem i są zamożni. Mahometanie, po wyznawcach Brahmanizmu, najliczniejszą tworzą społeczność religijną w Indyach, bo liczą 30 przeszło milionów. A duch wojowniczy tchnący z wszystkich ich instytucji religijnych, i tradycją 7-miu wiekowego panowania nad Indyami sprawia, że są zarazem najnieprzyjaźniejszym i najniebezpieczniejszym dla Anglików elementem wśród 200 milionowej ludności Indyi. Mahometanie Indyjscy ściśle się trzymają Islamu. Uderzającą jest różnica pomiędzy świętami ludowemi Mahometanów, a Hindusów. Żadna procesya mahometańska nie obejdzie się bez udawanych bójek umyślnie ku temu przyuczonych szermierzy, i bez dzikich okrzyków; charakter wojenny, zaboreczy zwolenników Islamu wszędzie przebija. Natomiast łagodni Hindusowie wolą się przy podobnych świątecznych obchodach obrzucać farbą czerwoną i żółtą, stroić się w kwiaty chryzanthemum, róż i jaśminu, i dobywać monotonne dźwięki z gitar o 2-eh strunach. Opanowanie Indyów przez Anglików wywołało w łonie społeczeństwa mahometańskiego sektę Wahabitów, fanatyków religijno-politycznych, którzy w Islamie tém są, czém wedle opinii *protestantów* są Jezuici w katolicyzmie.

Wpływ muzulmanów na brahmańskich Hindusów wywołał sektę *Sikhów* w Pandżabie, założoną w XV w. przez Nānak-Schaha, który starał się połączyć islam z brahmanizmem. Jeden z jego następców

Gura Govinda przerobił Sikhów na polityczne stronnictwo, z którego się wnet państwko wojskowe wyrobiło przez zlanie za przewodem islamu religijnego żywiołu z politycznym w jedno. Od 1849 roku Sikhów był polityczny ustak, i zostali poczęści wcieleni do anglo-indyjskiej armii, wśród której walecznością i karnością nieledwie pierwsze zajmują miejsce. Jeszcze w roku 1856 Dyal Das jako reformator religii Sikhów wystąpił, ostatnie bożyszcze brahmańskie z ich świątyni w Umritsur wyrugował, na *duchowość* boga większy od swych poprzedników położył nacisk i wszelkie różnice kast zniósł. Dzisiaj żyje blisko 900,000 Sikhów w Indyach.

100,000 Parzów osiadłych w Bombay i miastach nadbrzeżnych Guzeratu przechowało dotąd wiarę Zoroastrową w jednego Boga stwórcy, Ormuzda i Ahrimana, jako przedstawicieli żywiołu dobrego i złego na świecie. Dotąd przechowali święty ogień z Persyi wyniesiony w świątyniach swoich, gdzie płomień palącego się wiecznie wonego drzewa sandału, unosi wraz z dymem ku niebiosom modlitwy nabożnych *dasturów*.

Żyją jeszcze w Indyjskich górach i niskich bagnistych okolicach resztki owych ludów Turańskich, które przed najściem aryjskiem cały półwysep zamieszkiwały. Są to indyjscy tubylcy, autochtoni, dzicy zupełnie. Religie tych ludów przypominają szamanizm północo-azyjski. Gdziekolwiek napotka się na ślady dziecięcego, nieświadomego siebie monotheizmu. Ale, jak jeden ze szczepu Kółów naiwnie się wyraził: „Sing bonga—czyli duch słońca—w niebie jest wprawdzie wszechmocny, ale on jest *zadaleko* od nas!” Natomiast ogólną jest cześć dla bożyszców, przez aryjskich najeźdźców *Bhuta*, czyli stworzone istoty, nazwanych. Bhuty te przedstawiają zmarłych ludzi, co za życia byli wielkimi tyranami, czasami straszne zjawisko natury, drapieżne zwierzęta. Szanarowie w obwodzie Tinnewelly czcili jako Bhutę kapitana angielskiej armii Pole, poległego i pogrzebanego w ich okolicy r. 1809. Na grobie jego składali ofiary z cygar i wódki, by przebłagać niespokojnego ducha tego straszego Anglika. Wśród szczepów autochtonów wielkiej prowincyi Orissa przebąkiwano nieraz o *ofiarach ludzkich* na przebłaganie zagniewanych demonów; ale dowodów na to nie mamy. Wiara w złe duchy, czarownice i widma, połączona z czcią dla owych *Bhutów* nadaje religiom owych szczepów znamię bojaźni niewyrozumowanej przed nadprzyrodzonym, lub szczególnie dla człowieka niebezpiecznym. Dziwna rzecz, że ci dzicy i nieokrzesani tubylcy Indyj chętniej i łatwiej dają się do chrześcijaństwa nawracać, od wykształconych i ucywilizowanych Brahmanów i Buddystów. Jakoż blisko połowa nawróconych do chrześcijaństwa Indyjczyków czciła dawniej Bhutów, wierzyła w widma i czarownice. Wiadomość tę mam od misjonarzy bazylejskich w południowych Indyach.

Pobieżnie przeszedłem główne religie nie chrześcijańskie Indów. Pozostaje mi powiedzieć teraz o *chrześcijaństwie* w Indyach, i o wpływie jaki rządy angielskie na ustrój religijny w Indyach wywarły.

Gdy Portugalczycy na samym początku XVI stulecia w Goa się osiedlili, zastali już garstkę od kilku wieków zachodnie Indye zamieszkujących *chrześcian*, tak zwanych Tomaszowych. Ci chrześcianie byli się odszczepili od Rzymu wraz z Nestoryanami, wywędrowali potem do Indyj, gdzie w VI i VII wieku potężne i kwitnące mieli osady. Później wszelako podupadli i tylko mała ich liczba utrzymała się w Koczin.

Arcy-katolicy, podówczas Portugalczycy zabrali się z całą gorliwością do szerzenia chrześcijaństwa pomiędzy krajowcami: żywem słowem misyonarzy, złotem, mieczem i ogniem.

Przyszedł im skutecznie w pomoc święty Franciszek Ksawery w roku 1542. Był to największy misyonarz, jaki kiedykolwiek żył i nauczał. Setki tysięcy pogan w kilku latach ponawracał, i do dziś dnia nawet *pogańscy rybacy* blisko Madras, w pieśniach swych jego nazwisko jako bohatera ludowego wspominają. Dzieło świętego Franciszka poprowadziły dalej misye jezuickie w południowej Indyi, powodzenie swe zawdzięczając głównie temu, że nie żądano od nawróconych by się swęj kasty wyrzekli, a dozwolono im zachować te wszystkie obyczaje, które się nie sprzeciwiały wręcz chrześcijaństwu. Wnet wszelako za wielkie im w tym względzie porobiono ustępstwa, co ściągnęło misyi katolickiej w Indyach naganę Rzymu.

Gdy tak na południu Indyów dzięki zabiegom portugalskich i francuzkich osad, chrześcijaństwo wolno, ale ciągle się szerzyło, na północy kompania handlowa angielska, zwycięstwem pod Plassey roku 1757 potęgę sobie zapewniwszy, na polu religijném całkiem inną politykę uznała za potrzebną. Dyrektorowie kompanii dawali subwencye Brahmańskiemu obrządkowi, a misye chrześcijańskie w Bengalu jaknajsurowiej wzbronili. Dopiero w roku 1813 parlament angielski wbrew woli kompanii, angielskim, a w roku 1833 i innych narodów misyonarzom w Indyach angielskich działalność swą rozpocząć pozwolił.

Pierwsi misyonarze protestancy przyszedli do Indyj w roku 1706 do duńskiej osady Tranquebar, z nimi przyszło wielu innych, ale tylko jeden z nich *Rhenius* w obwodzie Tinnevely, mimo że był przeciwny zachowaniu kasty, 10,000 krajowców ochrzcił.

W roku 1871 było w Indyach, włącznie prowincyi Birmah 1,079,030 katolików. Z téj liczby przypada tylko 64,241 na północne Indye, głównie przez Europejczyków zamieszkane. Bo tam cała prawie europejska ludność jest protestancka, a liczba do chrześcijaństwa nawróconych bardzo mała, gdyż prozelityzm osiadłych tam w wielkiej sile muzutmanów. Okazuje się wiele skuteczniejszym od wszelkich usiłowań europejskich misyonarzy. Smutna to rzecz przyznać się do tego, że w skutek upadku wiary i religijności na Zachodzie straciliśmy już w części tę siłę nawracania i rozszerzania naszej religii, którą mieliśmy jeszcze za czasów św. Franciszka Ksawerego. Dzisiaj gdziekolwiek spotykamy się z synami islamu, ustępować mu-

simy większej ich gorliwości na polu religijném! Zdarzyło się nawet kilka wypadków, w których Anglo-Indyjscy przeszli na islam: i tak niedawno temu p. R. G. Melville, urzędnik cywilny został muzułmaninem. Prawda i to, że pana Melville głównie chęć pozbycia się nie-miltej mu żony, a posłużenia innej, do zmiany wiary nakłoniła.

Liczba protestantów w Indjach, wyłącznie wyspy Ceylon, wynosiła w roku 1871 skromną liczbę 224,161, z której przynajmniej  $\frac{3}{4}$  na angielskich i niemieckich osadników, a zatem na ludność europejską *napływową*, a tylko  $\frac{1}{4}$  na krajowców przypada, podczas gdy wśród ludności *katolickiej* Indyj stosunek ten jest odwrotny.

Dzisiaj już nie kompania handlowa, ale rząd angielski Indye dzierży; głosi tolerancję najwyższą dla wszystkich wyznań Indyjskich, ale i przychylném okiem patrzy na rozwój misyj i kościołów chrześcijańskich.

*Pax Anglica* pozostawia wolne pole rozwojowi wszelkiego rodzaju moralnej i religijnej wiary lub niewiary w rozległych granicach Indyjskiego państwa. Poddany angielski na dalekim Wschodzie nie nie traci ani zyska będąc lub przestając być chrześcianinem, muzułmaninem, hindusem. Pytanie, *jaka* wśród takich okoliczności przemoże kiedyś wiara w Indjach? W każdym razie *nie chrześcijaństwo*; bo rząd angielski ani go nie wspiera otwarcie powagą swego *brachium saeculare*, ani też znowu go nie prześladowuje; gdyby je wspierał jak niegdyś Portugalczycy, rozdawaniem pieniędzy i urzędów intratnych między nawróconych, cheiwi zysku Hindusowie tłumnieby się pod jego sztandary garnęli; gdyby zaś religie chrześcijańskie prześladował, otoczyłyby je aureolą męczeństwa, a krajowcyby łgnęli do prześladowanych. Że zaś ani jedno ani drugie się nie dzieje, a chrześcijaństwo tylko na powadze kilkuset księży i misjonarzy się opiera, więc nic dziwnego, że małe robi postępy katolicka i protestancka propaganda w Indjach.

Przytém Indo-Europejczycy mają nie zawsze uzasadnione uprzedzenie przeciwko wielkiej massie konwertytów Indyjskich; przypuszczają w nich *a priori* słabszy charakter, większą skłonność do pochlebstwa, kłamstwa, złodziejstwa i pijaństwa, jak najniechętniej ich przyjmują do swej służby, tylko podrzędne im powierzają urzędy, rzadko więcej jak 200 złp. miesięcznej pensyi zapewniające. Niechęć ta tém się tłumaczy, że przy ciemnocie, braku wykształcenia większej części chrześcian krajowców, trudno przypuścić, by się byli nawrócili z *przekonania*; ale mimowoli myśl się nasuwa, że to uczynili w duchu *spekulacyi*, lub żeby się wyłamać od uciążliwych przepisów swjej dotychczasowej religii. Na tém, jak zawsze niewinni najbardziej cierpią. Będąc w Agra byłem świadkiem jak wykształconego syna bogatego radży Indyjskiego przyjmowano na łono kościoła katolickiego. Neoita straciwszy swą kastę i wsparcie pieniężne od zamożnych rodziców, w najopłakańszém znajdował się położeniu, bo go tylko kościół za swego przyjął, a nie sztywne i niedowierzające *spoleczeństwo* chrześcijańskie; a on doprawdy z przekonania się wyrzekł wiary swych oj-

ców. Dla dania lepszego pojęcia o tych stosunkach, opowiem pokrótce rozmowę moją z najzacniejszym może prałatem katolickim na świecie, arcybiskupem Kalkuty *Steins*. Zastałem godnego prałata w arcy skromnym mieszkaniu, przy skromniejszym jeszcze drugiem śniadaniu: z piwa, chleba, soli i kawałka surowej rzepy złożonem. Miał właśnie objechać kilka zakładów naukowych jego dozorowi powierzonych. Prosi mnie bym mu towarzyszył: na dole czeka nas jego jednokonny powozik, dar od gminy chrześcijańskich krajowców. Zanim wsiedliśmy do powozu, Mre *Steins* pozamykał starannie na klucz wszystkie drzwi, szafy i komody, bo jak mówił, złodziejstwo w Kalkucie, nawet pomiędzy jego owieczkami ogromne. Zakrystyanom krajowcom po kościołach nigdy się klucze nie powierzają, a proboszcz kościoła Serca Jezusowego, gdy nas po nim miał oprowadzić, poprzednio drzwi od swego mieszkania w probostwie starannie zaryglował. W powozie pytałem się arcybiskupa, do jakiego stopnia religijnego wykształcenia dochodzą nawróceni do katolicyzmu Hindusowie? Odrzekł mi na to: do stopnia tego, na którym stoją *chłopi bez żadnego* wykształcenia w Europie. Przyznaje że się dużo nadużyć dzieje w kościele katolickim w Indyach: i tak, w jednej parafii sprzedawano przed kościołem kawałki bawełny, któremi krajowcy dotykali się później statuy Matki Boskiej. Gromady chrześcijan idą czasem z krzyżem na czele za dorocznemi procesyami Hindusów w Puna. Ale dzisiejsza hierarchia katolicka wszędzie takim zwyczajom się sprzeciwia. Wszelako na południu Indyj księza od nawracających się nie wymagają wyrzeczenia się kasty, i to słusznie, bo czyż w Europie nie mamy kastowości? A średnie wieki? W statystyce propagandy misyjnej uderzającą jest, mówi dalej *Steins*, ilość dzieci Hindu ochrzczonych *in periculo mortis*, i ilość nawróconych na katolicyzm *protestantów*. W ostatnich dwóch latach 2 sędziów angielskich przeszło na katolicyzm. W obwodzie Coimbatore w roku 1869/70: 16 protestantów się nawróciło. Najwięcej katolicką częścią południowej Indyi jest wikaryat Madura, liczący 169,500 katolików, 169 kościołów, 469 kaplic i 55 księży. W roku 1870/71 było w tym wikaryacie 497 nawróceń z pogaństwa i protestantyzmu, a 2,724 chrztów pogańskich dzieci *in periculo mortis*. Rząd angielski żadnej nie robi różnicy między katolikami a protestantami; owszem, nawet wspiera nie wprost sprawę katolicyzmu, dając często subwencye na liczne zakłady naukowe dla dzieci i sierot katolickich, przez duchownych założone i prowadzone. Zbiierałem raz pewnego, mówi zacny arcybiskup, fundusze na zakład dla sierot w Bombay. Składki wpływały jakoś leniwo, miałem tylko 16,000 rupij (rupia = 20 sgr.), a przynajmniej 100 000 rup. potrzebowalem. Cóż tu robić? Udaję się po radę do gubernatora Bombayu, Anglika protestanta, i ten mi obiecuje dać tyle subwencji, ile w sześciu tygodniach sam jeszcze potrafię zebrać. Przeciwno wszelkiemu oczekiwaniu memu, udało mi się w owych sześciu tygodniach od Hindusów, Persów, Armeńczyków 96,000 rup. zebrać; a gubernator, jako

człowiek słowny i honorowy, musiał mi drugie 96,000 rup. subwencyi z kassy rządowej dodać!

Po tém zboczeniu powróćmy do założenia naszego.

Mówiliśmy, że tylko wtedy propaganda misyj chrześcijańskich podniesie wartość moralną Hindusów, gdy będzie mogła działać w śród *oświeconej* ludności, któraby była w stanie uznać wyższość religii Chrystusa nad innemi. Takie jest przynajmniej zapatrywanie większości misjonarzy, i rząd angielski chętnie im daje subwencye na szkoły, któremi oni chcą sobie przysposobić wdzięczniejsze pole do propagandy religijnej wśród pogan. Prof. Max Müller w sławnej swój przesztorocznej prelekcji w kościele Westminsterskim bardzo trafnie zauważył, że przy powyższym systemie i rząd angielski i misye chrześcijańskie w Indjach wpadają z Scylli do Charybdis. Zakładaniem szkółek ludowych, krzewieniem oświaty, wyznawcy Chrystusowi starają się pozyskać swęj wierze pogan. Czasem tylko im się to uda. Natomiast, szerząc oświatę, rozbudzają z tysiącletniego snu odwieczne religie indyjskie, wypowiedzeniem im walki o byt do nowęj, a niezwyklej je pobudzają czynności. Brahmanizm, buddhyzm i islam stają do walki z chrześcijaństwem, a choć z tego starcia żadna z prastarych religij owych nie wychodzi zwycięzko, ale każda, nie wyłączając chrześcijaństwa, traci nieco na swym wpływie i znaczeniu, bo wśród walki słabe strony każdej z tych religij się odkrywają. Skutkiem tego powstają w naszych oczach nowe zupełnie w Indjach religie: jak Brahmanizm, o którym późnięj obszernięj pomówimy, ale i *niewiara*, mianowicie wśród klass wyższych i oświeceńszych Hindusów i Parzów się szerzy. Anglicy nadludzkie robią usiłowania, by zakładaniem uniwersytetów i liceów na wzór europejski, zapoznać Indyjczyków ze skarbami europejskięj nauki. Pojętny i lubiący naukę Hindus, wnet poznaje niedostatki i śmieszności swęj religii. Ale czytanie dzieł europejskich humanistów i racyonalistów we wszystkich księgarniach większych miast Indyj sprzedawanych, nie nastraja go wcale na korzyść chrześcijaństwa. I dlatego nie dziwny się temu, że 1 listopada 1873 roku w gazecie „Samachar” w Bombay wychodzącej, młody Pars następny inserat mógł ogłosić:

„Będę bardzo wdzięczny każdemu dziecku tęj ziemi za odpowiedź na następujące zapytanie. Mam teraz 19 lat. Mój rozum mi mówi, że trzeba koniecznie zaprowadzić nową jakąś religią na świecie i ja czuję się do tego niejako powołanym. Ogłoszę zasady i przepisy owęj nowęj religii, gdy dojdę lat trzydziestu. A dziś chciałbym wiedzieć, czy wedle praw angielskich, ogłoszenie nowęj religii, jest dozwoloném? Jeśli nie, to jakiego narodu prawa na to zezwalają? *Podpisano: Kaitoshro Manekjee*, liwerant, alias ten sam Pars 19 letni.”

Wpływ ten zgubny uniwersyteckięj nauki na niedowarzone umysły krajowców i niedostatki propagandy missyjnej w Indjach starają się Anglicy zrównoważyć dobremi prawami, energiczném ich przeprowadzeniem i wzorowym, nieskazitelnym sposobem życia i po-

stępowania. Angielski zdobywca w te słowa odzywa się do zawojowanego ludu: „Nie popełniajcie zbrodni, nie podnoście rokoszów, dotrzymujcie kontraktów, a wasza własność będzie spokojnie przechodzić spadkiem z ojca na syna. Co się tyczy religii, róbcie, jak wam się podobać będzie. Ale my nie ścierpimy tego, aby jedna sekta, drugą w obrębie naszego państwa prześladowała. *Wszystkie wyznania* religijne uznajemy chętnie, ale *wojny wyznaniowej*, nigdy nie dopuścimy. Ale i my mamy was nie jednego pouczyć: nauka fizyki jest prawdziwą i dlatego uczyć jęj będziemy, choć ona kłam zadaje Hinduizmowi i większości wyznań indyjskich. To jest nasza angielska ewangelia. Wierzmy w nią i zmusimy was do poddania się jęj. Kto chce urzędy sprawować i żyć w dostatkach, musi w nią wierzyć i wedle nięj postępować.”

Wpływ rządów angielskich na ustrój *Brahmanizmu*, jako religii  $\frac{3}{4}$  mieszkańców Indyjskiego półwyspu, już dziś jest widzialny. Następujące w tym kierunku zaznaczamy objawy, które jako postępowanie w dziejach rozwoju ludzkości radośnie witamy.

Szereg z wszelką energią anglo-saksońskiemu szczepowi właściwą przeprowadzonych *ustaw* poznosił najwięcej barbarzyńskie obrządki i obyczaje Brahmanizmu.

Uprzątnięto przedewszystkięm *Thuggizm*. Thugowie, chcąc się bogini Kali, żonie Siwy, przysłużyć, założyli kiedyś tajny związek, rodzaj bractwa, który się wnet po całej Indyi rozgałęził. Chodziło im o to, aby nieprzyjaciół owęj bogini na ziemi, w postaci ludzkięj z kropel krwi zabitego ongi przez Kali wielkoluda rodzących się, bez rozlewu krwi zgładzić. Thugowie poznawali ofiary swoje po pewnych znakach, które miały owych z krwi wielkoludów zrodzonych ludzi cechować. Nie odstępowali swych ofiar, największą ku nim udając przyjaźń, póki nie znaleźli chwili sposobnej do uduszenia ich za pomocą poświęconego stryczka. Na Europejczyków Thugowie się nie porywali, bo ich uważali za późniejsze pokolenie, powstałe już po walce bogini Kali z wielkoludem. Anglicy przez długie a długie lata z największą stanowczością występowali przeciwko Thuggizmowi, ale dopiero od bardzo niedawna mogą się pochwalić, że go całkięm wykorzenili.

Śmierć w wodach świętego Gangesu zapewnia wedle wiary Brahmeńskiej odpuszczenie wszelkich grzechów. Ztąd wypłynęto dużo barbarzyńskich zwyczajów. Chorych i starców bezsilnych kładziono na samym brzegu Gangesu, i gdy ci wymówili słowo „*oribali*,” t. j. „błagam o pomoc boską!” zapychano im usta mułem rzeczonym i topiono napót uduszonych w Gangesie. Bogini Gange ofiarowano także dawnięj rokrocznie pewną ilość dzieci, które w *Saugor*, przy ujściu Gangesu do morza topiono. Anglicy i jeden, i drugi obrządek surowo i skutecznie zakazali.

Zakazano także, aby ojcowie przechodzących na chrześcijaństwo synów wydziedziczać.



Zakazano krajowcom rzucać się pod koła olbrzymiego wozu bóstwa *Dzaganatha*, które rok w rok w procesyi w Orissa się obwozi. Kogo przy takiej sposobności wóz bóstwa przejedzie, ten zbawionym będzie.

W północno-zachodnich krajach Indyi i dziś jeszcze zwyczaj zabijania dzieci płci żeńskiej zaraz po ich urodzeniu się nie całkiem jest wykorzeniony. Rodzice, bojąc się kosztów wynikających z konieczności wyszukania równiej lub wyższej kasty mężów dla swych córek, liczbę ich w rodzinie starają się, ile można ograniczyć, topiąc lub dusząc w stanie niemowlęcym te, które za zbyt cenne uważają. Uczony gubernator Muir, wydawca znanych na całym świecie tekstów sanskrytowych, wpadł na oryginalny koncept ku powstrzymaniu dzieciobójstwa w swój prowincyi. Rozkazał straży policyjnej pilnować domy bogatszych krajowców w czasie, kiedy się w nich spodziewano jakiego połogu. Naturalnie, że ten środek nie okazał się zbyt skutecznym; ale w połączeniu z innymi przyczynił się może do tego, że dziś dzieciobójstwo w Indyach, coraz mniejsze przybiera rozmiary.

Największą zasługą Anglików jest, że raz na zawsze położyli koniec barbarzyńskiemu zwyczajowi „sutti,” t. j. paleniu wdów po śmierci mężów. Wspomogła przytém akcją rządu i nauka, bo europejscy badacze Rig-Vedów przekonali Brahmanów, że w tój ich najdawniejszej księdze świętej nie ma mowy o paleniu wdów.

W ogóle *światło europejskiej nauki*, rozkrzewione po całych Indyach przez Anglików, nie mało się przyczyniło do przekształcenia nowoczesnego Brahmanizmu i do zmniejszenia jego wpływu na Hindusów. Uczeni profesorowie sanskrytu w wyższych zakładach naukowych tłumaczą zdziwionej młodzieży, że i *kastowość* nie powstała wraz z Brahmanizmem w Rig-Vedach, ale że się dopiero później wyrobiła na podstawie Mehabhēraty, Ramajany i Puranów. Kolejne żelazne, służba w wojsku i zasada rządu angielskiego, że przy obsadzeniu urzędów, na kastę żadnego nie trzeba mieć względu; ochota wreszcie przełamania zapór stawianych podróżowaniu do zamorskich krajów przez przepisy kastowe: to wszystko działa niwelacyjnie i odosobnienie kastowe w obec wymagań naszego czasu, coraz więcej i w Indyach nawet ustępować musi zdrowszemu ustrojowi społecznemu.

Brahmanizm dzisiaj w największym jest rozstroju: klasy *wyższe* społeczeństwa pod wpływem nauki europejskiej straciły zaufanie do wiary swych ojców, ale zaraziły się równocześnie rakiem, toczącym europejskie społeczeństwo, a jest nim *niewiara*. Lud zaś indyjski zaczyna już wprawdzie utyskiwać na więzy przez kastę nałożone, traci zaufanie do swych bogów, bo dopuścili rządy nieczystego radży angielskiego, ale nie traci poczucia religijnego; niezadowolony obecnym stanem rzeczy, szuka gorączkowo nowej formy religijnego życia. I tak w naszych czasach coraz to inne, a zupełnie nowe powstają w Indyach sekty i religie.

Na północy w miasteczku Ludhiana, ubogi cieśla Ram-Singh, założył nową sektę *Kūka* zwaną, a mimo, że go ani rząd, ani żaden bogatszy krajowiec nie wspierał, w r. 1867 już liczył 100,000 zwolenników, po większej części tkaczy, cieśli i mularzy. Sekty tej celem jest: religię Sikhów więcej do Brahmanizmu zbliżyć, przez zaprowadzenie czci dla krowy i obostrzenie przepisów, dotyczących się jedzenia mięsa i picia trunków upajających, a zarazem wyznawcom nowej wiary, wzajemną pomoc w razie biedy zapewnić. Na południu w obwodzie Kriszna, we wsi Naudigama, zmarły niedawno pan J. A. C. Boswelt, zwiedzając kilka lat temu dawne pagody, ździwiony był widokiem świątyni całkiem nowego kształtu, do której nabożni pielgrzymi zewsząd się cisnęli. Była to świątynia zupełnie nową bogini Poliramma zwaną. Dowiedział się wnet, że kilka lat przed jego przybyciem, jakiś ubogi rolnik w Naudigame zabił swą żonę. Oskarżono go o to, ale sąd go uwolnił. Lud natychmiast wystawił świątynię nad grobem zamordowanej żony rolnika, którą odtąd pod nazwiskiem Polirammy, jako personifikacją niezaspokojonej zemsty czci. W ludzie, gdzie tak z dnia na dzień nowe bóstwa mogą powstawać, uczucie religijne musi jeszcze być bardzo żywym i silnym.

Ale nawet i wyższe, oświecześniejsze klasy Hindusów w miastach stołecznych Indyi, mimo ciągłego stykania się z Europejczykami, zachowały jeszcze cokolwiek religijności. Dowodem tego jest powstanie pod wpływem idei chrześcijańskich zachodu nowej wiary *Brahmosomadz* czyli *Brahmoizmem* zwaną pomiędzy wykształconymi Hindusami dzisiejszej generacji. Brahmoizm, jako przejście z *Pantheizmu* Brahmańskiego do czystego *theizmu* z uwzględnieniem kodeksu moralnego chrześcijańskiej ewangelii, powitać należy, jako najwznioślejszy objaw życia duchowego dzisiejszych Hindusów.

Prorokiem tej nowej wiary jest znajomy mój *Keshub Chunder Sen* w Kalkucie. W przeoięgu kilku lat wyrobił on sobie tysiące zwolenników po wszystkich większych miastach Indyi, przez publiczne prelekcje dziwnie porywające, nawet dla chrześcijan. W Bombay za jego pobudką powstała sekta *Prārthāna*. Somadz na tych samych, co Brahmaizm oparta zasadach. Wedle nauki Brahmaizmu potrójnie Bóg się objawia: 1) jako Bóg w *naturze*, 2) jako Bóg w *historyi*, upostaciowany przez bohaterów i wielkich ludzi. Największy z tych wielkich ludzi był Chrystus; 3) jako Bóg w *naszej duszy*, czyli jako Boskie natchnienie w człowieku. Chrystus jest wszelako tylko Boskim człowiekiem, a nie Bogiem Człowiekiem. Brahmaiści polecają czytanie Nowego Testamentu, jako najlepszego przewodnika dla chcącego prowadzić cnotliwe życie. Odrzucają wszelkie różnice kastowe, jedzą mięso i od czasu do czasu zbierają się na wspólne uczyty w wielkich europejskich hotelach Kalkuty i Bombayu. Dla scharakteryzowania genialnego Keshub Chunder Sena, przytoczę kilka ustępów z jego odczytu mianego w Kalkucie 5 maja 1866 pod tytułem: „*Jezus Chrystus, Europa i Azya.*“ Ustępy te lepiej określają charakter Hindusów,

o ile religia nań wpłynęła, niż całe tomy najsumienniejszych opisów podróży: „Wielu Hindusów przyrównywa Europejczyka do wilka: ma być mściwy, gwałtowny, okrutny i krwi chciwy. Nie umie znieść obelgi, nie umie przebaczać. Charakter zaś Hindusa jest całkiem inny. Jest on bardzo egoistyczny. Zapatrywania i dążenia jego obracają się w ciasnym zakresie. Zawiele jest w nim wyłączości, co bardzo ścieśnia pole jego uczuć i myśli. Życie jego obraca się w kole egoistycznych dążeń, a własny interes jest zwykle jedyną pobudką jego czynności. Nie mogę zaprzeczyć temu, że kłamstwo, fałszerstwo, krzywoprzysięstwo i nieuczciwość w zastrasżający sposób szerzą się pomiędzy memi ziomkami, ale nie chcę ani mogę wierzyć, aby one były cechami naszego narodowego charakteru. Tyle tylko przyznać muszę, że nieustanne dążenie z własną korzyścią, z pominięciem Boga i sumienia, wielu z mych ziomków do poświęcenia prawdy i uczciwości na ołtarzu chciwości prowadzi. Ale to sobkostwo naszego narodu wynika z okoliczności, wśród których żyjemy. Jesteśmy narodem podbitym i już od wieków nie wiemy, co to być niepodległymi. Socjalnie i *religijnie* mało co więcej jesteśmy od niewolników. Od dziecka przyuczono nas wierzyć, że tylko o tyle jesteśmy Hindusami, o ile niewolniczo słuchamy naszych „szastrów” i księży. Nawet w trywialnych szczegółach naszego społecznego i domowego życia, w jedzeniu i piciu, trzymamy się ślepo surowej rutyny postępowania, obleczonej w nienaruszalną świętość religii. Ale i fizycznie jesteśmy ściśnieni, bo podróżowanie nietylko sprzeciwia się naszym obyczajom, ale i przez religią nam jest wzbronionem.

Za to Hindus ma cnoty, na których zbywa jego europejskiemu bratu. Hindus jest łagodny i spokojny. Jest słodki aż do zniechęcenia. Jego cierpliwość i panowanie nad sobą, zadziwiają nas. Niełatwo się rozgniewa, a nadewszystko chce mieć mir. Nieraz to usposobienie łagodne Hindusa objawia się, jako lenistwo, apatya, niechęć do czynności i przedsięwzięcia. Pomów z Bengalczykiem o wojnie, a krew' mu ścierpnie w żyłach. Zgroza go przejmie na myśl o reformach i nowościach. Nie może znieść, aby ustalony porządek na świecie został jakkolwiek wstrząśnięty. Co się tyczy Europejczyków w Indyach osiadłych, to ja każdego Europejczyka między nami żyjącego za misjonarza Chrystusa, owego największego z wielkich ludzi naszej przeszłości dziejowej uważam i dlatego żądam od niego, aby się utrzymał na wysokości swego postannictwa. Ale niestety! w skutek niegodziwego prowadzenia się pewnej liczby pseudo-chrześcian u nas w kraju, chrześcijaństwo nie wywarło swego zbawionego wpływu moralnego na mych ziomków! Bo też tyle jest tylko nominalnych chrześcian w Indyach! Zaprawdę, ich to *muszkularne* że tak powiem, *chrześcijaństwo* wielu krajowców zniewoliło do zidentyfikowania religii Chrystusowej z siłą i przywilejem poniewierania bliźnim i dawania mu batów *bezkarne!* A jednak Chrystus żył i działał w imię przebaczenia uraz i poświęcania się za drugich!“

Zdaje mi się że słowa te indyjskiego reformatora jako zawierające dużo prawdy, wzniosłych myśli i trafnych spostrzeżeń zasługiwały na pomieszczenie w ciasnym obrębie mego wykładu. Zarzut zbyt technicznej *muszularności* którą *Keshub Chunder Sen* napiętnował prozelityzm chrześcijańskich mieszkańców Indyów, oparty jest na *kilku wybrkach indywidualnych*, ale nie na *systemie* przez rząd angielski lub przez *towarzystwa misyjne* forytowanym.

Niestety, dzisiaj wpływ Brahmanizmu w obec coraz bardziej szerzącej się niewiary stabnąć znowu poczyna. Zdaje się że doszedł był swój apogei za czasu mego w Indyach pobytu r. 1871/2. Za kilka lat może już istnieć przestanie; ale zawsze myśli rzucone przez Keshub Chunder Sena, znajdują w ludzie indyjskim zasłużony odgłos i poświadczą potomności, że i indyjskie społeczeństwo rozświeca czasem iskra prawdziwego szlachectwa duszy.

Rządy angielskie w Indyach silnie na *Brahmanizm* wpłynęły, budowę jego do gruntu wstrząsnęły i znacznie do jego dzisiejszego rozstroju się przyczyniły; ale temuż wpływowi angielskiemu nie uległo bynajmniej 30 milionów wyznawców Islamu, którzy do dziś dnia wzdychają za cesarstwem Wielkiego Mogoła w Delhi, bo wtedy to oni dzierżyli najintratniejsze urzędy w Indyach, a pół-księżyc się złocił na minaretach Delhi. Religijną i polityczną swą odrębność dotąd zachowali, a tylko oględna polityka angielska wstrzymuje ich od otwartego rokoszu. Anglicy starają ich sobie pozyskać rozdając im urzędy i dekoracye, wpływając na nich za pomocą prassy i towarzystw. Byłem raz obecny sesji Mahometańskiego Towarzystwa literackiego w Kalkucie. Obwieszony dekoracyami angielskimi uczony Abdul Lutif Khan Bahadūr, starał się przekonać zgromadzonych licznie współwyznawców sekty Sunnickiej, że Indie nie są dla Muzułmanina, *Dar el harb*, t. j. krajem wojny, czyli *nienawiści*, ale raczej *Dar el Islam*, t. j. krajem Islamu, czyli spokoju i bezpieczeństwa; a dlaczego, proszę zgadnąć? bo radza angielski alias królowa Wiktorya, jest wiernym sprzymierzeńcem sultana tureckiego, głowy Islamu i broni go zawsze od napaści Rossyi!

Od 30 milionów indyjskich Muzułmanów, Anglikom większe grozi niebezpieczeństwo, jak od 150 milionów Hindusów; bo Muzułmanie płomyk swój odrębnej narodowości, silną do fanatyzmu dochodzącą wiarą w religię swoją, podsycają! Anglicy wobec rozmaitych religii indyjskich zachowują się o tyle biernie, że *swój* nikomu nie narzucają, a żadnej z *krajowych* uprzywilejowanego nie dają zająć stanowiska. Jest to niezawodnie sposób postępowania najzgodniejszy z zasadami dobrze pojętej wolności, ale czy i pod względem *utilitarno-politycznym* się zaleca, o tém wątpię. Wszystkie wielkie państwa azjatyckie mają cechę teokratyczną. Ludy azjatyckie przyzwyczajone są do tego, że panujący stoją zarazem na najwyższym szczeblu hierarchii kościelnej. W Azyi państwa powstają i upadają wraz z tém lub owém religijném stronnictwem, które ich był wywołało. Świeży mamy przed

oczyna przykład we wschodnim Turkestanie. Jakób Beg z Yarkandu w kilku latach ogromne państwo założył, bo umiał sfanatyzmować ludność mahometańską północno-zachodnich Chin, która przez długie lata znosiła spokojnie jarzmo innowiernych Chińczyków! Gdyby się udało Anglikom pozyskać miliony swych indyjskich poddanych dla chrześcijańskiej wiary, wzmocniliby przez to niesłychanie swe stanowisko w Azji. Nie chodziłoby przytém o *stopień gorliwości* nowo-nawróconych krajowców, byleby z nazwiska i z obrządku byli jednéj i téj saméj religii z panującą im rasą.

W razie gdyby skuteczne przeprowadzenie chrześcijańskiej propagandy w Indjach zdało się Anglikom niemożliwém, toby powinni sprawę téj religii forytować, która w Indjach liczbę wyznawców z żywotnością wszystkie inne przewyższa. Tą myślą nie *moralną* zapewne, ale *bardzo polityczną*, powodowała się kompania Wschodnio-Indyjska, gdy w swych posiadłościach indyjskich od r. 1757—1813 jako protektorka Brahmanizmu wystąpiła. Element religijny w Indjach zbyt silnie w ludzie jest zakorzeniony, by go można *bezkarnie* ignorować. Mimo że Anglicy wciąż z urzędu i katedry tłumaczą Hindusom błędy i niedostatki ich wyznań religijnych i wszelkimi sposobami do rozszerzenia niewiary w kraju się przyczyniają, spróchniały na pozór pień Brahmańskiej religii i dziś jeszcze w oczach naszych świeże puszczą gałązki. Ostatnią i najzależniejszą z owych gałęzi jest Brahmoizm. W tém leży ważna dla Anglików przestroga, by się starali swą własną religię wszelkimi siłami w Indjach rozkrzewić, inaczej będą kiedyś zmuszeni pochwyć za sztandar Brahmanizmu lub Islamu. Pośredniej drogi niema, przeniesienie zasady *divide et impera* na polu religijno-polityczném jest zgubném, bo rodzi ogólną w kraju niewiarę, a czy jest choć jedno państwo na widowni dziejów świata, któreby się utrzymało czas dłuższy bez silnéj i zdrowéj podstawy religijnej?

# Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

(Ciąg dalszy).

## IV.

Był to czas największej ministra Brühla potęgi i nikt jeszcze nie przeczuwał, jak skała Tarpejska Kapitolu być może blisko. Wiedzano że w Saxonii po ojcu Mocnym, panował August III, spokojny, pobożny, lubiący operę i polowanie, szlafrok i fajkę; lecz widywano go tylko gdy do Hubertzburga puszczał się na łowy, lub w łoży kaplicy, albo w teatrze. Saxonią rządził nie z Bożej, ale z królewskiej łaski Brühl, i po kilku próbach strącenia go z tronu, naostatek przyszli wszyscy do tego przekonania, iż póki życia króla, dopóty panowania Brühla.

Król który jadł, pił, spał wyśmienicie, strzelał dowoli i bawił się operą i błaznami swemi, galeryą obrazów a jak najmniej nudną polityką, nie mieszał się do niczego. Zapytywał czasem o pieniądze i usypiał spokojny zaręczeniem iż jest ich nad miarę i potrzeby.

W istocie z nieporównaną sztuką i zręcznością pieniądze dobywano z pod ziemi. Opodatkowane było szczerlnie wszystko, tak że pono nawet żebracy od jałmużny podatek płacili; nikt mruknąć nieśmiał, w ostateczności pożyczano grosza u Holendrów, brano go gdzie tylko się nawinął i wprawdzie wojsko było nie płatne, ale opera stała świetnie.

Ostatnie odniesione przez Brühla zwycięstwo nad hrabią Lynar, dowiodło iż w walkę z nim wdawać się było niepodobieństwem.

Hrabia Maurycy Karol Lynar za cesarzowej Anny poseł w Petersburgu, po ustąpieniu z téj posady, bez zajęcia mieszkania w Dreźnie z tytułem radcy tajnego. Minister wiedział bardzo dobrze iż zbierał przeciwko niemu wiadomości i grawamina, które chciał do uszu królewskich przynieść dogodną porą, ale król był obsadzony tak, iż bez pozwolenia ministra nikt do niego dostąpić nie mógł, a Lynarowi zawsze towarzyszył przez grzeczność sam Brühl, wprowadzał go i wyprowadzał.

Wojsko naówczas od dwudziestu ósmiu miesięcy płatne nie było. Lynar znalazł śmiałego pułkownika, który stan armii jak najdobitniej opisawszy, w suplice do tronu wzywał liłości pańskiej. Manewrowano tak jakoś zręcznie, iż mimo szpiegów króla otaczających, suplika znalazła się na stoliku w takiej chwili, gdy królowi nic ją przeczytać nie przeszkadzało.

Można sobie wystawić przerażenie Augusta, gdy marząc o operze, paląc fajkę... odczytał nagle to pismo okropne, a tak stanowcze podające fakta, cyfry i dowody, iż ich nic zbić nie mogło. ..

Król pobladł strasznie, i natychmiast kazał przywołać Brühla, który się niczego nie domyślał. Była to chwila odpoczynku. Minister otoczony swojemi, w najlepszym humorze zabawiał się wesoło, gdy paż wpadł wołając go natychmiast do króla. Brühl najpewniejszym był, iż wojna między Włochami Ojca Guariniego i Faustyny wybuchnąć musiała. Ubrał się szybko i zaniesiono go na zamek. Jedno spojrzenie na króla dostatecznym było do przekonania, że coś nieskończenie ważniejszego zająć musiała. Król nie mówiąc słowa podał mu suplikę pułkownika. Kto inny uczułby się przybitym, okazał pomieszanie, dał poznać po sobie trwogę. Brühl zawsze był przygotowanym do odegrania takiej sceny dramatu życia, jaki okoliczności nakazywały. Nie drgnął jeden muskuł jego twarzy. Spokojnie odczytał do ostatniej litery i złożony papier schował do kieszeni.

— N. Panie—rzekł—wiernie służąc W. Kr. Mości, zasłaniając go piersiami memi, dzień i noc pracując aby najlżej-

sza chmurka nie zaćmiła horyzontu, musiałem razem z łaską W. Kr. Mości zarobić sobie na nienawiść zazdrośnych, występnych, niegodziwych ludzi. Ci nie wahają się nawet potwarzać mnie obrzucać, byle obalić mogli i w oczach W. Kr. Mości oczernić, aby mi serce Jego odebrać.

Jestto najnikczemniejsze kłamstwo! ofiaruję się do jutra dostarczyć W. Kr. Mości dowody najautentyczniejsze, iż wojsko żołąd aż do ostatniego miesiąca co do grosza odebrało.

Król spojrzął zdumiony i odetchnął.

— Brühl, i to prawda?

— N. Panie, stawię głowę.

— Więc to nikczemna potwarz?

— Albo formalna waryacya! Nie rozumiem—dodał Brühl.  
— Zaklinam W. Kr. Mość, aby to wieczornego strzelania nie przerywało, ani dobrego humoru: jutro się wszystko wyjaśni.

Skłonił się i wyszedł ucałowawszy podaną rękę królewską. W przedpokojach podwojono najściślejsze strażę, aby się żywa dusza do króla dostać nie mogła. Brühl kazał się nieść do ministryum wojny. Pracowano tam całą noc, jak? niewiadomo. Dosyć że z *ostatnich* miesięcy pokwitowali wszyscy płatnicy pułkowi, jako żołąd odebrali. W nocy Hennicke zjawił się u pułkownika, który niespokojny czekał skutku swojej supliki. Otaczała go rodzina, siostry, żona, dzieci w trwodze śmiertelnej.

Hennicke zażądał pomówić z nim na osobności.

— Panie pułkowniku - rzekł—oto są kwity z zapłaconych wojsku żołądów aż do ostatniego miesiąca. Mam rozkaz arestowania go i zawiezienia na Koenigstein, dopóki się sprawa podanej przez niego supliki i oskarżenia nie wyjaśni.

Pułkownik zbłądł, ale rzekł:—Jadę....

— Panu pułkownikowi wiadomo - dodał Hennicke— że o ile wrota jadącemu do Koenigsteinu szeroko się otwierają, o tyle wyjść nazad przez nie trudno. Gdyby tego można unikuąć... Idzie o bardzo małą rzecz; pułkownik podpisze tylko oto te zeznanie, iż czasami miewa napady melancholii i marzenia czarne: to nikomu krzywdy nie czyni.

— Nigdy w świecie!—zawołał pułkownik.

— Jedziemy więc na Koenigstein....



Rodzina nieszczęśliwego słuchająca poddrzwiami, na samo imię Koenigsteinu przerażona, wpadła płacząc i ręce łamiąc.

Hennicke zbliżył się do żony.

— Pani — rzekł — mnie was żal, niech pułkownik darmo nie ginie. Proścież go niech papiery podpisze, a będzie wolnym.

Dzieci, żona, krewni otoczyli pułkownika, który złamany ich prośbami, zeznanie iż bywał na umyśle nieprzytomnym, podpisał. Nazajutrz tryumfujący Brühl kwity złożył królowi, wstawiając się usilnie za nieszczęśliwym pułkownikiem, aby mu się nic złego nie stało. Wymógł téż na królu, iż mu dano prostą dymisyę z pensyą dożywotnią i naznaczono mieszkanie w dalekiej mieścinie w górach.

Hr. Lynar śmiał się z tego cały wieczór i odtąd prób obalenia Brühla nie przedsiębrał więcej.

Opowiadanie to w parę dni po przyjeździe swym, kawaler de Simonis usłyszał od Blumlego. Tegoż dnia ponieważ minister z królem na łowy pojechał był pod Schardau, Blumi przyrzekł Simonisowi okazać wszystkie wspaniałości pałacu i rezydencyi ministra.

W istocie było tam co widzieć i czemu się dziwować. Sama przestrzeń zajęta gmachami, pałacem, ogrodami, galerją, belwederem, ogromne summy kosztować musiała. Widok ztąd na Elbę i na wyniosłe brzegi okryte lasami był zachwycający.

Trzynaście domów z ogrodami zakupić było potrzeba, aby na ich ruinach tę monarchiczną wzniesić rezydencyę, którą Balkonem Drezna nazywano. Jeden z najzdolniejszych budowniczych Knöfele dawał plany gmachów, na które kosztu ani zachodu w doborze materyału nie żałowano. Brühl miał tu teatr, galerją, bibliotekę, kioski, posągi i fontanny, jak król na Zwingerze.

Simonis zdumiał się przebiegając sale pałacu, powybijane chińskimi materyami, gobelinami, złoconą skórą, wśród których marmurowe medaliony, olbrzymie zwierciadła, a nad niemi sufity malowane, w blasku najżywszych farb jaśniały. Wszystkie kominy były z porcelany, najwytworniejszemi ozdobami okrytj; wszystkie piece zdawały się starożytnemi jakimiś pomni-

kami. Porcelana była wszędzie od podłogi począwszy do świecznika u sufitu, i figur na gerydonach.

W osobnym składzie mógł admirować osłupiały szwajcar, sławny serwis, który milion talarów był ceniony. Ile tam ludzkiej pracy w tém misterstwie utonęło, ile dni poszło na te zabawki, ile sztuki wyszafowano marnie na niedojrzane drobnostki!

W każdej sali, w każdym pokoju inny zegar kunsztowniejszy coraz ściągwał oczy, a wszędzie kapało złoto, bo niém i drzwi, zamki i okna były wykładane.

Sprzęty drogocenne i fraszki same były nieobliczonéj ceny.

Blumli, który znał się ze wszystkimi, pokazał mu teatr, zaprowadził do stajen, w których stało trzysta koni i szepnął pocichu, że ta cała cizba sług należała do pierwszego ministra. Dwunastu kamerdynerów, dwunastu paziów, marszałek dworu, koniuszowie, berejterzy, kucharze, pisarze, lokaje, w liczbie okrągłej stu głów, zapełniali wszędzie przedpokoje i podwórza. Większa część dworzan składała się ze szlachty niemieckiej i polskiej. Wolano naówczas służbę Brühla niż królewską. W kredensach stosy złożonych i srebrnych talerzy, puharów, dzbanów, roztruchauów, przypominały skarbcie królewskie.

Weszli nareszcie do garderoby.

Brühl był jedynym z pierwszych, jeśli nie najwybredniejszym z elegantów ówczesnych. Suknie wszystkie sprowadzał z Paryża. Każdy ubiór miał właściwy do barwy i smaku zegarek, tabakierkę, trzcinę i szpadę. Dwie sale ogromne ledwie starczyły na pomieszczenie sukien ministra. Na stole oprawna w safian leżała książka, w której wszystkie te stroje w miniaturach były odmalowane; Brühl wskazywał tylko, który sobie wybierał. Ceniono te dwie sale na pięćdziesiąt tysięcy talarów. Spis który Simonis mógł przejrzeć zawierał pięćset ubrań, z których blisko dwóchset szytych, stokilkadziesiąt szamerowanych, sześćdziesiąt przeszło bogatych bardzo, czterdzieści jedwabnych, trzydzieści kilka aksamitnych i t. p. Do tego należały niezliczonych kształtów kapelusze, stosy piór do nich, futra, zarekawki, massy koronek, przeszło sto zegarków, ośm-

set tabakierek, szpady, laski, flaszeczki i trzysta flasz wody *de la reine d'Hongrie*, bez której zapasu minister żyć nie mógł.

Przepych był olśniewający, ten pierwszy sługa króla Augusta III-go wspaniałej daleko żył niż król Fryderyk II-gi, który chodził w butach podartych. Blumli zaprowadził go jeszcze do osobno stojącej biblioteki w ogrodzie, złożonej z 70,000 tomów, której katalog sam sześćdziesiąt jeden foliantów składały. Nie tykany ten skarbiec odziany był cały w safian pou-sowy i szamerowany złotem, jak suknie ministra. Brühl musiał mieć wszystko i to co miał najwspanialszém być musiało. Ponieważ hrabia Henryk von Büнау-Dahlen pod Dreznem mieszkający w Nöthnitz przepyszną sływał biblioteką, przy której Winkelmann był sekretarzem i zawiadowcą, Brühl niedając mu się prześcignąć skupił księgozbiór i trzymał do niego uczonego Heyne. Ponieważ król lubił i kupował obrazy, minister także musiał mieć galeryę mistrzów, którą tak jak król sztychować kazał.

Galerya mieściła się w budynku osobnym, w którym niekiedy wielkie dawano obiady i wieczery. Sala miała długości przeszło półtora łokci, i co sobie naówczas powtarzano ze zdumieniem, była o całe ośmnaście łokci dłuższą od słynnej galeryi zwierciadlanej w Wersalu. Obrazy w złożonych ramach z herbami pana wisały tylko naprzeciw ogromnych okien wychodzących ku Elbie. Pomiedzy oknami temi ściany wykładane były zwierciadłami do sufitu, a przed każdą z nich na marmurowym postumencie stały posągi i popiersia starożytne.

Król niekiedy przychodził się bawić widokiem tych pięknych płócien, o których wiedział że mu je Brühl testamentem swym przeznaczył, choć później los zrzucił inaczej.

Przebiegając ogród, pałac, gmachy, kawaler de Simonis osłupiał, oniemiał i zaczynał nabierać takiego pojęcia o potędze Brühla i Saxonii, że mu się Prusy wydały zuchwałemi, śmiejąc się porywać na te splendory. Ci co je posiadali musieli przecież myśleć o ich zachowaniu i obronie. Niepojętém i to było dla niego, że gdy w Sans-Sousi i kołach wyższych nad Spreą wszystko się zdawało zbierać na wojnę i do niej gotować, tu nic nie widać było coby ją przeczować dozwalało. Zabawy i sprawy podatkowe, to jest ssanie pieniędzy, a utrzyma-

nie karności i posłuszeństwa, były jedynem zajęciem stojących u góry urzędników. Blumli zaraz mu dał uczuć, iż po nawyknieniu do pewnej swobody gęby i mowy w Berlinie, gdzie król śmiał się z satyr i pamfletów, dozwalał paplać co się komu przywidziało, byle słuchał i płacił, Saxonii wymaga nowej nauki życia. Tu mówić *de publicis*, a w ogólności co się w urzędowym języku nazywało „*raisoniren*” najsurowiej było wzbronione. Rezonujący, szczególnie o podatkach i o sprawach polskich, dostawali się bez sądu do Koenigsteinu. *Nicht raisoniren!* było hasłem i maxymą! Za śmiałe słowo Fryderyk karciał czasem kijem, częściej śmiał się z niego, bo słowo dlań nie miało wagi. Sam on słowem tęp kunsztownie władał i znał ile ono waży i może, a jak długo trwa.

Nieposłuszeństwo karał śmiercią, paplaninę pogardał. Tu inny świat, cały zbudowany z fikcyi i na kłamstwach, lękał się prawdy pękającej jak bomba, któraby tę budowę wzięła w gruzy obrócić mogła. Z jednej strony był cynizm posunięty do najostatniejszego kresu, bo do bezwstydu i szyderstwa z wszelkiego sromu; z drugiej fałsz ubrany za boginię pełną wdzięku, malowaną całą w szychach, w farbowanych strzępach pokrywających łachmany i uśmiechach sączących z siebie śmierć i truciznę...

Dwa takie światy musiały z sobą wystąpić do walki, choćby Szlązka do zdobycia i utrzymania, Czech do zawojowania, Saxonii do wyssania nie było. Zło w dwóch odmiennych postaciach, musiało wystąpić do boju i niszczyć się wzajemnie. Brühl był reprezentantem najidealniejszym kłamstwa, Fryderyk cynizmu; ani dziw że się nienawidzili... Ale Brühl nienawisć swą okrywał głębokiem napozór poszanowaniem; Fryderyk nazwiska nawet pierwszego ministra nie chciał wymówić nigdy, jednego tylko z wierzchowych swych koni przezwał Brühlem. Brühl spiskował przeciwko niemu pocichu, ostrożnie, wykrętnie, ściągając krok stanowczy do chwili ostatniej; Fryderyk gniewny nie chcąc go znać ani widzieć, zemstę zań kładł na barki Saxonii.

Mając za sobą Austryę, Francję, Rosyę, Szwecyę, pierwszy minister był pewnym że pokona łatwo Brandeburczyka. Nie trwożyło go to, że nad 15,000 wojska nie miał więcej; kil-

kakroć sto tysięcy otoczyć miało na dany znak Fryderyka. Spać więc na Brühlowskiej tarasie, w tém złocistém gnieździe mógł spokojnie. Tak mu się zdawało....

W Dreźnie nie zadawano sobie nawet pracy, zbyt skrzętnie się dowiadywać o to, co się działo w Berlinie. Tajemnica spisku i aliansów zdała się doskonale zachowaną. Nie domyślano się wcale, iż Fryderyk miał wszędzie swoich, co mu o najdrobniejszych donosili wypadkach; że z kancelaryi samego Brühla szły kopje wszystkich aktów i listów do Berlina: że najmniejszy ruch, myśl, plan, ledwie się zrodził, był zdradzonym. W Berlinie był niepokój pokrywany pozorem obojętności i zaufania w sobie, w Dreźnie ślepotą dziwną i zarozumiałość niesłychaną.

Ale nad Spreą oddawna w najściślejszej tajemnicy czyniono przygotowania: bataliony i pułki ciągnęły nieznacznie na granice, małemi oddziałami, nocami, rozpierschłe, tak aby w kraju o nich niewiedzano prawie. Główna armia kupiła się pod rozkazy króla i jego wodzów, w przedpokojach paziowie szeptali już o Szlązku; lecz poza tarasę w Sans-Sousi nie wyszło ztąd nic. W Dreźnie tymczasem kupowano obrazy, gotowano się do nowój opery i król polował, a Brühl pieniądze przesypywał, oblane łzami i potem biędnych ludzi.

Simonis, który był chłopakiem pojętym, patrząc na to co się tu działo doznawał dziwnego wrażenia. To bezpieczeństwo, ta obojętność zdawała mu się na czémś opartą, a więc straszną. Lękał się więcj o Berlin niż o Dreżno.

Sardanapalowski przepych ten, onieśmielał go i przerażał.

Poza nim nie mógł ani się domyślić ani uwierzyć w taką lekkomyślność olbrzymią, w takie zaślepienie niepojęte, jakie w istocie miał przed sobą. Blumli pozapoznawał go z urzędnikami otaczającymi Brühla i Brühlową: byli to wszystko panowie tak dumni, strojni, ukameryzowani, uperfumowani, wyłoceni jak ich pan i pani. Pieniądz zdawał się tu nie mieć wartości, a zdobycie jego było rzeczą silnej woli. Z rozmów pochwytywał, że gdy potrzeba gwałtowniejsza wypadła, urzędnik akcyzy lub poborca, jechał z oddziałem żołnierzy na prowincyą i wracał z summą żądaną.

Co chwila szeptał mu Blumli:—Oto ten nie miał przed dwoma laty koszuli na grzbiecie, a dziś ma dwóch kamerdynerów i karetę.

Przebywszy ranek cały ze szwajcarem, Simonis zbogacony wrażeniami i pochwytanemi plotkami, pośpieszył do domu, gotując się do obszernej korespondencji. Już miał wejść na trzecie piętro, gdy drzwi się otworzyły na drugiemi i głucha Gertruda dała mu znak że jej pani prosi go do siebie.

Staruszkę zastał tym razem już nie w owym domowym czepcu białym ze wstążkami, ale w wysoko napiętrzonej peruczce, ubraną starannie, z mnóstwem pierścieni na palcach i wachlarzykiem w ręku. Stała w progu kiwając na niego, poza nią widać było młodziuchną, rumianą, śliczną twarzyczkę dziewczki lat może ośmnastu, której puder jeszcze świeżości i barwy dodawał. Dalej stał poza nią w mundurze gwardyi saskiej oficer młody, niepowabnej ale marsowej twarzy, błądy, żółty, jakby wymęczony, z konwulsyjnymi jakimiś poruszeniami, które mu nie dodawały uroku. Dzikie wejrzenie, wydymanie ust, ściąganie twarzy jakby mimowolne, długo nań bez przykrości patrzeć nie dozwalały. Rzuciwszy nań zdala tylko wzrokiem Simonis poczuł jakiś wstręt i obawę. Za to ta różyczka z oczyma niebieskimi, biała i różowa jak cukierek, drobnych kształtów, śliczniuchna, zachwyciła wchodzącego. Oczu od niej nie mógł oderwać. W pośrodku saloniku stół był właśnie nakryty na trzy osoby, a Gertruda, znać domyśliwszy się sama, czwarte niosła nakrycie.

— Chodźże waćpan, kawalerze de Simonis—odezwała się baronowa—ale chodź: czatowałam na niego. Mam tu gości a czwartego nam do stołu brakło: musisz zły obiad zjeść z nami.

I poczęła go prezentować, a potem wskazując na panienkę, odezwała się:—synowica moja, panna Pepita Nostitz (włoskie imiona były w modzie) tak zapalona Saxonka jak ja jestem Prusaczką. A to — dodała — mój dobry przyjaciel, pan kapitan baron Feulner.

Simonis skłonił się obojgu, ale na piękną Pepitę patrzył jak w tęczę, a że był młody i wiele miał też wdzięku, baronówna obdarzyła go wcale uprzejmém wejrzeniem. W każdym

razie wolała pewnie patrzeć na niego niż na niespokojnie wywijającego twarzą barona Feulner'a, który tymczasem cieniego wesał pokręcał, nie mając co począć z rękami. Staruszka kazała zaraz siadać do stołu i rozporządziła tak, że po prawej ręce miała synowicę, po lewej Simonisa, naprzeciw barona. Gość więc nasz wystawiony był na ogień tych oczów niebieskich, napozór łagodny, pociągający, ale rodzący niepokój jakiś i prawie obawę.

Panna pomimo młodości swój, a może właśnie dla tego że była niedoświadczoną, patrzała tak śmiało, uśmiechała się tak swobodnie, jakby ją nowy przybysz wcale nie obchodził.

— Mówże nam waćpan—odezwała się stara—gdzieś był? co widziałeś? kogoś poznał?

— Jeszcze myśli zebrać nie potrafię—odparł Max—po tylu wspaniałościach na Brühlowskim dworze, w głowie mi się zawraca. Staruszka i Feulner spojrzeli po sobie znacząco.

— Tak—trącił Feulner—jeżeli się nie mylę, pan jakiś czas bawileś w Berlinie; po tamtej stolicy dziwnie się to wydawać musi. Przyznam się że dla Saxonii wolałbym koszary niż teatr, i obóz niż galeryę.

Stara pogroziła na nosie.

— Kapitanie, *Nicht raisoniren!* Ostrożnie! Wprawdzie Gertruda głucha, ja milcząca, kawaler de Simonis obcy, ale Pepita, to papla i Prusaków nie cierpi. Myślę nawet że i mnie kochać nie może jakby powinna, dlatego żem się Prusaczką urodziła.

— Ależ kochana stryjenko—przerwała porywczą ładną panią—ja tak mało znam świat, że dla nikogo nienawiści mieć nie mogę, a że swój kraj kocham i że mi się tu wydaje lepij, ładniej, milj, czyż to grzech?

Staruszka pocałowała ją z daleka.

— Ja tobie wszystko przebaczam.

Gertruda wniosła zupę i rozmowa się przerwała na chwilę, ale oczy kawalera de Simonis prowadziły ją dalej z panną, która się wcale nie obawiała tej wymiany wejrzeń i nie spuszczała powiek przed natrętem. Czy się to kapitanowi Feulnerowi podobało, nie wiem; ale krzywił się straszliwie. Zaczęto mówić o dworze.

Pepita należała do frejlin królowej.

— Cóż tam porabiacie—pytała stara?

— Modlim się i zbieramy plotki, bo czémżebyśmy żyły —odpowiedziała baronówna—nie wesoło u nas, za to na tarasie u ministra wszystkie wesele się chroni.

— Masz słusność. O! udało ci się—zawołała staruszka—w istocie i wesele, i życie, i bogactwo téj biednej Saxonii pochłania...

Dziewczę się rozśmiało i przerwało stryjence — *A! nicht raisoniren!*

Baronowa się téż rozśmiała. — Masz słusność, o tém mówić nie wolno; choć stara, mogłabym pójść na wygnanie.

Kapitan Feulner jadł zupę, a z pod oka wpatrywał się w Simonisa... Znalazł zrzętność wkrótce, pochyliwszy się ku niemu zapytać:

— Dawno z Berlina?

— Dni parę!

— Tam co słysząc?

— A!—rzekł Simonis—w Berlinie zupełnie nic nie słysząc... oprócz maszerowania żołnierzy...

— A w Sans-Sousi...?

— Jeszcze mniéj: charciki króla szczekają.

— Żadnych nowin politycznych?

— Cisza zupełna...

Feulner się zamyslił.

— Dziwna rzecz: u nas nigdy się tak nie krzątano, jak dzisiaj, choć nie ma koło czego.

Spojrzał na Baronowę.

— Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tam cisza pokrywała jakąś robotę, a nasza krzątana osłaniała próżniactwo...

Spojrzenie staréj gospodyni zamknęło mu usta. Pepita spytała Simonisa, czy się bawiono nad Spreą...

— O balach i zabawach nie słysząc wcale—odparł Simonis—królowa czasem przyjmuje po obiedzie... u księcia Henryka bywają zabawy huczne, ale na samym dworze nie byłoby się komu bawić...

— A stary Pöllnitz żyje téż?—spytała baronowa.



— W najlepszym zdrowiu, może dlatego, że mu król gorzkich pigułek nie szczędzi—rzekł kawaler.

Kapitan Feulner zapytał o generała Lentulus'a i Warnery, baronowa o lorda Marichal, a po nich z kolei imiona Winterfeldta, von Anhalt, Coccei... wrywały się z ust, tak, że widać było, iż dwór Fryderyka nie był pytającym obcy.

— A widziałeśże pan kanclerzową Coccei?—spytała baronowa.

— Miałem raz to szczęście—rzekł Simonis.

— I wiesz waćpan, kto ona jest?—szepnęła pani Nostitz.

— Niegdyś słynna Barberini.

— Tak, tak, słyszeć musiałeś jej historią—dodała z gadatliwością wiekowi właściwą baronowa—ja naówczas byłam w Berlinie i wiem ja najlepiej. Niech tylko Pepita nie bardzo słucha, to ją opowiem.

Uśmiechnęła się baronowa.—Mówią o Fryderyku, że się nie kochał nigdy, no, ale bałamut z niego, jak i drudzy... Któż nie wie, że z Drezna sobie Formerę zabrał i w Orzelskiej był na zabój zakochany... A pani Wrech...? tylko że u niego miłość zawsze trwa krótko. Już nie wiem, kto królowi zachwalił tak tę baletnicę, która się naówczas popisowała w Wenecyi... tę Signorę Barbarę de Campanini, którą u nas przezwano Barberiną. Prawda, że Campanini naówczas już nie tylko w Wenecyi, ale w Paryżu i Londynie w teatrze Common Garden zbierała oklaski. Zdaje się, że Bielefeld nią królowi nabił głowę. Pruski rezydent w Wenecyi już ją był umówił i kontrakt podpisał, na 7,000 talarów rocznie, gdy się jej za Szkota Mackenzie za mąż wyjść zachciało. W Berlinie czekano na nią, a tymczasem... fru! panna ucieka.

Król sobie nie pozwala uchybiać łatwo, nawet baletniczkom. Bawił naówczas na terytorium pruskiem, przeznaczony posłem do Londynu od rzeczypospolitój weneckiej Cavaliere Campello. Fryderyk zasekwestrował mu bagaże, póki mu Barberini nie wydano. Stał się hałas okrutny. Wzięto jejmościankę pod wartę i rzeczpospolita odprawiła ją do granicy austryackiej, zkąd uprzejmie Austriacy ją odwieźli na granicę saską, a Sasi wręczyli ją w całości naszym Prusakom. Mackenzie jechał, wdychając za nią.

Tymczasem przybyła z matką do Berlina. Kazano jęj wystąpić; podobała się królowi: zamiast siedmiu dano jęj dwaście tysięcy talarów i kawaler szkocki został odprawiony.

Barberini nietylko była piękną, zręczną, ale roztropną, dowcipną, wesołą i król do nięj przychodził na wieczorki. Miała szczęście być zapraszaną do „Confidenztafel” razem z panią Brand i wdową po hrabi Truchsessie. Na maskowych balach u dworu, król tęż do nięj chodził do łoży...

Nie przyznał się do tego Fryderyk nigdy, ale „Charmante Barberina” tkwiła mu w sercu i listy od niego często odbierała. Kochali się w nięj na zabój wszyscy, miała w kim wybierać. Rottenburg, hr. Algarotti, Cavaliere Chazot bez miary Włochów, Francuzów, Rossyan, Anglików padało przed nią. Prawda, że była uroczą... A co Coccei dla nięj wyrabiał. Na jednęj reprezentacyi w teatrze dworskim, Signora tańcowała... Coccei zawsze stawał w pierwszym rzędzie, żeby żadnego ruchu jęj pięknych nóżek nie stracić.

Jednego razu obok siebie spostrzega drugiego takiego zapaleńca, który oczy wywraca i od przytomności odchodzi... Barberini kilka razy spojrziała na niego. Tego już Coccejowi było zanadto. Pochwycił go w olbrzymie ręce i cisnął, jak piłkę na scenę pod nogi ballerinie.

Fryderyk patrzył z łoży, wszyscy struchleli; sądzono, że Coccei zginął. Ojciec poleciał na klęczkach błagać o przebaczenie... posłano go tylko do Głogowa do twierdzy, aby ostygł nieco... Coccei jest dziś jęj mężem, ale czy on szczęśliwy, i czy ona nie wzdycha, nie wiem.

Staruszka zmordowana zamilkła wreszcie. W czasie tego opowiadania, którego nie wiem, czy Simonis słuchał z uwagą, oczy jego ciągle były zwrócone na piękną Pepitę, tak, że choć mało mówili z sobą, zrobili wszakże, jeśli nie blizką znajomość, to przygotowanie do nięj, wiele obiecujące...

Staruszka, która lubiła mówić o przeszłości, już miała począć drugą historyjkę podobną, gdy kapitan Feulner wprowadził rozmowę na domowe sprawy.

— Panna baronówna—rzekł—musisz to wiedziēć najlepiej: wszak się nie myślę, ktoś z Wiednia w tych dniach musiał być u królowej?

— Nie wiem dobrze o tém—odpowiedziała baronówna. Zresztą nie byłoby nic dziwnego, bo między królową a jej rodziną muszą istnieć stosunki.

— Słyszałem—dodał Feulner—że nigdy one częstsze i gorętsze, jak w tej chwili nie były?

Popatrzał na baronowę znacząco.

— Ja o tém sądzić nie umiem—szepnęła Pepita.

Tymczasem obiad skromny zbliżał się do końca, baron zdrowie gospodyni wypił z Simonisem... przyniesiono owoce...

— Król Fryderyk ma najpiękniejsze w Niemczech gruszki, brzoskwinie i winogrona—odezwała się baronowa—i pewnie ich więcej spożywa, niż którykolwiek z jego poddanych.

Na tém się skończyła pogadanka u stołu, gdyż wstawać trzeba było, a Gertruda dawała do zrozumienia, iż dłużej czekać nie może. Podnieśli się więc wszyscy.

Kapitan zbliżył się do gospodyni, którą na chwilową, cichą rozmowę odciągnął ku oknu, a Simonis korzystał z tej zręczności, aby się zbliżyć do baronówny i słów kilka z nią zamienić.

Oboje z naiwnością dziecinną niemal nie taili przed sobą, że się podobali sobie. Pepita spytała, czy zabawi w Dreznie; kawaler miał odwagę wyznać, iż radby ją widzieć znowu, a nie wie, gdzie będzie mógł spotkać.

— O! wszędzie!—odpowiedziało dziewczę—a najłatwiej u stryjenki...

Maxowi, nieskłonemu wcale do łatwego zawrotu głowy, tym razem i serce biło, i młodość czuć się dała ze swą gorączką. Dziewczę tak było ładne, a tak zdawało się przystępne i miłe...

Wśród bardzo żywej rozmowy, wpadła, śmiejąc się gospodyni i zawołała...

— O! o! proszę mi tylko nie bałamucić synowicy... bardzo proszę.

Z drugiej strony kapitan Feulner wziął go pod rękę i szepnął: Chodźmy: mamy do pomówienia z sobą.

Kawaler się żegnał z paniami, choć niechętnie, gdy baronowa przystąpiła do niego i cicho na ucho dodała...

— Polecam wam kapitana!!! To *nasz* dobry przyjaciel.

Z tém wyszli; kawaler niedobrze zrozumiał, co miało znaczyć to wyrażenie, gdy baron zażądał, aby razem wstąpili na górę. Simonis zgodził się na to chętnie... Milcząco przeszli schody, i gdy się w pokoju na spoczynek wygodny u okna rozsiedli, kapitan, obejrzawszy się dokoła, pochylony ku Simonisowi, mówić zaczął głosem niższym:

— Baronowa mówiła mi o panu... wiem, że mu zaufać mogę. Nie potrzebuję od niego żadnych zwierzeń, ale sam usłużyć może potrafię informacją potrzebną...

Simonis zdziwił się trochę...

— Niech to pana ani trwoży, ani zdumiewa—spokojnie począł baron—we wszystkich warstwach, u góry i u dołu, znajdziesz pan ludzi, którym ten stan kraju dokuczył, i których sympatyje są gdzieindziej. Jest nas tu więcej, niż sądzisz, co pracujemy, aby nieznośnemu uciskowi i wyzyskiwaniu kraju przez niegodną gawiedź, koniec położyć...

Myśmy protestanci, dwór jest katolicki; ale niechby był czém chciał, gdyby Boga miał w sercu. Gdybyś przejechał Saxonią i zobaczył jęj nędzę, a postawił ją przy tym zbytku i marnotrawstwie jakie tu panuje, pojałbyś dopiero co mamy w duszy. Muzyka odzywa się nam jękiem, myśliwskie rogi chrapaniem konających... Po tych galonach złotych płyną łzy ludzkie. Tak dłużej być nie może. Król nie winien nic, to stare dziecko, które kołyszą aby nie płakało, a gdy zapłacze, dają mu niedźwiedzia, tak jak dziecinie lalkę...

Baron wstał i odetchnął, a czoło potarł...

— Jestem wojskowym—dodał—wojsko bezpłatne, umiera z głodu... z głodu nęka włościanina i miasta... Wolno mu wszystko, byle się o żołd nie upomniało. Wojsko to nic nie jest warte... Ubrane w paradne mundury, może z daleka błyszcząć, ale dwóch tygodni kampanii nie wytrzyma...

Simonis słuchał, nie śmiejąc się odezwać.

— Możesz mi wierzyć, że mówię prawdę i na wiarę słów moich *pisać*.

Tym wyrazem dał uczuć Simonisowi, iż jest wtajemniczonym. Kawaler chciał zaprzeczać, Feulner się rozśmiał...

— Pochwalam waszą ostrożność, ale ona ze mną nie jest potrzebną — dodał. Zkądżebym wiedział o was, gdyby mi znać nie dano, że otwarcie mówić mogę.

Na mnie, na wielu innych rachujcie — dodał kapitan. W Berlinie wiedzieć powinni wszystko. Na nas tu są oczy zwrócone, wy jesteście tu obcy, przez was płynąć tam powinny informacje... Ostrożność jednak nie zawadzi. Słodki Brühl nie waha się sprzątnąć człowieka, gdy mu zawadza, a potem w katolickim kościele i w ewangelickim odprawi zań nabożeństwo...

W przyszłym liście piszcie, co słyszycie i widzicie. Zapewnijcie, że traktat w imieniu Saxonii nie jest podpisany, ale ta formalność nic nie znaczy... Brühl związany jest z Austryą i Francją, to nie ulega wątpliwości. Jeśli Fryderyk da im czas wojska zgromadzić i obsaczyć siebie, zginął, a z nim i monarchia pruska.

W ten sposób, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, kapitan Feulner mówił długo jeszcze; wreszcie wziął za kapelusz i pożegnawszy Simonisa, wysunął się od niego...

Rozmowa ich z sobą trwała z godzinę: dzień był jeszcze jasny, piękny, i kawalerowi nie chciało się wziąć do pisania, które rad był odłożyć do nocy. Po krótkim więc wahanii, wyjrzawszy oknem i widząc, że kapitan był już daleko, Simonis wziął za kapelusz, myśląc pójść obejrzeć okolice. Mówiono mu wiele o bażantarni... Było to wspaniałe dzieło Augusta Mocnego, jego *Parc aux cerfs*, w którego pustych teraz domkach, dwóch jezuitów i kilku Włochów zamieszkiwało.

Już się spuszczał zwolna ze schodów i minął był drugie piętro, gdy za nim drzwi się otworzyły, zaszeleściła suknia jedwabna i serce mu powiedziało, wprzód nim się obejrzał jeszcze, że piękna Pepita wychodziła.

W istocie onato była... Stara, głucha Gertruda, otulona chustką, służyła jej za towarzyszkę. Simonis się zatrzymał, podnosząc kapelusik i chciał ją puścić przodem, aby mieć przyjemność jeszcze raz spojrzeć w te prześliczne oczy... Panna baronówna przyspieszyła kroku, spojrzała nań i zrównawszy się z nim, po chwili wahanía, zaczęła iść powoli, miejsce mu zostawiając obok siebie.

Simonis nie śmiał jęj zaczepić słowem, dziewczę było odważniejsze od niego.

— Rada jestem, że się spotykamy, kawalerze de Simonis — rzekła nieco niższym głosem... Przyznam się panu, nie bierz tego ze złej strony, ani zbyt pochlebiaj sobie: obudziłeś pan sympatyą we mnie.

Simonis zarumienił się cały. Pepita spojrzała nań i rozśmiała się dziecinnie.

— Ta sympatya jest powodem, że pana przestraszycm chciała. Tak: przestrasz... chociaż się wydaję takim młodym trzpiotem, jak mnie pan widzisz: przy dworze prędko ludzie starzeją. Otóż? jakby to powiedzieć panu?? Stryjenka nadto lubi Prusaków... jęj to wolno... lękam się, aby kapitan także nadto się w nich nie kochał. Niezmiernie mi łatwo się domyślić, co pan tu robisz i poco przyjechałeś w tęg chwili.

— Pani! Ja podróżuję! ja nie mam innego celu, nad miłe przepędzenie czasu i naukę...

— Oh! oh! — rozśmiała się panna — a przybyłeś z listem do stryjenki? Nie mówmy o tęg: ja dużo widzę, choć młode mam oczy.

Mówią o nas, że tu wszyscy ślepi... że się tak szalenie bawimy, iż nie poczuujemy, jak nam pod stopami runie posadzka balowa. Może to być... potrosze; ale są ludzie, co patrzą i czuwają. Stryjence się nic nie stanie: kapitana Feulnera już bardzo mają na oku; wiem o tęg, ale go przestrasz nie mogę... Co mi tam!

Panaby mi żal było... gdybyś się tam dostał — szepnęła ciszej — zkad powrócić trudno... trudno.

Spojrzała mu w oczy...

— Pan jeszcze może nie jesteś w niebezpieczeństwie, ale za jutro nie ręczę. Szkodaby mi was było.

To mówiąc wstrzymała się jakby przestraszona, obie ręce przyłożyła do ust; potęg jedną z nich chwyciła rękę kawalera i rzekła żywo:

— Słowo rycerskie że mnie pan nie zdradzisz!

— Pani, byłżebym najnikczemniejszym z ludzi? Przy sięgam!

— Bądź ostrożnym...

I szybko, tak że osłupiały Simonis gonić jęj nie mógł, zbiegła po schodach na dół nie oglądając się nawet. Gertruda mruczając i chwytając poręcze, przeklinając trzpiotowatą młodość zesłała za nią, a Simonis powoli, nie mogąc przyjsć do siebie, spuścił się za niemi i wyszedłszy w ulicę, już ani śladu pięknej panny i jęj towarzyszki nie znalazł: ukryły się gdzieś za kamienicami.

Niespodziana ta przestroga, równie jak rozmowa z kapitanem, dawały mu tyle do myślenia, iż nierychło się poruszył aby isć dalej. Max nie był nazbyt odważny a z natury przebiegły raczej, nawykł był każdą czynność obrachowywać wprzód bacznie. Wdzięezen był pięknej panience, lecz przestroga ta szyki mu mieszała; potrzebował surowo roztrząsnąć wprzód co mu dalej czynić wypadnie. Uspokajało go to jedno, że na pokrycie skrytych celów podróży, miał znajomość z Blumli i stosunki jakie się mu przyrzekał wyrobić na dworze Brühla. Ostrożność kazała może opuścić mieszkanie u baronowej, ale z niem razem potrzeba się było wyrzec spotkania i widzenia z piękną Pepitą, a niebieskie jęj oczy nadto głęboko tkwiły mu już w młodem sercu. Nawet ta przestroga tak śmiała, mocniej go jeszcze przywiązywała do nięj. Cóż począć było? Czy wzgardzić niebezpieczeństwem, czy uchodzić od niego?

Nie szło tu zresztą o osobę samego pana kawalera, choć i ta wielce mu była drogą, ale o sprawę którą zdradziłby musiał, o zawód jakiby uczynił. Jakkolwiek obrachowany i przygotowany do dorabiania się w świecie jakimkolwiek kosztem stanowiska, Simonis jeszcze poczuwał się do obowiązku wierności tęg sprawie, której raz się był podjął.

Na słońcu i owiany powietrzem, spojrzawszy na wesoły świat, odetchnął jakoś swobodniej; groźba w ciemnych schodach na ucho mu rzucona przez ładną panienkę, wydała się czczym postrachem! Pięknej Pepicie przywidywało się chyba. Wszystko co dotąd tu widział, okazywało taką obojętność, taką apatyę jakąś, iż szpiegowanie obcych wydało mu się niepodobieństwem.

Poradzić się nie miał z kim.

Beguëlin nie był człowiekiem do rady i nie budził zaufania; kapitanowi tak świeżo poznanemu zwierzyć się było niepodobieństwem. Simonis rozmyślał jeszcze, gdy na zawrocie z rynku, który przechodził powoli, spostrzegł owego milczącego staruszka, współtowarzysza podróży z zaciśniętymi usty, z którym razem przybył do Drezna. Przebrany był teraz daleko wytworniej i przedstawiał się jako poważny stary urzędnik, co najmniej radzca gabinetowy, a mina z jaką poglądał na ludzi, świadczyła że nad nich wiele wyższym się mniemał. Szedł zwolna, nie śpiesząc, opierając się na lasce z gałką złoconą, jak człowiek który nie ma nic do czynienia i któremu wcale nie jest pilno. Oczyma powlekał po domach ulicy, przechodniach, a niekiedy machinalnie sięgał do kieszeni, dobywał z niej tabakiery i pociągał hiszpanki, której ślady starannie z kamizelki strzepywał.

Zagadkowa ta postać postrzegła znać i poznała towarzysza podróży, z uwagą w niego wlepiła oczy, i zdawała się nawet chcieć przybliżyć. Simonis nie doświadczywszy w drodze najmniejszej ze strony jego grzeczności, nie myślał wcale zabierać znajomości. Lecz że z zasady był grzecznym dla wszystkich, pamiętając iż go uczono, jako nigdy przewidywać nie można, kto kiedy komu przydać się może, mijając starego dziadka od orzechów, przyłożył rękę do kapelusza i pozdrowił go idąc dalej.

Stary oddał ukłon ten daleko uprzejmiej niż się po jego obejściu w podróży spodziewać było podobna, przyśpieszył nieco kroku i dogonił kawalera.

— Jakże panu podróż posłużyła—zapytał dziwnym głosem cieniuchnym—jak się nasze Drežno podoba?

Zdziwiony trochę Simonis odparł że czuł się zdrów, i że stolica Saxonii, którą znał mało, wielce mu się zdawała powabną.

— A tak! tak! my Drezdeńcy możemy się nią pochłubić—rzekł stary.—Jak mnie pan widzisz, z dziadów, pradziadów tutejszy jestem, rzadko wyjeżdżam, a i tym razem—tu zniżył głos—tym razem przypadkiem tylko byłem w Berlinie, odwiedzić chorego przyjaciela. Co gorzej—szepnął zafrasowany—będąc urzędnikiem, pojechałem bez pozwolenia, bez



wiedzy moich zwierzchników i, radbym żeby o téj podróży nie wiadano wcale. Dlatego to ośmieliłem się go zaczepić, w przypadku gdybyśmy się gdzie w świecie spotkali, obliguję mocno, abyście mnie nie wydali.

— A! panie—rozśmiał się Simonis—nie mam szczęścia go znać, mało gdzie bywam i wątpię ażebyśmy się spotkali. Daleko prędzej inni towarzysze podróży...

— O! co!—rozśmiał się stary—to są ludzie ze sfer innych: rzemieślnik, aktorka, z temi się pewnie nie znajdę nigdy razem i o tych mi nie idzie.

— Co do mnie—rzekł Simonis—możesz pan być spokojnym.

— Pan tu długo myślisz pozostać?—spytał stary—i, jeśli wolno spytać, jaki cel jego podróży?

— Na pierwsze pytanie odpowiedzieć mi dosyćby było trudno—odparł Simonis—co do drugiego, odgadniesz pan łatwo. Jestem młody, szukam zajęcia. Nie znalazłem go w Berlinie, któż wie?

— Masz pan znajomych?

— Ziomków—rzekł de Simonis. Jestem Szwajcar, nas wszędzie pełno. Piękny kraj nasz mało daje chleba, instytucje republikańskie pozbawiają nas dworu. Młodzież nasza służby po świecie szukać musi.

Stary słuchał z uwagą.

— Tak, tak!—rzekł głosem suchym—mamy dwór liczny, a Jego Ekscellencya pierwszy minister żyje też po monarchicznemu. Dlaczegooby się pomieszczenie znaleźć nie mogło. Talenta pewnie są...

— Młodość! siły! ochota!—odpowiedział Simonis.

Rozmawiając tak szli dalej ku bażantarni i już się znajdowali wśród pola, które przegradzało las od miasta, gdy w ulicy bocznej zjawił się kapitan Feulner... i niezmiernie zdziwiony, zobaczywszy Simonisa w towarzystwie starego, podniósł obie ręce do góry.

— Jakto, panie radzco, już i wy tego kawalera znacie? a to przedziwnie!

Twarz starego pobladła, jedną ręką dał jakiś znak mówiącemu, drugą machinalnie sięgnął nic nie odpowiadając po tabakierkę.

Simonis stał zdumiony.

— Zupełnie przypadkowe spotkanie—odezwał się powoli radzca—zupełnie przypadkowe: pierwszy raz w życiu! Ani ja nie wiem z kim miałem honor rozmawiać, ani szanowny ten pan.

— A to więc chyba Opatrzność was zbliżyła—zawołał Feulner—pan radzca Mentzel senior; kawaler Max de Simonis. Mocno go panu radzcy polecam: jest domownikiem baronowej Nostitz, to dosyć.

Radzcy się twarz nieco rozjaśniła, ale usta stały zaparte. Feulner wnet zmienił przedmiot.

— *A propos*—dodał—ta dzierlatka która nam przy stole swobodniej się rozgadać nie dozwoliła, przestrzegam cię kawalerze, abyś się jęj zbałamucić nie dał. Trzeba być ostrożnym. Dziewczyna, choć synowica baronowej, a raczj jęj męza, ale wcale odmienne ma przekonania. Ciałem i duszą przy dworze. A umysł żywy! domysłne dziecko i, zapalone. Więc miejcie się za ostrzeżonego.

Radzca pochylił się do ucha kapitanowi, poszeptali coś z sobą i skłonił się raz jeszcze Simonisowi.

— Ale czy we trzech, moi panowie, bezpiecznie nam tak wędrować o białym dniu? jak myślicie?—zapytał.

— Panowie na to lepiej odpowiedzieć potraficie—odezwał się Simonis—ja się do ich rozporządzenia zastosuję.

Prawdę mówiąc i jemu się nie bardzo chciało narażać, od czasu otrzymanej przestrogi; namysłwszy się więc dodał:

— Jak tylko taka wątpliwość zachodzi, czy nie lepiej iść z osobna?

Feulner ruszył ramionami:—A zapewne, chociaż to mi wszystko jedno.

— Mnie zaś—mruknął Mentzel—zupełnie nie jedno.

Simonis już podniósł kapelusik i dokoła się zęgnął nadrabiając uśmiechem, chociaż nie bardzo był spokojny i niezbyt wesoły.

Na dobitkę stary Mentzel z myślą czy bez myśli, wskazując odkryty z miejsca w którym stali, widok na Szwajcaryę saską, rzekł niby obojętnie:

— Patrzcie panowie, wszak to tam we mgłach, hen! hen!... widzicie, to Königstein.

— Tak, to Königstein — mruknął ramionami ruszając Feulner.

Simonis się mimowolnie zatrzymał.

— Ilu to tam człowiek miał i ma znajomych — mruczał Mentzel jakby dla nauki Simonisowi — baron von Beneda-Netzky, siostrzeniec hrabiniej de Bellegarde, z domu Rutowskiiej: wszak znajomy i wam kapitanie Feulner.

— Towarzysz broni! — bąknął lakonicznie kapitan.

— Jan August Heerwagen, syn radczyni Hausius, już powtórnie; znajomy także.

— Od dzieciństwa! — rzekł kapitan.

— Kamerherr i obristleitnant hr. Kollowrat, synowiec hrabiniej Brühlowej; — hm! chrząknął stary.

— Czyż być może? — wyrwał się Simonis.

— Jak mnie pan widzisz żywym — odparł Mentzel spokojnie — ale mój rejestr wspomnień nieskończony.

Hrabia Chrystyan — mówił dalej jakby czytał z papieru — Traugott Holzendorf, syn hrabiego i nadradzcy konsystorza, szwagier syna hrabiniej Cosel, chorąży od dragonów, pewnie znajomy wam, panie kapitanie?

— Towarzysz broni — rzekł z pogardliwym uśmiechem Feulner.

— Dalej, czekajcie panowie, mam jeszcze kilku: zaraz — mówił stary stukając laską o ziemię — pułkownik Henryk Levin von der Osten, mówią że skradł pieniądze pułkowe; ale kapitanie Feulner, czy też to być może?

— Trudno, bo od lat trzynastu pułki nasze żadnych pieniędzy nie widziały.

Mentzel się począł śmiać.

— Nie wiem o tém — rzekł — ale na honor, kilka jeszcze imion przychodzi mi na pamięć.

— Kapitan Petter Ernest L'Hermet, baron du Cailau, za jakąś historią *adulteriï et blasphemiarum!* To jeszcze szczęście — dodał Mentzel — bo *in puncto adulteriï*, prosty człowiek głową nakładał wedle prawa, ale baronowie...

Feulner przerwał:

— Potwarz na niego rzucono: to mój przyjaciel.

— Winszuję — dokończył stary — ale to jeszcze nie koniec. Nie liczę pp. von Roebel i von Zedtwitz, bo ci już muszą być wolni, ale nie mogę opuścić kapitana d'Elbéc i junkra Abels, syna mojego dobrego przyjaciela pana radzcy wojennego.

Kończąc to wskazał jeszcze raz na Königstein, zdjął kapelusz i rzekł z przyciskiem:

— To... Königstein. Żegnam panów moich.

Kapitan wszedł w boczną ulicę, a Simonis pozostał sam jeden.

\* \* \*

Była godzina szósta rano. Okno gabinetu pierwszego ministra, wychodzące na ogród i na taras, na Elbę i zielone łąki u jej brzegów, było otwarte; świeże powietrze poranku niém się wciskało: wspaniały widok na Nowe miasto, na dalekie góry ztąd się roztaczał.

Brühl, który tylko co był wstał z łóżka i wdział przepyszny szlafrok z materyi chińskiej, a na głowie miał peruczkę ranną bez pretensyi, jedną z półtora tysiąca, jakie zawsze były w zapasie; patrzył machinalnie na krajobraz, ale twarz miał jakąś posepną i zamyśloną.

Na stoliku leżał list otwarty, do którego kilka razy powracał; brał go w rękę, czytał i rzucał z pewnym rodzajem gniewu, jakby go zrozumieć nie mógł.

Na twarzy wszechwładnego ministra lata ubiegłe mało zostawiły śladu: miała ona jeszcze jakiś fałszywy odbłysek młodości, chociaż zarysowywały się na niej fałdy i cera przybierała ten pozór miękkiego grzybka, którym piętnuje człowieka znużenie i zużycie.

Na zegarze Nowego miasta właśnie dobijała szósta.

Gabinet był widocznie do pracy i dla interesów przeznaczony. Ogromne biuro cylindrowe, w tej chwili otwarte, pełne stało porozrzucanych papierów, na stołach także leżały pliki. Brühl zdawał się oczekiwać na kogoś. Zapukano z lekka do drzwi i gdy się te otworzyły, wsunął się raczej niż wszedł o kiju, nogami już powłóczący, zestarzały, z dobrotliwym uśmiechem na ustach, w szarym, długim cywilnym surducie Pater Guarini.

Brühl podbiegł prędko i chwyciwszy go za rękę, pocałował w nią, a jezuita dotknął ustami jego ramienia i oczy nań podniósł z wolna.

Minister podsunął mu krzesło, które starzec zajął prędko.

— Piękny dzień — rzekł cicho — *belissima giornata*.

— Tak — bezmyślnie odparł minister, który stanął przed nim — ale i piękne dni chmury mają. Nim nadejdą ci których wezwałem, kochany Ojcze, nie mam dla ciebie tajemnic: spojrzycie co Fleming już mi po raz drugi z Wiednia pisze.

O. Guarini dobył szybko okularów i włożywszy je, z uwagą podane pismo odczytywać zaczął. Na twarzy jego przebiegały niezrozumiałe jakieś wrażenia, które pismo wywierało: wykrzywiła się, przeciągała, marszczyła; ale nie rzekłszy słowa, ramionami ruszył i list oddając Brühlowi rzekł: — nie rozumiem.

— Ja także — ręce rozkładając szeroko zawołał minister — potwarz, intryga, chęć pochłubienia się wielką zręcznością; kłamstwo może.

— Nie, Flemingby nie kłamał — dodał Pater Guarini — słyszałem u królowej, że jej coś podobnego pisano z Wiednia.

Brühl się nasrożył. Cóż to do królowej J. Mości należy?

— Ona się też do tego nie miesza — rzekł Ojciec — ale gdy jej piszą... Mój Brühl... zdrajców jest pełno, mogą być i u ciebie.

Zamilkł na chwilę i dodał:

— *Dio mi guardi la quella gatta, che davanti mi lecca e di tro mi sgraffia...* (Niech mnie Bóg strzeże od takiego kota, który z przodu mnie liże, a z tyłu mnie drapie).

Zapukano do drzwi i pogodna, roztropna, pełna sprytu, ale niemilego wyrazu twarz vice-królem zwanego Globiga ukazała się we drzwiach. Z nim razem szedł drugi powiernik ministra, Hennicke.

Brühl odwrócił się ku nim.

— Panie radco — odezwał się do ostatniego — uczyńcie mi tę grzeczność, zapowiedźcie, aby nikogo nie wpuszczano tu więcej. Tajemnica *status...* wezwałem panów na poufną radę.

Hennicke na chwilę się wychylił i powrócił niemniej szybko.

— Nim zaczniemy o tém mówić — odezwał się Brühl z powagą przybraną i wymuszoną — proszę panów abyście te dwa listy hr. Fleminga odczytali. O pierwszym nie mówiłem nikomu lekce to ważąc, drugi nas zmusza do narady.

Globig z wprawą człowieka, który długiego pisma nie potrzebuje całego czytać by odgadł treść jego, szybko przebiegł oczyma podane sobie papiery. Stojący za nim Hennicke, zmrużywszy oczy, oblizując się, również szparko szukał treści... Brwi mu się namarszczyły. O. Guarini wpatrywał się w obu milcząc.

— Krótko mówiąc—podchwycił Brühl—rzecz jest następująca: Fleming donosi nam z Wiednia jako rzecz pewną, niezawodną, dowiedzioną, że wszystkie nasze depesze tajemne, jakie odbieramy od posłów z Wiednia, z Petersburga, Paryża, Londynu, słowem ze wsząd... w kopiach są z naszej kancelaryi udzielane sekretnie do Berlina.

Globig wykrzyknął:

— Kłamstwo! to nie może być!

— Nie może być! — ponuro powtórzył Hennicke—a na-przód, jakżeby o tém wiedziano w Wiedniu?

Brühl mówił dalej namarszczony.

— Kancelarya Cesarzowej J. Mości, ma, albo przynajmniej chwali się takimi stosunkami, iż wie jak trawa rośnie w Berlinie i co J. Kr. Mość Fryderyk II wieczorem w Sans-Sou-si, mówi generałowi Lentulusowi na ucho!

Ruszył ramionami.

— Cesarzowa, jak mi pisze Fleming, obawiając się czy wiedeńskie depesze po drodze gdzie nie są przejmowane, naka-zała najsurowsze śledztwo; czyniono je w Wiedniu i w Pradze: najmniejszego nieznaleziono śladu.

— Ale i u nas się nie znajdzie śladu—zawołał Globig go-rąco—mnie idzie o mój i o honor moich urzędników. To wprost być nie może. Szafa w której się mieszczą depesze se-kretne dyplomatyczne jest pod moim kluczem, klucz ten na chwilę mnie nie opuszcza.

To mówiąc Globig dobył z kieszeni pęk i wskazał misterny spory klucz, który natychmiast schował.

— Depesze—dodał żywo—mogą być gdzieindziej łapanie; nie wiem... ale nie z pod tego klucza.

Co więcej, szafa stoi w sali, w której kilku kancelistów pracuje. Tajny kancelist Mentzel prawie jój nigdy nie opuszcza.

— A jednak...—rzekł Brühl.

— A jednak — powtórzył Guarini — *si muove qualete cosa*. Hennieke rękami strzepnął jakby z rozpaczy.

— Rzecz dla nas najwyższej wagi — mówił Brühl — nieskończonej doniosłości... Jeżeli w Berlinie wiedzą o układach, traktatach, umowach... cały nasz plan rozbić się może.

— Ba! — przerwał Hennieke — w Berlinie czego nie wiedzą, to odgadną. Spiegowstwo jest, jakim się żadna stara ani młoda monarchia poszczycić nie może.

— Przepraszam cię panie radco — odezwał się Brühl — Cesarzowa jest jeszcze zręczniejszą od Fritza, bo Fritz u nas kradnie depesze, a ona odkradzione otrzymuje od złodziei. Toć przecie jeszcze większa sztuka. U nas przypuściwszy, że się coś podobnego dzieje, łatwo ze szlachetności naszój, dobrój wiary i zaufania korzystać, ale podchwycić u Fritza! Ha! ha!

Guarini się rozśmiał, Globig i Hennieke stali milczący.

— Jednakże — odezwał się Guarini — powinniście się w ludziach waszych rozpatrzyć; Fleming i Kaunitz kłamać nie mogą, a *dar lu lattuga in guardia a paperi* (zamknąć wilka w oborze).

— Nie może być! — zawołał Globig — wszystkich w myśli przebiegam, na nikim cieniu podejrzenia widzieć nie mogę.

— Ani ja — rzekł Brühl przechadzając się. Ta denuncyacya nie od dzisiejszego dnia datuje; psują mi nią uszy dawno. Prosiłem Kaunitza, aby mi na dowód przysłał z tego źródła choćby jedną depeszę... odmówił...

— To dowód że prostym wierzą plotkom — zawołał Globig — u nas zdrajcy być nie może.

Jezuita się uśmiechnął.

— *O sancta simplicitas* — rzekł cicho — Chrystus miał kilkunastu apostołów i wśród nich znalazł się zdrajca; wy macie kilkuset urzędników i ręczycie że między niemi niema Judasza.

Zamilkli wszyscy.

— Mości panowie — odezwał się Brühl — jeżeli tajemnice gabinetu naszego zdradzone zostaną; jeżeli zawczasem nim cesarskie wojska zbliżą się ku granicom, a francuzkie wysłane zostaną, Fritz zwietrzy robotę naszą; jeżeli się domyśli jaki ja w tém udział miałem... Saxonia ucierpieć może...

Chwilę chodził niespokojny.

— Nie żebym się obawiał tego królika, którego korona pozłacana jeszcze wyschnąć nie miała czasu. Prusy... nie podążają nam, monarchia ta z rządu mocarstw europejskich wymazaną być musi.

Tak jest. Zachodzi fizyczne niepodobieństwo ażeby się nam Fritz obronił; liczymy.... Austria daje 180,000 żołnierza z Piccolominim i Bour'em. Sto czterdzieści tysięcy Rosyan idzie już ku granicom, tyłuż mieć będziemy Francuzów, naszych Sasów niech tylko 20 do 30,000, Szwedów ośnaście; złączonej armii Cesarstwa dwadzieścia, Württembergczyków dwanaście... Proszę zliczyć... Przypuszczam że Fritz wypędzi do ostatniego parobka i złoży półtorakroć sto tysięczną armią. Jakże się potrafi oprzeć napaści ze trzech, ze czterech stron?

Jest zgubiony—mówił żywo Brühl—to rzecz oczywista, na dłoni... ani pieniędzy, ani ludzi, ani żywności nie ma. Zgubiony, powtarzam... Ale trzeba aby nasze plany dojrzały, abyśmy mieli czas nastawić pułapkę na tego szczura.

Guarini patrzył na mówiącego z uwagą, minister się rozgrzewał, zapalał i zwycięstwo już go zawczasu rozpromieniało. Globig i Hennieke słuchali potrząsając głowami.

— Na wszelki wypadek—odezwał się Globig nieśmiało—o naszym wojsku pomyślećby też potrzeba.

— Zawczasem jeszcze—rzekł lekceważąco Brühl—zawczasem. Fleming mi zaręcza, że w ciągu tego roku nic się nie pocznie, mocarstwa sprzymierzone planu jeszcze niezakreśliły i tak rychło na Prusy nie napadną. Czego się mamy spieścić? Wojsko nasze jest w stanie świetnym, zaręczał mi to generał Rutowski; sam widzę....

Doradzczy zamilkli.

— Do wiosny nie mamy się wcale czego lękać; czas jeszcze na wszystko.

Domawiał tych wyrazów, gdy do drzwi pukać zaczęto.

Brühl się rozgniewał.

— Mówiłem by nie wpuszczano nikogo.

Hennieke pobiegł do drzwi i wrócił z kopertą wielką pieczęcią zalepioną.

— Depesza z Wiednia!



Niecierpliwie ją rozpieczętowując Brühl poszedł do okna. Ze zwykłą sobie szybkością, przebiegł ją oczyma; O. Guarini, który nań patrzył, dostrzegł że brwi się mu ściągały.

— Oni tam w Wiedniu jakiegoś dostali gorączki—odezwał się Brühl—Fleming mi donosi, że król pruski zapytuje już ich o przyczynę przygotowań wojennych. Zwiertrzył więc coś.... Mogę mu odpowiedzieć przecież że żadnych nadzwyczajnych nie robią. Ruchy wojsk zawsze się dają tranzlokacją tłumaczyć.

— Wszystko się daje tłumaczyć—szepnął Guarini—*ma questo diavolo* niczemu nie daje wiary.

Minister chodził po pokoju zamyślony, jakby już myślaniami był gdzieindziej. Globig i Hennicke szeptali między sobą.

— Radzco Globig—odezwał się Brühl—proszę o największą tajemnicę co do naszych depeszy; ale trzeba mieć oko na wszystkich, na wszystkich.... Czas abyśmy i my, jak Fritz nauczyli się niewierzyć nikomu.

Hennicke przyszedł coś mu poszeptać do ucha.

Guarini oparty na lasce dumiał milczący. Globig ręce pod frak włożywszy przechadzał się po gabinecie. Milczenie trwało dobrą chwilę, poczem vice-król z Hennickem pożegnał się i wyszedł.

Brühl ziewając padł na kanapę, na białym ręku składając znużoną głowę.

Ojciec Guarini patrzył nań z jakimś uczuciem, którego natury trudno było odgadnąć.

— A! —odezwał się Brühl—służba ta prawdziwy krzyż, ludzie zazdroszczą, nikt nie wie co ona kosztuje i jak cięży. Ma to pozory świetne, a ani chwili pokoju.

— *Onus pro peccatis!*—uśmiechnął się Jezuita—dałbyś pokój, jam to już słyszał... Cóż dziś? opera, koncert, polowanie, strzelanie do celu?...

Brühl spojrzął na notatkę leżącą na stole.

— Opera —rzekł.

— A! to moja sprawa potrosze—począł Guarini—alem ja już ociężał nawet do tego. Namby nowych sił potrzeba, nowych śpiewaków i śpiewaczek.

— Król starych swych lubi najlepiej.

— Ale ci chrypną coraz, jak ja—dodał Guarini i wstał powoli z fotelu.

— O której idziesz do króla?

— Jak zwykle, przed dziewiątą.

Guarini się zabierał do wyjścia, Brühl go przeprowadził aż do drzwi salonu. Za ledwie wrócił do gabinetu, gdy bocznymi drzwiami wsunęła się niepokieszona figurka. Liberya królewska wskazywała, że to był prosty lokaj z przedpokoju, ale lokaje naówczas nadzwyczaj ważne grali rolę.

Z większą daleko uprzejmością, niżby się spodziewać było można, Brühl się zbliżył bo wygalonowanego służalca.

Był to jeden z tych co pod pozorem służby Króla J. M. pilnowali aby się do niego nikt docisnąć nie ważył, nikt nie przemówił, nikt papieru nie podsunął. Pocichu poszeptał z ministrem i zniknął.

Szeregiem po tém zjawiać się zaczęli: brat ministra tajny radzca Fryderyk Wilhelm, za nim w. koniuszy dworu Jan Adolf Brühl, generał Brühl, szwagier ich Berlepsch, hr. Kolowrath i mnóstwo innych kreatur tego wszechmogącego człowieka. Każdy jakiś raport, żądanie, radę, plotkę przynosił.

Na srebrnych tacach przyniesiono jeden list od hr. Mozyńskiéj, drugi od hr. Sternberg żony posła austriackiego. Na chwilę zjawił się téż z uśmiechem na ustach, piękną i pełną życia twarzą młody syn ministra Alojzy, a gdy wszystko to przeciągnęło, i trzy kwadrans na ósmą zegar wydzwonił, czas się było ubierać. Toaleta zajmowała okrągłą godzinę, a przed dziewiątą Brühl już u króla być musiał.

Gdy czas ten nadchodził, August się niecierpliwił, patrzył na drzwi, brakło mu faworyta i rad téż był odbyć swą pańszczyznę, to jest popodpisywać, co mu przynoszono do podpisu.

Ceremonia ta odbywała się codziennie jednakowo: August zobaczywszy stos papierów, wzdychał, siadał do stolika, próbował pióra i nie zaglądając wcale ani pytając o treść aktów, z wielką pilnością a żwawo opatrywał je w podpisy. Z twarzy J. Kr. Mości widać było iż czuł jak ogromnie pracował. Czasem za dwudziestym „Augustem” wzdychał i spoglądał na Brühla, Brühl się uśmiechał z kondolencyą.

— Trudy panowania, N. Panie — szeptał. I król westchnąwszy raz jeszcze, pisał dalej z wielkiem poczuciem świętego obowiązku jaki spełniał.

Tego dnia téż zupełnie się to prawidłowie odbywało. O. Guarini przypatrując się manipulacyi téj na stołeczku siedział.

Za piętnastym podpisem, jakby go co tknęło, August podniósł dobroduszną twarz i spytał żywo, jak zwykle:

— Brühl, mam ja pieniądze?

— A jakże, N. Panie!

Szło tedy dalej swym trybem.

O Austrii, o przymierzach, o Fritzu i tym podobnych fraszkach wcale tu mowy nie było.

Gdy ostatni arkusz został podpisany, królewska twarz wyjaśniła się wyraziście, oczy zabłyśły, rzucił pióro i wstał z pewnym rodzajem tryumfu, po dokonaniu wielkiego dzieła.

— Brühl — rzekł — teraz o najważniejszych sprawach.... Potrzebuję pieniędzy; Giovannini mi cuda obiecuje z Bolonii. Ten obraz Bagnacavalli znam, trzeba mi go nabyć koniecznie; Algarotti ma téż piękne rzeczy.

— Algarotti zawiele żąda za nie — odezwał się minister.

— Za takie cuda i arcydzieła sztuki, zawiele żądać nie można! — rzekł August żywo. — Crespi kupił dla mnie Ninusa i Semiramidę, Guido Reniego. Trzeba się za to ks. kanonikowi wywdzięczyć.

To arcydzieło!

I mówiąc to król ręce złożył jak do modlitwy.

— Wszystkie rozkazy W. Kr. Mości będą spełnione — rzekł z niskim ukłonem minister.

— Inne wydatki... fraszka, mój Brühl; ale ty to pojmujesz! to zrzeczności jedyne: drugi raz się nabycie takie nietrafi... Ja to muszę mieć...

— W. Kr. Mość będziesz to miał....

— Dziesięć tysięcy skudów to nic! to bagatela za takie arcydzieło.

Brühl potakująco głowę schylił.

— N. Panie — przerwał zbliżając się Guarini — dziś mamy *Cleofidę*.

— A! a!—zawołał August—bardzo lubię tę operę, ale *Solimanna* wycięj jeszcze. Hasse w nim sam siebie przewyższył, Amorevoli, Monticelli, Puttini i „la diva” jak w nim śpiewają!

Twarz królewska przybrała taki wyraz błogości, ekstazy, zachwytu, iż tylko Guarini i Brühl mogli na to pełne, okrągłe oblicze, żywym rumieńcem oblane, a tak dziwnie rozpromienione patrzeć bez uśmiechu politowania i szyderstwa.

Rozmowa i zachwyt zmęczyły wreszcie N. Pana, który fajkę sobie podać kazał. Siadł w krześle i z oddaniem się tej nowej fantazyi, dym z niej łapczywie puszczać zaczął. Nie godziło mu się błogiego tego a niewinnego zajęcia przerywać nudziarstwem politycznym. Brühl przystąpił do ucałowania ręki pańskiej i zniknął.

W przedpokoju zaleciwszy mocno aby nikt nieśmiał pokoju N. Pana zamącić i aby doń nie dopuszczano nikogo, Brühl pojechał z zamku do hrabiny Moszyńskiej.

Nieubłagane lata, które się tak łaskawie obeszły z samym Brühlem, nieskończenie surowsze były dla pięknych pań, które niegdyś ozdobę saskiego dworu stanowiły. Ale hr. Moszyńska, mimo dojrzałości piękną jeszcze była, jak żyjąca dotąd jej matka, która dobrowolnie teraz na stolpeńskim zamku dożywała dni swoich.

Była ona Egerią tego Numy w peruce i gdyby nie owe czasy i nałogi z pod których wpływu i ona oswobodzić się nie mogła, byłaby może łodzią saską pokierowała baczniej i szczęśliwiej niż ten co stał u jej steru, myśląc tylko o pieniądzach na zbytki i pokrycie przed królem tego co się działo w kraju. Około południa już z pałacyku Moszyńskiej, minister do domu powracał.

Tu z przepychem królewskim, z usługą strojną i wygalowaną podawano obiad, który się ciągnął godzin parę. Dnia tego właśnie czekały na smakosza sprowadzone z Paryża i Strasburga pasztety, gdyż łakocie zwożono mu z całego świata, a czekolady musiał mieć z Rzymu.

Właśnie wstawano od stołu, przy którym oprócz pięknej jeszcze, majestatycznej hrabiniej, królowała też hrabina Sternberg, a kilku cudzoziemców zaproszonych, dowcipami je za-

bawiało, gdy żona ministra dała mu znak, że z nim ma coś do pomówienia na osobności.

Stosunek tego małżeństwa zmieniły lata również jak fizyognomie: hrabina przestała okazywać mężowi ten rodzaj wzgardy i lekceważenia, jakim go zrazu od siebie odpychała. Pewien rodzaj rozejmu zawarty został między nimi i żyli na stopie jeśli nie bardzo czułego małżeństwa, to przynajmniej dobrych i wyrozumiałych na wzajemne słabości przyjaciół. Brühl potrzebnym był hrabinie, hrabina niemniej mężowi; zbliżali się więc, oddalali, widywali częściej lub rzadziej; ale powierzchownie było to pożycie dwojga małżonków wielkiego świata, takie jakich naówczas trafiało się tysiące.

W charakterze i obyczaju ministra była najwyszukańsza grzeczność, okazywał ją nawet tym, na których zgubę pracował; szafował nią dla wszystkich w ogóle i tak był nawykł do niej, że chcąc nawet, może zupełnie grubijańskim i ostrym okazaćby się nie mógł. Dla hrabiniej zawsze był nadszkakującym.

I tym razem pobiegł posłuszny na skinienie. Piękna pani stanęła w gabinecie sparta z wdziękiem na kominie marmurowym. Brühl w wyszukanej pozycyi, gotów na rozkazy stał przed nią.

— Co mi Frania rozkaże?—zapytał.

— Mam prośbę nie rozkaz.

— Prośby jej są rozkazami...

Hrabina ramionami ruszyła.

— Musisz mieć miejsce sekretarza wolne?

Brühl spojrzął zdziwiony.

— Ośmiu ich jest, a dziesięciu na wakanse czeka.

— Niech czekają!—rozkazująco odezwała się Brühlowa — otaczasz się Sasami, którzy cię zdradzają wszyscy.... Ja mam młodego, bardzo zdolnego człowieka, którego mi Blumli zalecił. Widziałam go, podobał mi się, ręczę będzie ci użytecznym.

Chwilę milczał Brühl, podniósł powoli głowę.

— Ale czyż koniecznie ma być sekretarzem?—rzekł—ci panowie nadto o sobie mówić dają. Nie będę ci czynił przykrości przypominając Scyfert'a.

Hrabina zzymnęła się na to imię i zarumieniła.

— Daj mi z tém pokój—zawołała—chcesz go wziąć czy nie?

— Ale niechże go poznam i zobaczę—rzekł Brühl zafrasowany.

A po chwili dodał cicho:

— Gdybyś téż cokolwiek, cokolwiek mogła być ostrożniejszą.

Brühlowa ruszyła ramionami i odeszła od komina milcząca, gniew widać było na jéj twarzy.

— Mniejsza o to—odezwała się—miejsce dla niego znajdziemy. Proszę mi wierzyć, tu nie idzie o żadne fantazje, choć mam prawo je mieć i nie zapieram się ich wcale. Waćpan potrzebujesz wierniejszych sług niż ich masz tutaj. Sasi cię wszyscy zdradzają. Głośna to rzecz w Wiedniu, że ztąd depeze przedają do Berlina...

Brühl ręką dał znak gwałtowny aby zamilkła.

— Ani słowa o tém!—odezwał się—bardzo proszę. Zkąd pani wiesz?

Brühlowa nie odpowiedziała, zakręciła się po gabinecie, wzięła ze stolika wachlarz, przejrzała się w zwierciadło i posuwała ku salonowi urywając rozmowę.

Lecz Brühl nie dał jéj wyjść z tym złym humorem.

— Niech mi go Blumli jutro rano przyprowadzi!!

Hrabina na znak zgody głową tylko skinęła i nucąc wyszła do salonu.

Brühl otoczony dworem swym już rozpoczynał rozmowę tak obojętną, jakby mu nic nie ciążyło na głowie.

Cudzoziemców prowadzono do ogrodu galeriją oglądać.

## V.

Kawaler de Simonis jeszcze rozmyślał o niespodzianém tego ranka spotkaniu z hrabiną Brühlową, które Blumli urządził, wcale mu o tém wprzód nie mówiąc, gdy kartka nadeszła po obiedzie, że jutro rano przedstawić się ma ministrowi.

Wszystko to działo się jakoś tak szybko, tak mimowoli naszego kawalera, iż sam dobrze nie wiedział, co począć z sobą, a oprzecz się nie ściągając na siebie podejrzeń nie było podobna. Blumli aż nadto uprzejmy, nie obiecawszy mu nic, nie oznajmivszy rano tego dnia, zaprowadził go z sobą do ogrodu Brühla. Miało to pozór spokojnej przechadzki, wśród której znaleźli się niespodzianie w kiosku. Hrabina Brühl właśnie się po nim przechadzała sama jedna w rannym stroju. Blumli przedstawił jęj swojego ziomka i przyjaciela.

Simonis z pewnych oznak domyślił się łatwo, iż spotkanie było przygotowane, umówione. Rozmowa hrabinę zdradzała co chwila, że o nim wiedziała wprzód.

Chociaż duma i ton pański, nigdy owęj niegdyś tak pięknej, a dziś jeszcze dosyć miłej Frani, nie opuszczały... dla kawalera de Simonis okazała się bardzo uprzejmą. Ładny chłopak ujął ją widać młodością swą i łagodnym twarzą wyrazem. Zaczęła go rozpytywać o przeszłość, z której cały ostatni rok spędzony w Berlinie, utaił jakoś kawaler, pokrywając go ogólnikiem — podróży po Niemczech; potem badała o zdolności, o upodobania, o powołanie, jakieby był życzył obrać sobie. Simonis, zawsze nadskakujący kobietom, tym razem jeszcze był staranniej grzecznym dla żony pierwszego ministra. Usiłował się jęj podobać, może już nie w widokach i rachubach przyszłości, ale przez próżność samą. Udało mu się to zupełnie: hrabina się ożywiła, pół godziny trzymała go na rozmowie, paliła go oczami czarnymi, które nie straciły blasku, czarowała dowcipem, była naprzemiany złośliwą, czułą, mądrą, smutną i wesołą; a że w tym rodzaju kobiety kawaler de Simonis w życiu jeszcze nie spotkał, wziął to zjawisko za coś cudownego.

Gdy hrabina wreszcie, rzuciwszy nań urok ten, odeszła rada z siebie, Simonis długo stał w miejscu, jak wkuty, nie mogąc się ruszyć, nie umiając przemówić i Blumli musiał go uderzyć po ramieniu, aby do przytomności przywrócić.

Spojrzeli sobie w oczy: Blumli śmiał się z politowaniem starego strzelca, który spogląda na pierwszy raz w pole wychodzącego fryca.

— Kochany Maxie — rzekł — a jakżeś ty młody jeszcze!!!

— Jakto? dlaczego?—odparł Simonis.

— Jesteś zachwycony...

— Ale jakże nim być nie mam!!! Kogóżby ten blask nie olśnił...

Blumli ramionami ruszał, wziął go pod rękę i wyszedł z nim do ogrodu.

— Mój drogi Maxie — rzekł — niezmiernie szczęśliwy jestem, że ci mógł sprawić przyjemność, chociaż postąpiłem podstępnie trochę. Nie miałbym sumienia teraz, gdybym cię nie ostrzegł o niebezpieczeństwie. Hrabina Brühl, to wszystkim wiadomo, kochała raz w życiu człowieka, który umarł na Koenigsteinie. Z tą miłością zmarło jej serce, odtąd miewa fantazyę. Możesz być bohaterem jednego z tych małych poematów... ja byłem nim też i widzisz, jakie z tego szczęście wyniosłem. Życie mi obrzydło, świat zmierziłem... Scyfert, o którym pewnie słyszałeś, z pokoju hrabiniej, gdzie spędzał słodkie godziny, dostał się pod pręgierz na Nowym Rynku... o innych nie mówię.

Zamilkł: Simonis szedł z głową spuszczoną.

— Proszę cię, nie odejmuj mi złudzenia—rzekł—jeśli to ma być złudzeniem tylko...

— Gorzej, niż złudzenie, bo nader smutna rzeczywistość, pokryta trochę świecideł. Lecz młodość jest ciekawą nowych krajów... dlaczegożbyś i ty nie miał się puścić, jak Förster na odkrycia, jeśli się rozbicia okrętu nie lękasz i zjedzenia przez dzikich.

Przechadzali się jeszcze dosyć długo, aż Simonis powrócił do domu, pożegnawszy przyjaciela. Tu ledwie miał czas zebrać myśli, gdy odebrał bilet, oznaczający na jutro godzinę przedstawienia się ministrowi.

Opanowała go jakaś niepewność i trwoga, jak ma postąpić. Pod nogami jego coraz grunt się zdawał mniej bezpiecznym. Z jednej strony groziło odkrycie jego posłannictwa, z drugiej tajemne doniesienie do Berlina o stosunkach, które tam mogły wzbudzić podejrzenie. Hrabina w rozmowie z nim naponknęła już, iż mogłby łatwo za jej pośrednictwem otrzymać posadę sekretarza, o którą się tak ubiegano. Wiodła ona w najgorszym razie do stanowiska urzędowego, do dostatków, do dostojęństw. Simonis w razie, gdyby mu ofiarowano to miejsce,



ani wiedział, czy je może przyjąć, i czy je bezpiecznie odrzucić. W téj niepewności, nie mając nikogo, zbiegł na drugie piętro do baronowej, aby jéj wszystko wyznać i z nią się poradzić.

Była to godzina, w której szanowna matrona, pieska trzymając na kolanach, po obiedzie odprawiała drzemkę w Sorgenstuhlu wygodnym... Przerzywać się jéj nie godziło nikomu.

Wygodne to krzesło stało obok saloniku w sypialni, od której drzwi były przymknięte. O tém wszystkiém pukając u w nią, Simonis nie wiedział wcale, a że głucha Gertruda drzemała także, pukać musiał długo, nim się pocichu otworzyły drzwi i baronówna Pepita, która także czekała na przebudzenie stryjenki, ukazała się w całym blasku zdumionym oczom pana Maxa.

Nie mogło na świecie być skuteczniejszego lekarstwa przeciwko urokom hrabinéj Brühlowej, nad tą świeżą, jak podmuch wiosny twarzyczkę, z której tryskał dowcip i szlachetność. Simonis stanął jak przykuty...

— Stryjenka śpi—odezwała się baronówna w pół cicho—ale za pięć minut Fidel się obudzi i ona także nigdy nie drzemie dłużej. Jeśli pan chcesz widzieć się z nią, chodź i cichuteńko posiedź ze mną w saloniku.

Simonisowi zdało się to znowu najwyższém szczęściem...

Miał tę młodzieńczą żywość wrażeń, które pozwalają co pół godziny uwielbiać inną piękność z najmocniejszém przekonaniem, że obojętność byłaby grzechem... Niebieskie oczy Pepity, zupełnie zatępiły wspomnienie owych czarnych, około których niestety, snuła się już tkanka pajęcza przyszłych zmarszczek. Weszli więc razem do saloniku pocichu.

Baronówna czuła się w zastępstwie gospodyni, powołaną do bawienia gościa.

— Gdzież pan był? kogo poznałeś?—zapytała...

Simonis przyznał się prawie do wszystkiego, do przyjaciela Blumli, a nawet do rannéj rozmowy z hrabiną i jutrzejszego przedstawienia u Brühla.

— Jakże pan to pogodzisz?—zapytała go śmiało Pepita—z innemi obowiązkami?

I spojrzała mu w oczy z dziecinném zuchwalstwem.

— Z jakimi?—zapytał Simonis.

— Z temi, o których mu mówić nie wolno, choć mnie się ich niepodobna nie domyślać.

Simonis stał zmieszany, udając że nie rozumie; Pepita śmiało patrzyła mu w oczy. Nie było to płocze dziecko, pomimo pozorów niedoświadczonej młodości. Matka surowa wychowała tę jedynaczkę, wlewając w nią swoją duszę i Pepita dojrzalszą była od rówieśnic swoich. Umysł jej poważny dziwił wszystkich, a kawaler Simonis, jeszcze nie mając zręczności poznać go lepiej, już ulegał jego sile, i dziwnie się czuł małym, nieśmielonym przy tém dziewczęciu.

Pytanie, które mu zadała, było dalszym ciągiem przestrogi na schodach rzeczonój. Oczy zwrócone nań, z politowaniem jakimś go badały.

— Nie wymagam od pana wyznań żadnych—dodało dziewczę—ale mi was żal szczerze. Możecie uniknąć niebezpieczeństwa, o którym mówiłam; ale jakże z dobrej woli, rzucać się chcecie w otchłań taką? I co was zmusza do tego?

Zapytanie było zuchwałe, a młodość dziewczęcia czyniła je niepojętém.

— Będę z panem bardzo otwartą, bobym pana uratować chciała—mówiła, zmierzwszy go oczyma baronówna. Nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, ażeby odgadnąć, z czém pan tu przybyłeś. Stryjenka jest rodem z Prus, sprzyja Prusakom i życzy dobrze Fryderykowi. Wszyscy, co ztamtąd do niej wylądowują, są posłańcami Fryderyka. I pan nim jesteś.

— Pani!—przerwał Simonis—pani się mylisz: król mnie tu nie posłał.

— Król, czy hrabina de Camas, od której list miałeś, to wszystko jedno—żywo kończyła Pepita. Przybyłeś tu nas badać, o nas donosić...

Simonis się zarumienił.

— O! przecież ja was nie wydam—zawołało dziewczę—bobym stryjenkę zgubiła.. a was mi żal bardzo.

— Pani!—zaprotestował Simonis.

— Nie mów pan nic: nie uwierz—mówiła baronówna—to jasno, jak na dłoni. I w tém położeniu będąc, starasz się o miejsce u ministra, o wciśnięcie tam, o zdobycie naszych tajemnic, aby je wydać nieprzyjacielowi.

Simonis stał struchlały: słów mu zabrakło, twarz jego bladością się okryła.

— Cóż mi do tego?—odezwała się, lekko ruszając ramiarami Pepita—co mi do tego? Powinnabym milczeć i nie wdawać się wcale w sprawy cudze; ale powtarzam: młody pan jesteś, żal mi go. Niesiesz głowę swoją na ofiarę nie dla kraju, bo to kraj nie wasz; nie dla wiary, nie dla rycerstwa i sławy: ale dlaczego? dlaczego?

Założyła ręce i pilno patrzyła mu w oczy. Nigdy w przykrzejszém położeniu nie był jeszcze Simonis, nawet gdy kuzyn Ammon za drzwi go wypędził grubiańsko. Stał i milczał...

Piękna Pepita z założonemi rękami, jak sędzia surowy, nie spuszczała go z oka; niekiedy lęklawie spojryła tylko ku drzwiom, za któremi spała stara baronowa, jakby się lękała jój przebudzenia i chciała mieć czas dokończyć tój przykrój rozmowy.

Simonis miał kapelusz w ręku...

— Pojmuję zresztą—odezwała się baronówna—służbę czyjąkolwiek bądź, gdy się służyć musi; ale dwom razem, dwom nieprzyjaciołom służyć, jest to narażać się na to, aby jeden z nich na was się pomścił.

O! żal mi was! żal mi was!—dodała potrząsając główką.

— Daję pani słowo—zebrał się na odpowiedź Simonis—że u nikogo nie przyjąłem służby, a u hrabiego Brühla ani się jój mieć spodziewam, ani podobna, żeby mi ją ofiarowano.

— Owszem, masz pan wszystko za sobą: jesteś cudzoziemcem—z bolesnym uśmiezkiem dodała piękna panna. My Sasi nawykliśmy do tego, że nad nas przenoszą wszędzie Marcolinich, Cerrinich, Piattich, Chiaverich, Guarinich i nie wiem tam kogo jeszcze.

Tytułem dla was, że nie tutejsi jesteście. Jeśli jutro Brühl wam da miejsce, na których nie zbywa, cóż dalej kawalerze de Simonis? komu się sprzeniewierzycie?

Nielitościwe dziewczę mówiło z coraz większym zapałem i niemal iroiczną pogardą.

Pod pręgierzem jój oczów stał nieszczęśliwy wijąc się i męcząc.

— Pani—zawołał—nic się jeszcze nie stało: ja jutro za-prezentuję się ministrowi, a wieczorem opuszczę Drezno.

Dziewczę spojrzało nań.

— O! téj siły mieć nie będziecie?—rzekła.—Cóż mnie do tego, radziłabym wam tymczasem tylko jedną obrać drogę i prostą, bo dwoma nigdzie nie zajdziecie.

To mówiąc odwróciła się szybko i przeszła w drugi koniec salonu. Simonis odebrawszy tę naukę, stał w milczeniu ponurém. Kilka razy spojrzął ku niej, ale jéj oczów nie spotkał; unikała widocznie wejrzeń jego, patrząc po ścianach i przyglądając się ze zbytnią uwagą sylwetkom na nich pozawieszanym. Kawaler się namyślał co ma począć i już nawet zabierał się do wyjścia nie czekając przebudzenia baronowej, gdy drzwi od drugiego pokoju otworzyły się powoli: wtoczył się najprzód tłusty Fidel, a za nim zdziwiona nieco gośćmi, którzy czekali w salonie, staruszka. Zobaczywszy synowicę w jednym końcu pokoju, a kawalera u okna, parsknęła śmiechem i załamała ręce.

— A cóż to za skromna i grzeczna młodzież, że się nawet bez pozwolenia starszych, zbliżyć nie śmie do siebie—poczęła staruszka.—Doprawdy! Oczom mi się wierzyć nie chce! Mia-łabym wnosić z tego że się państwo aż nadto blisko wprzódy spotkali i chcecie tylko starego gderliwego oszukać Argusa?

Pepita przyszła wesoło pocałować w rękę staruszkę, rzucając z ukosa szyderski wzrok na kawalera.

— Obawialiśmy się rozmową przerwać sen baronowej!—rzekła.

— I dawnoż to trwała ta cicha zabawa?

— Przybyłem przed kwadransem—odezwał się kawaler.

— A ja przed pół godziną—dodała Pepita.

— Cóż słyhać u królowej?—spytała baronowa cieka-wie—ty wiesz jak ja plotki lubię, a nigdzie ich nie ma tyle jak u N. Pani.

— Nic, oprócz że znowu żydóweczkę z Lipska chrzcić będziemy.

— Którażto od przeszłego roku?—zapytała staruszka.

— Zaraz, zaraz! W marcu w roku przeszłym chrzciliśmy matkę z córkami, pamięta stryjenka? Zaraz po śmierci księżnej Lubomirskiej, w czerwcu parę znowu, we wrześniu dziewczyn-

kę, a w grudniu po narodzinach naszego księcia Antoniego, jeszcze jedną.

— I królowa to wszystko wyposaża?

— Nie sądzę żeby jój to za złe wziąć można—odparła Pepita.

— Tak!—mruknęła staruszka cicho—nawróconych obsypują złotem, a z biédnych chrześcian ostatni grosz ciągną.

— Ale nie królowa—szepnęła Pepita.

Baronowa zamilkła, Simonis patrzył się w okno, ażeby się do rozmowy nie mieszać.

— A wy, kawalerze—spytała gospodyni—jakże się tam wam powodzi?

— To ja stryjence powiedzieć mogę—odezwała się Pepita.

— Wy, a to zkąd?

— My u królowej wszak wiemy wszystko. Kawaler de Simonis dziś z rana miał szczęście prezentować się hrabiniej Brühl, a jutro ma się przedstawić ministrowi. Jeżeli się nie mylę, czeka go na dworze J. Ekscelencyi świetna karyera.

Baronowa spojrzała zdziwiona, jakby żądając potwierdzenia: Simonis stał ze spuszczonei oczyma.

— Ale, kochana stryjenko—dodała głośno Pepita—patrząc z boku na delikwenta. Dziwne mi się to wydaje. Kawaler de Simonis przybywa z Prus, jakże tak odrazu nawykłemu do berlińskiego powietrza ważyć się na karmienie saskiem, które jest zupełnie inne?

Jak o tém stryjenka trzyma?

Baronowa kiwała głową.

— Ty bo jesteś złośliwa i długojęzyczna, ty zmijko—rzekła zmieszana—gdybyś nie była moją synowicą, nienawidziłabym cię, ale że kochać muszę... wybaczam tę paplaninę.

— Właśnie przybyłem tu—odezwał się Simonis—aby prosić o radę pani baronowej. Kazano mi się prezentować ministrowi.

— Więc już o was wiedział? cóżby to znaczyć miało?

— niespokojnie spytała staruszka.

— A! w tém niema nic dziwnego—odezwał się Max—niespodzianie wcale zastałem tu, oprócz innych ziomków moich, także przyjaciela lat młodych, niejakiego Blumli, który jest sekretarzem przy ministrze. Czasem tacy gorliwi bardzo przy-

jaciele niewygodni bywają. On mnie wprowadził wczoraj do kiosku i zaprezentował ministra żonie, i on, nie pytając mnie wcale, wyrobił na jutro audyencyę u ministra.

— A o czém pan nie wiész, a co już u królowej po obiedzie wiedziano, to że hrabina wstawiała się do męża, aby pana wziął do swego boku.

I Pepita uśmiechnęła się szydersko. Stara baronowa dziwnie pokręciła głową.

— Teraz, proszę stryjenki pozwolić mi puścić trochę cugle wyobraźni — mówiła Pepita. — Pan kawaler de Simonis nie na próżno rok jakiś przeżył w Berlinie, musi tam mieć dobrych znajomych, serdecznych przyjaciół, ziomków... musi téż do nich pisywać! to rzecz naturalna! Będąc u tego boku ministra, z którego wiele widać, nuż się wypisze w liście do Berlina z jaką wiadomością ciekawą... Ponieważ w Wiedniu wiedzą wszystko co kto czyta w Berlinie, list przyjdzie w kopii do Kaunitza, od niego do Fleminga, od tego do Brühla i kawaler de Simonis dostanie bezpłatnie pokoik w Koenigsteinie.

To mówiąc dygnęła i rozśmiała się głośno. Kawaler de Simonis stał ze spuszczoną głową, stara zacisnęła usta i zamysliła się głęboko nie mówiąc słowa.

Pepita zaś wypaplawszy się z tém co na sercu miała, zbliżyła się do ściany i zaczęła pilnie bardzo przypatrywać się sylwetkom.

Milczenie trwało chwilę. Dziewczę, które czuło jakie wrażenie uczynić musiało, udało że nie przywiązuje wagi do słów swoich i zwróciło się do stryjenki.

— Ten rok już niedorównywa przeszłemu — rzekła. — Gdybyś pan tu był w przeszłym przyjechał, gdy grano Artemizę Hassego, w której trzystu tancerzy występowało w balecie!... albo gdy w styczniu, w zapusty przedstawiano *Ezio* (Aetius) z takim przepychem... Nawet stryjenka dała się zaprowadzić do łoży. Oprócz włochów artystów, mieliśmy na scenie 16 koni, ośm wielbłądów, muły, wozy; całą stajnię i menażeryą. Cudne to było i nie więcej jak sto tysięcy kosztowało.

Wprawdzie — dodała szczebiocząc ciągle — ja taka jestem dziecinna, że wykradłszy się do Gewandhaus'u gdy grano dla ludu... pana von Habenichts, więcej się nim bawiłam niż zwycięzcą nad Atyllą; ale ja...

— O! ty! ty!—przerwała stryjenka grożąc—kto ciebie zrozumie, kto twój jeżorek wstrzyma i kto ci da pomiarkowanie.

Pepita przybiegła pocałować ją w ręce i gdęranie skończyło się uściskiem.

— Wiesz jednak, kochany kawalerze de Simonis—rzekła stara—ten trzpiot papląc tak co mu ślina do gęby przyniesie, czasem i do rzeczy coś powie. Otóż i dziś...

Spojrzała nań dając mu znak.

— Co wy na to?

— Właśnie na wypadek, gdyby. . czego się nie spodziewam, zbyt gorliwy przyjaciel miał mi wistocie postarać się o nieproszone miejsce, radzić się chciałem, co mam czynić?

Pepita milcząc z założonemi na piersiach rękami, patrzyła na niego i na stryjenkę; czekała co powie baronowa: ta byłaby może całe inaczej radziła Simonisowi, gdyby nie synowica i wszystko co poprzedziło pytanie.

— Nad tēm się namyślić potrzeba—rzekła cicho.

Domawiała tych wyrazów, gdy w przedpokoju hałas się wszczął jakiś, jak gdyby cisnął się ktoś, kogo dopuścić nie chciano. Usłużne dziewczę wybiegło do Gertrudy, ale nie wróciło rychło. W przedpokoju słyhać było głos gruby męzki, sprzecząc się ze służą.

Niespokojna baronowa sama już gotowa była wyniść się dowiedzieć, gdy żołnierz w dosyć nędznem ubraniu, w zabłoconych butach wparł się do salonu, obejrzał z obawą jakąś, dostrzegł gospodynię, wcisnął jēj prędko w rękę kawałek papieru i prędej jeszcze uszedł; tak że nim baronowa oddaną kartkę otworzyć czas miała, słyścić już było stukanie jego ciężkich butów po schodach.

W tēm wszystkiem było coś tak przerażającego, niezwykłego, że nawet powracająca od Gertrudy śmiała Pepita, blada była i przestraszona.

Baronowa drżącemi rękami, rzuciwszy się na fotel, usiłowała brudną rozerwać kartkę, którą jēj żołnierz oddał. Ale przestрах i zdziwienie nie dozwoliły jēj tak łatwo, ani rozpieczętować, ani bladego pisma odczytać. Domyślała się już w tēm czegoś takiego, czego przy Pepicie nie rada była czytać, a ciekawe dziewczę stało nad nią oczyma usiłując odkryć co na kartce stało.

— Moje okulary!—odezwała się baronowa.

Pepita chciała iść po nie, ale stara ręką ją zlekka odtrąciła i weszła drżącym krokiem do drugiego pokoju drzwi zamykając za sobą.

Pepita i Simonis zostali znowu sam na sam, a Fidel powlókł się za panią. Wtém lekki wykrzyk dał się słyszeć z gabinetu baronowej i jakby ciężkie upadnięcie na krzesło. Pepita pobiegła do stryjenki. Przez drzwi otwarte Simonis mógł tylko dojrzeć staruszkę na fotelu, w ściśniętej ręce trzymającą konwulsyjnie papier, z obawy zapewne, aby Pepita go nie pochwyciła.

— Co się stało? co stryjence jest?

Baronowa miała czas się opamiętać.

— Nic, nic; bądź spokojna: moja stara przyjaciółka, dawna sługa, Barbara Tuchlaubin chora.

Pepita spojrzała stryjence w oczy i nie odpowiedziała nic. Czy uwierzyła nowinie, trudno było poznać; minkę zrobiła dziwną, jakby urażoną trochę... Simonis, widząc że wcale tu nie jest potrzebnym, chciał odejść; ale widząc że się żegna, pani Nostitz dała mu znak potajemny, aby pozostał. Posłuszny zatrzymał się nieco, a baronowa ochłonawszy wróciła do salonu, synowica spojrzała na zegar, potem na Simonisa i ze stolika chwyciła chusteczkę, którą narzuciła na włosy.

— Ja muszę iść—rzekła.—Niech stryjenka nie troszczy się zbyt Tuchaubiną, ja jęj posłę doktora.

I zdala tylko główką skinawszy Simonisowi, wybiegła żywo.

Po jęj wyjściu czas jakiś panowało milczenie, staruszka zdawała się wyczekiwać, aby Pepita wyszła z domu i dopiero usłyszawszy drzwi zamykające się za nią, zwróciła się łamiąc ręce do Simonisa.

— Nie wiecie nic! dziś w nocy Feulnera wzięto i na Koenigstein zawieziono. Któż wie co znaleźć u niego mogli? On był tak nieostrożnym.

— Ale wczoraj jeszcze—zawołał strwożony i zbladły Simonis—jeszcze wczoraj...

— Dają mi znać! nie ma wątpliwości... kawalerze de Simonis, bądź mi pomocą: potrzeba palić papiery; mogą napaść i na mnie. Któs nas zdradził!



Simonis podał rękę drżącój staruszce i z nią razem przeszedł do gabinetu, musiał wydobyte z osobnej szkatułki papiery palić z nią na kominku, stojąc na straży aby Gertruda nie weszła w czasie tego palenia, bo baronowa i jój się obawiała. Gdy ostatni kawałek listu dogorzał i popioły zostały zgniecione, baronowa odetchnęła. Lecz po wzruszeniu doznaném, ani rozmawiać, ani radzić już nie mogła i skinieniem ręki pożegnała gościa, który wyszedł na palcach.

Na progu znalazł się Max jeszcze mniej pewien tego co ma począć i więcej przelektły niż gdy tu szedł aby od baronowej zasięgnąć światła. Nie mając po co wracać do mieszkania, z gotowym listem do hrabinój de Camas, który miał w kieszeni, pociągnął do Beguélina. Chciał go się pozbyć co prędzej.

Wywiezienie Feulnera z którym niedawno zabrał poufałą znajomość, kazało mu się obawiać wszystkiego. Każda twarz nieznamozna z którą się spotykał, każdy człowiek idący za nim zdawał mu się podejrzanym: oglądał się z trwogą. Przyszło mu na myśl dziwnie prorocze zakończenie rozmowy ze starym Mentzlem, wyliczającym kapitanowi wszystkich wysłanych do Koenigsteinu. Była to jakby przepowiednia!!

Pośpiesznym krokiem, o ile znajomość miasta dozwalała, mniejszemi uliczkami przerznął się do dworku Beguelina. Obawiał się go nie zastać, ale z okna po prawej stronie wyjrzał radzca i drzwi mu sam otworzył.

Blady był i poruszony mocno.

Milcząc wpuścił go do swojego gabinetu, i nie rychło po przywitaniu usta otworzył. Simonis téż musiał nie zbyt wesoło wyglądać.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Co słyhać?—rzekł Beguélin.

— Nic nie wiem, oprócz, oprócz że niejakiego kapitana Feulnera na Koenigstein zawieziono—rzekł Simonis—a przyznam się panu, że mnie to tém bardziej obeszło, iż właśnie z nim byłem zabrał znajomość.

— A! a! a!—wykrzyknął Beguélin: obejrzał, się dokoła.

— Nie dobrze jest—rzekł—cóż zwąchali... mnie i nas wszystkich śledzą; do nikogo się zbliżyć, zagadać nie mogę nawet. Jesteśmy my wszyscy Prusacy tu jak zapowietrzeni.

Cóż u kata! wojna nie wybuchła żadna! Stosunki dyplomatyczne nie są zerwane!

Ledwie tych słów domawiał, gdy do okna od dziedzińca zapukano szybko. Beguëlin pochwycił Simonisa za barki i nie mówiąc słowa, wepchnął go przez ciasne drzwiczki do drugiej izby, zamykając je na klucz.

Kawaler de Simonis znalazł się niespodzianie w obszernej, drewnianej salce, jakby naprędce skleconej, w której z jednej strony leżały séry, bo niemi Beguëlin z Neufchatelu handlował, z drugiej książki kancelaryjne. Zapach tłustości i stęchlizny papiérowej pomieszany razem, wcale nie był przyjemny. Chwilowe to więzienie, oświetlone małemi dwoma okienkami zakratowanemi u góry, smutne było i brudne. Prózne pudła, porwane sznurki leżały na ziemi; sięść nawet nie było na czém.

Od kancelaryi Beguëlina dochodził głos żywej rozmowy.

Simonis nie uczuł się wcale grzesznym oko przykładając do dziurki we drzwiach i nadstawiając pilnie ucha.

Głos był mu znajomy, nie rychło jednak potrafił szczupłym otworem dojrzyć tego staruszka Mentzla, który tak dziwnie prorokował kapitanowi. Stał on tu blady, przelekleły, oglądając się i łamiąc ręce.

— Jestem zgubiony panie radzco! zgubiony przez was! tak! przez was, którym za psie pieniądze służyłem. W waszej kancelaryi cesarzowa ma szpiegów, wszystkie depesze które ja wam dałem, jéj posłano; kazała Flemingowi ostrzedz Brühla. Już dziś zamki opatrywano, mnie egzaminowano, szafę badano.... Rozumiesz to pan?...

— Ale rozumiem—rzekł Beguëlin.

— Oni mnie powiesić gotowi!—dodał Mentzel ręce łamiąc—za te nędzne wasze pieniądze.

Bezmyślnie Szwajcar powtórzył:—A gotowi, a gotowi!

— I ja nawet uciekać nie mogę! ja mam żonę, dzieci, dom, familją....

Załamął ręce.

— Kusiliście mnie jak dyabły—wołał Mentzel zapominając się i głos podnosząc. Opierałem się. Nie mogłem przecieź téj zamczystej szafy palcem otworzyć, toście mi dwa razy po pęku kluczków przysyłali z Berlina, póki licho nie nadało

i jeden z nich nie otworzył. Więc jak cztery razy nie sięgnąłem do téj nieszczęsnej szafki, i to trzeba było niedzieli czekać lub czwartku, a południowe godziny wybierać, kiedy w izbie nikogo oprócz mnie nie było. Daliście mi słowo, że depesze w kieszeni u króla zostaną, że nikt o tém wiedzieć nie będzie, a sekretarz Plassmann posyłał je p. Benoit, a Funka depesze petersburskie już w Wiedniu znają. I cóście mi za to dali? co?

— A, ja nie wiem! — rzekł Beguélin — wyście się sobie układali z baronem Maltzanem; ja umyłam ręce....

— Ale ja ztąd nie wyjdę krokiem bez tysiąca talarów! — zawołał Mentzel — to darmo! Któż wie? gotówem żonę i dzieci porzucić aby życie ratować. Brühl mnie zetnie lub powiesi, albo ćwiertować, albo kołem bić każe. Ja! ja!...

Zabrakło mu tchu.

— Tysiąc talarów! ale ja nie mam pieniędzy! To do mnie nie należy. Idźcie sobie do hr. Bees'a, do Ammon'a, do dyabła — krzyknął Beguélin — ja wam nie dam nic... nic... nic...

Mentzel stał przybity, usta mu się skrzywiły, zacisnął pięści, przyłożył je niemal do twarzy radcy, potrzymał tak chwilę, plunął i drzwiami trzasnąwszy wyszedł.

Beguélin zamyślony stał chwilę, dopóki pukanie we drzwi Simonisa nie przypomniło mu że powinien był otworzyć więźniowi. Nie spieszył z tém jednak, dopóki nie był pewien że Mentzel, który przez ogrody się tu wdrapał, nie odszedł bezpowrotnie.

Naówczas wypuścił kawalera, przepaszając go.

— Spodziewam się że mi tego za złe nie weźmiecie — rzekł — z tym dyablem Mentzlem nie można sobie dać rady. Nie chciałem aby was widział u mnie. Gdy go złapią i dadzą na męki, gotów śpiewać wszystko co wie i co mu na język ślina przyniesie.

Simonis zbierał się na odpowiedź, gdy na mostku prowadzącym do dworku od ulicy, stąpanie żywe słysząc się dało i nim Beguélin po raz wtóry z serami zamknął pośpieszył kawalera, wszedł Ammon.

Zobaczywszy krewniaka zdumiał się mocno. On i Beguélin byli w stosunkach najnieprzyjemniejszych, zetknęli się więc jak dwa jeże. Simonis, który jeszcze się był nie pozbył listu,

stał na boku. Zamiast się zwrócić ku radzcy, Ammon wprost skierował się na kuzynka.

— A waćpan tu co robisz?—zapytał.

— Nie widzę obowiązku tłumaczenia się — rzekł Simonis. Ammon obrócił się do Beguélina.

— Mam w interesie urzędowym do pomówienia z waćpanem. Zlecenie jest pilne. Nie mogę go spełnić przy tym jęgomości, a czekać aż mu się podoba wyjść, nie mam czasu.

— Ja także mam tak jak urzędowy interes do radzcy Beguélina— odezwał się Simonis—i oddalić się nie mogę.

— Fanfaron! patrzcie go!—krzyknął Ammon—on ma interes urzędowy! Ktoby go takiemu świszczypałce polecił...

Beguélin przybrał postawę poważną.

— Przepraszam pana radzcę—rzekł—kawaler de Simonis w istocie jest mi poleconym z Berlina.

— Co za kawaler? z kądże wziął u dyabła to kawalerstwo? Przyśniło mu się, prosty Simonis....

— Panie radzco!—zawołał Max.

— Mości Maxie—odparł Ammon.

Zanościło się na scenę nie przyjemną, gdy Beguélin szybko kantorek swój zamknął na klucz i odezwał się:

— Kawaler de Simonis zaczeka tu na mnie, a radzcę proszę do biura.

Nie mówiąc słowa, Ammon rzucił tylko okiem wzgardliwie na kuzyna i wyszli.

Max padł na krzesło znużony i gniewny. Wszystko co się z nim działo od wyjazdu z Berlina, wprawiało go w rodzaj gorączki. Czuł że to przejście do czynnego życia, niemal siły jego przechodziło. Żał mu było spokojnej izby u cukiernika i dni tam na marzeniach spędzonych. Po kwadransie tych rozmyślań ujrzał wreszcie oddalającego się Ammona i Beguélin powrócił chmurny. Nie czekając dłużej Simonis list mu wręczył.

Radzca zważył go na rękę.

— Mam polecenie od hrabinéj do Pana—rzekł—jest to właśnie chwila gdy wszystko co się tu dzieje niezmiernie nas obchodzi. Trzeba się docisnąć do wojskowych, na dwór, do Brühla. Każde słowo pochwycone drogocenne.

Wiemy że na papierze mają trzydzieści tysięcy wojska. He? ale nas upewniają że niema go więcéj w istocie nad połowę, a generałów półtorasta, oprócz Rutowskiego nie wiele wartych. Waćpan się musisz prawdy dobać, to wasza rzecz...

— Ale niebezpieczeństwo....

— He?—spytał Beguélin—alboż waćpan nie wiedział jadąc tu czém to pachnie?? Zresztą, niebezpieczeństwo nie wielkie, byleś się waćpan wykręcał kilka tygodni jeszcze.

— Jakto, kilka tygodni?—spytał Simonis.

— A tak!—odparł Beguélin ręce zakładając w kieszenie. Za kilka tygodni: (tu do ucha mu się nachylił) my tu panami będziemy.

Simonis zamilkł ze zdumienia. Beguelin śmiał się....

— Jak mnie waćpan żywego widzisz—rzekł—dla tego ja moje séry radbym spieniężył wprzódy nim nasi przyjdą, bo je gotowi wziąć nawet odemnie w kontrybucyi. Jużciż wolałbym żeby je na kwitki wzięli u kupców niż u mnie. Zobligujesz mnie, miły kawalerze, jeśli by ci się trafiło kupca mi na séry nastreczyć.

Nie śmiej się z tego że dyplomacya pruska sérami handluje; bardzo nam lichy król płaci, nie tak jak August Brühlowi. Co pan chcesz? u Herzberga na korytarzu mléko sprzedaje baba na jego rachunek, a hrabiemu Lusi w Londynie pozwolono olejem handlować: <sup>1)</sup> czemubym ja niemiał sérem?

Beguélin rośmiał się i pozbywając Simonisa, skłonił i drzwi mu otworzył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

<sup>1)</sup> Historyczne.

# KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Dzieło p. Wallon: Ludwik święty i jego czasy.— Sorbona: stan nauk i sztuk pięknych. Pieśni Truwerów. Katedry XIII-go wieku. Architektura francuzka.—Przyjęcie do akademii prof. Caro.—Historja literatury współczesnej w Rossyi p. Courrière.—Życiorys Juliusza Janin, przez p. Piedagnel.—Pieśni Żołnierza p. Derouledé.—Pani Ancelet.—Tragedya Karol Wielki, p. Rene Fabert.—Komedyja Niewdzięczni, przez Juliusza Claretie.—Teza doktorska panny Stefanii Wolickiej: Griechische Frauengestalten. Edgar Quinet.—Agrykol Perdiguer, reprezentant robotników francuzkich w Izbie 1848 roku.

Tak na widnokregu politycznym jak i literackim we Francyi, jasno dziś zabłyśło imię p. Wallon, nowego ministra oświecenia. W tymże samym dniu, kiedy na głos tego męża stanu, rzeczpospolita uznana została urzędowo przez większość izby, w tymże dniu na półkach księgarskich ukazało się ważne dzieło tego historyka pod tytułem: *Ludwik święty i jego czasy*.

P. Wallon oddawna znany w świecie naukowym. W r. 1840, objął on po Guizocie katedrę historii w uniwersytecie Sorbońskim. Z pomiędzy wielu dzieł jakie napisał, rozgłosiła najsamprzód jego imię: *Historja niewolnictwa w starożytności*, wydana w r. 1848, a następnie monografia Joanny d'Arc, w obszernych dwóch tomach, która zjednała mu nagrodę Gaubert, i utorowała drogę do Instytutu francuzkiego.

Ostatnie dzieło p. Wallon, o czasach Ś-go Ludwika, również jak i poprzednie jego prace, nie może się stać popularnym, i nie ma do tego pretensyi. Erudycya przemaga tu nad artyzmem. Uczony autor, nie szuka w opowieści swojej dramatycznych efektów, z sumienną tylko ścisłością przedstawia szereg zdarzeń. Epoka ta w dziejach Francyi, również zawikłana jak w dziejach naszych epoka Piastów po śmierci Bolesława Krzywoustego. I tu, i tam, widzimy całość państwa rozpadłą na feudalne dzielnice. Ludwik VIII również jak Krzywousty, rozdzielił kraj pomiędzy czterech synów. Szczęściem dla Francyi, że w tym stanie rozprzeżenia, znalazła najprzód dzielną i zręczną rejentkę w Blance z Kastylii, a potem wielkiego monarchę,

którego czoło błyszczy zarazem promieniem geniuszu jak i aureolą świętości.

Szczegółowy rozbiór dzieła p. Wallon posunąłby nas zadaleko. Nie będziemy ściagać świętego bohatera w zaciętych i długo trwałych zapasach z możnowładztwem, w zapasach, którym położyła koniec ogłoszona przezeń krucyata. Racyonalnym pisarzom, którzy w owych wyprawach krzyżowych, widzą tylko egzaltację religijną zaprzeczając im wszelkiej strony praktycznej, odpowiada autor krótkim słowem. „Gdyby—mówi on—w nagrodę za krew przelaną, Konstantynopol pozostał był w ręku Latynów, kto wie ażali połączony ściśle z Zachodem, nie byłby zdołał oprzeć się tureckim najazdom. Inne byłyby wtedy losy świata! Historia wieków obecnych, przeszłych i przyszłych, inymby zaprawdę poszła torem!

Wśród powodów które wywołały wojnę krzyżową za Ludwika świętego, autor stawia na czele najazd Mongołów Dżyngiskhana, tak krwawo pamiętny w dziejach naszych. Oto własne jego słowa:

„Czarna chmura przyćmiła widnokrąg. Niedosć że Soliman odbił Jerozolimę, że książęta greccy łączyli się z Bulgarami, dla odebrania Carogrodu, po za Konstantynopolem i Palestyną, daleko na zachodnim Wschodzie, ukazał się lud groźny zarówno muzułmanom jak chrześcijaństwu: Tatarzy Dżyngiskhana! (1205—1227)

„Nic oprzeć się nie mogło strasznyh hordom. Niby trąba powietrzna, pustoszyły w około ziemię. Złupili Chiny i kraje nad Indusem, rzuciły się ku morzu Kaspijskiemu; ztąd przez szerokie stepy pędziły na Europę jak rozhukana powódź. Śmierć Dżyngiskhana nie wstrzymała ich i synowie w myśl ojca szli naprzód zawsze, naprzód.

„Wieść o nich rozbiegła się po świecie. Rozpowiadano dziwy o tych potworach z ogromną głową, grubym karkiem, przyrostych niby do grzbietu dzikich bachmatów, jak oni wytrwałych na trudy: postrach panował wszędzie. Saraceni azyatyccy ślali posłów do Anglii i Francji, błagając królów o współdziałanie przeciw tatarskim tłuszczo. Trwoga w Europie tak była wielka, że rybacy fryzońscy zaniechali połowu śledzi, aby nie rzucić żon i dzieciak na łup dzikim najazdem.

„Powódź tatarska zbliża się coraz bardziej, pochłania Kijów, Kamieniec i Włodzimierz, pustoszy Lublin, podbiega już pod Kraków, zalewa Szląsk; stacza pod Lignicą krwawą walkę z Henrykiem księciem wrocławskim; przez Morawię zwraca się na Węgry, zagarnia północne brzegi Dunaju; zimą przechodzi rzekę, pali Gran i Strygoń, wyrzyna w pień mieszkańców. Droga do Niemiec stoi dla niej otworem: Francya drży! Ludwik święty przewiduje niebezpieczeństwo. Kiedy matka wyraża mu trwogę powszechną, odpowiada jęć: „Matko, ufajmy Bogu! jeżeli ten lud spadnie na nas, zaślemy owoch Tatarów do Tartaru skąd wyszli, albo też oni pomogą nam wstąpić do nieba!”

„Ludy chwytają krzyż i miecz; Fryderyk II powołuje chrześcijaństwo do nowej krucyaty. Pokój Boży już ogłoszony. Król czeski

posuwa się ku granicom Polski i Węgier; książę Rakuski pilnuje zagrożonych swych granic. Przednia straż gotowa, armia cesarska nie zdążyła przecież za nią! Obwiniano cesarza, iż więcej myślał o zapasach z Gwelfami, niż o wspólném niebezpieczeństwie. Bóg jeden wie, jakie byłyby losy Europy, gdyby Tatarzy nie cofnęli się nagle ku Chinom, w skutek przewrotu, zaszłego w głównej hordzie."

Autor przytacza list mistrza Templaryuszów francuzkich, Poncyusza z Aubon, pisany do Ludwika świętego, o napadzie Tatarów na Polskę, Czechy i Węgry. Nie wiemy, czy list ten, znany u nas: przytaczamy go dosłownie.

„Wieści o Tatarzynach (Tatarins), jakośmy je słyszeli od naszych braci z Poulaine (Polski), którzy przybyli do kapituły. Donosimy waszjej wysokości, że Tatarzyni zniszczyli i złupili ziemie Henryka księcia polskiego i jego samego zabili z wieloma baronami. Ubili także sześciu braci naszych i trzech kawalerów, i trzech sierżantów, i pięćset ludu naszego, a uciekło trzech braci naszych, których dobrze znamy. Teraz cała ziemia węgierska i czeska spustoszone. Tatarzy rozdzielili się na trzy armie: jedną posłali do Węgier, drugą do Czech, trzecią do Austrii (Osteriche). Zniszczyli dwa warowne zamki i trzy miasta, które mieliśmy w Polsce, tudzież wszystko, co mieliśmy w Czechach i Morawii. Toż samo pewnie stanie się i w Niemczech. A trzeba wiedzieć, że królowie: węgierski i czeski i dwaj synowie księcia polskiego, i patriarcha Akwilei z wielką mocą ludu, nie śmieli uderzyć na jedną z ich trzech armii, a i to wiedzieć wam trzeba, że wszyscy baronowie niemieccy i król sam, i wszystko duchowieństwo, i zakonnicy, i mnichy, podjęli krzyż; Jakobini i bracia mniejsi aż do Węgier, podnieśli krucyatę przeciwko Tatarynom. A jeśli, jak nam mówili nasi bracia, stanie się z dopustu Bożego, że będą pokonani, wtedy nic nie zagrozi Tatarom drogi do ziemi waszjej. A wiedzieliście wam potrzeba, że nie ochraniają nikogo, ale mordują wszystkich: ubogich i bogatych, małych i wielkich, z wyjątkiem urodziwych niewiast, aby uczynić z nimi według woli, poczem mordują je także, aby nie mogły powiedzieć nic o stanie ich wojska. A jeśli przybywa do nich jaki goniec, przednia straż chwytą go, zawiązuje mu oczy i wiedzie go do Pana, który, jak mówią, ma być panem świata całego. Nie oblegają ani zamków, ani grodów, ale wszystko pustoszą. Jedzą wszelkie mięsiwo, oprócz wieprzowiny. Nie palą żadnego miasta, chyba kiedy się broni. Wówczas palą domostwa na wyżynach, aby widać było opodał ogień na znak zwycięstwa. Jeśli który z nich umrze, palą ciało; jeśli ujęty w niewolę, nie bierze do ust jadła, aby zamorzyć się na śmierć. Nie noszą żadnej zbroi żelaznej, tylko zbroje z wyprawnej skóry. A wiedzieliście wam trzeba, że nasz mistrz przełożon nad zakonami w Polsce, Czechach, Węgrzech, Niemczech i Morawii, nie przybył do kapituły naszjej, ale zgromadza tam wielką moc ludu, aby uderzyć na Tatarzyna, i powołuje nas przez braci naszego zakonu, których przysłał do nas, i wierzymy, że to wszystko prawda. A ich



armia tak wielką jest, jak słyszymy od braci naszych, którzy od nich uciekli, że zajmuje ośmnaście mil (*lieux*) długości, dwanaście szerokości, a w dniu jednym ubiegają tyle drogi jak daleko z Paryża do miasta Chartres."

List ten pisany stylem i pisownią ówczesną, łatwy przecież do zrozumienia.

Aby tém lepiej dać poznać osobistość Ludwika świętego, pan Wallon maluje tę wielką postać na tle właściwej epoki. Z historyczną ścisłością kreśli charakterystykę wieku XIII, pokazuje, czém był ten wiek w dziejach literatury, nauk i sztuk pięknych; zapytuje, o ile wielki król czerpał ducha z epoki swojej, o ile zaś na nią oddziałał.

Rzućmy okiem na obraz p. Wallon'a i ukażmy go, acz w ogólnych i niedokładnych zarysach. Obraz to ciekawy i nowy, a mniej dla nas obojętny, niż się to zrazu wydawać może. Widzimy tu szkoły kwitnące pod cieniem kościoła. Miasto Paryż staje się głównym ogniskiem: światło ztąd wybiega na krańce Europy. Do trzech szkół tutejszych: Panny Maryi, Ś-tój Genowefy i Ś-go Wiktora, przybywa tłumnie młodzież z najdalszych krajów, przybывая niemniej chciwi nauczania mistrzowie. W tém wielkiem zdrojowisku łączą się wszystkie strumienie wiedzy ludzkiej. Owa to powszechność uprawianych nauk, jak niemniej powszechność ludów, czerpiących z tego źródła, nadaje połączonym w jedno szkołom paryzkim, nazwę uniwersytetu wszechniczy.

W zawiązku już swoim, uniwersytet paryzki występuje jako potęga; dzieli się na cztery narody: francuzki, angielski, pikardzki i normandzki. Te narody mają swoje prowincye i swoje osobne kolegia. Do narodu angielskiego włączone północne ludy: Niemcy, Skandynawi, Polacy i Węgrzy. W liczbie sławnych mistrzów, którzy uświetnili tę wszechnicę w XIII wieku, czytamy imiona Ś-go Tomasza z Akwinu, Ś-go Bonawentury, Bakona, Alberta Wielkiego, Brunetto Latini i Danta.

Ludwik święty uposaża to główne ognisko nauk darami i legatami, nadaje mu przywileje, dopomaga w fundacyi teologicznego kolegium Robertowi z Sorbon, od którego cały uniwersytet paryzki zachował dotąd nazwę. Nauka w nim, oprócz wydziałów teologii, filozofii, medycyny i prawa, ogarniała siedm sztuk wyzwolonych, objętych ogólnym wyrazem *clergies*. Wielka była powaga tego ogniska u wszystkich ludów. Gotier z Metz w obrazie świata (1245), określa rzecz tym czterowierszem:

Świat w Paryżu nauk szuka,  
Tu rozkwita wszelka sztuka;  
Jak w Atenach między Greki,  
W starożytne kwitła wieki.

Autor przebiega szczegółowo stan ówczesnych nauk; dowiadujemy się, że język francuzki do takiego przyszedł już wyrobienia, iż Florentczyk Brunetto Latini napisał w nim swoją encyklopedyą,

zwaną *Skarbczykiem*. Dowiadujemy się niemiń, że w wydziale astronomii, biegły mistrz, zwany „Franco de Polonis,” ułożył w Paryżu księgę p. t.: *Horison*. Ten poprzednik Kopernika, byłżeby też Polakiem?

Olbrzymem wiedzy w tym wieku był Roger Bakon <sup>1)</sup>, mnich zakonu Ś-go Franciszka. On pierwszy głosił konieczność połączenia nauk ścisłych z literaturą. Zalecał usilnie badanie języków starożytnych i wschodnich, a popierając rzecz przykładem, wyuczył się sam po hebrajsku, grecku i arabsku. Twórcze pomysły jego byłyby sprawiły w nauce zupełny przewrót, gdyby mu starczyło czasu na praktyczne ich zastosowanie. On pierwszy daje sposób wyrabiania prochu, którego wyuczył się od Arabów, mówi o szklach powiększających i o wiszących mostach. Przepowiada, że kiedyś powozy chodzić będą bez koni, że człowiek potrafi kierować się w powietrzu i t. p.

O stanie wiedzy ówczesnej świadczą dwa znakomite dzieła tej epoki: *Summa* Ś-go Tomasza z Akwinu, oraz *Biblioteca Mundi* Wincentego z Beauvais, ogarniająca w pierwszej części nauki przyrodnicze, a drugiej filozofią i teologią, w trzeciej obraz dziejów powszechnych do połowy XIII wieku.

Kroniki, spisywane dotąd po łacinie w celach klasztornych, przybierają nowy charakter, zamieniają się w właściwą historią. Pióro dostępne wyłącznie zakonnikom, przechodzi w rękę mężów świeckich, uczestników i naocznych świadków krucyat. Z pierwszych wypraw pozostały już listy krzyżowców, pisane do rodziny; w XIII wieku widzimy znakomity postęp na tej drodze. Villehardoin kreśli pierwszy w pospolitej mowie opowieść, a raczej poemat o zdobyciu Konstantynopola; później nieco Joinville, spisuje dla młodej królowej Nawarry, historią świętego Ludwika, pamiętnik współczesny, pełen życia i barwy miejscowej.

W geografii równy postęp. Ta nauka cofnęła się była nie słychanie w początkach średnich wieków. Arabowie wzięli od starożytnych pozytywną stronę badań; zachodnie ludy pochwyciły tylko bajki i fantastyczne obrazy. Wiadomo, iż Gervais z Tilbury, w dziele poświęconém Ottonowi IV-mu, pokazuje ziemię, jako czworobok, obłany morzami. Do wyjaśnienia błędnych pojęć przyczynili się dzielnie pielgrzymi i misyonarze. Z pomiędzy tych Ascelin i Plano Carpino, wysłani do Hana tatarskiego, skreślonym przez siebie obrazem przebytych krajów, rzucili nowe światło na zaniedbaną naukę geografii.

Już więc w XIII wieku Francya w cywilizacji przodowała Europie, nim Włochy za Medyceuszów podjęły pochodnią z jej ręki i rzuciły w świat hasło odrodzenia. W XIII już wieku, Paryż był tém, czém jest dziś, wielkiem laboratorium, wyrabiającém myśl na pozytywtek ludzkości. Iskry z tego ogniska rozbiegały się po kraju całym. W skutek częstych zatargów, mistrzowie opuszczali uniwersytet, zakładali po miastach coraz to nowe szkoły; tym sposobem powstały

<sup>1)</sup> W trzy wieki po Rogerze, słynął imiennik jego Franciszek Bakon.

wszechnice w Bourges, Tuluzie, Orleanie, Angers i Montpellier, sławne z wykładu prawa i medycyny.

Poezya tworzyła dwa prądy całkiem niezależne od siebie: jeden z nich łaciński odżywił się w ciszy klasztornej, drugi obiegał Francya, roznoszony w mowie pospolitój, przez Trubadurów prowanskich i północnych Truwerów. Pierwszemu zawdzięcza świat owe cudnie piękne hymny: *Lauda Syon* Ś-go Bonawentury i *Pange lingua* Ś-go Tomasza z Akwinu, które kościół dotąd przechował. Uprawiano niemię w klasztorach poezją dydaktyczną. Jedni rymowali zasady gramatyki, chcąc tym sposobem wrazić je lepiej w pamięć uczniom; inni przybierali w formę poetyczną przedmioty najprozaiczniejsze w świecie; określali wierszem symptomata chorób i środki leczenia! inni wreszcie spisywali rymem współczesne lub dawniejsze kroniki. Oprócz hymnów natchnionych gorącym uczuciem religijnem, nie szukać poezyi w tych łacińskich utworach. Była to proza w całym znaczeniu słowa zagmatwana tylko naciąganiem do rymu lub assonansu. Poezya narodowa kwitła w pieśniach Trubadurów i Truwerów. Przemięły już wprawdzie czasy jęj najwyższego blasku, mimo to świeciła jeszcze, jak słońce nad zachodem.

W obszernym ustępie p. Wallon kreśli obraz poezyi francuzkiej za czasów Ludwika Ś-go. Widzimy tu najprzód owe pieśni bohater-skie (*chansons de geste*), zawiązki epopei, nie ujęte ręką żadnego Homera w jednolitą całość, piękne jednak w prostocie swojej, roznoszone po kraju przez poetów, zapalające serca współczesnych do rycerskich czynów i ofiar. Pieśni te tworzą trzy obszerne cykle: pierwszy *cykl Karlomana*, wysnuty z tradycyji francuzkich, drugi *Okrągłego stołu*, wzięty z bretońskich podań; trzeci *Aleksandra Wielkiego*, opiewający starożytnych bohaterów na średniowieczną nutę.

Wiek XIII-ty nie stworzył tych pieśni, ale dopełniał je i prze-rabiał po swojemu. W owymto wieku poeci przyjęli nową formę, formę, która przemogła w poezyi francuzkiej i do dziś dnia pozostała w nięj panującą. Do tamtych czasów używano wyłącznie dziesięci-stopowego wiersza, jaki widzimy w pieśni o Rolandzie; wtedy zaś po raz pierwszy, w poemacie o Aleksandrze Macedońskim, użyto wiersza o dwunastu sylabach, przezwanego ztąd aleksandrynem. Wiersz ten unieśmiertelniony w arcydziełach Kornela i Racina, nie wyszedł bynajmniej ze szkoły aleksandryjskiej: Francya zawdzięcza go Truwerom XIII wieku.

Poezya liryczna zmienia także charakter w tój epoce; traci zbyteczną wybujałość, wchodzi w surowsze karby. Swawola trubadurów nie zgadza się już z powagą dworu Ludwika świętego; co więcej prowanscy poeci, niechętnym okiem patrzą na rządy francuzkie, rozpościerające się nad ich krajem, przez małżeństwo króla i jego braci. Zatrwożeni utratą samodzielnego bytu, zmieniają ton pieśni, dotąd wyłącznie erotyczny na elegijny, a niekiedy nawet zawadyacki, zaprawny nienawiścią. Milkną sonety i miłosne serenady; w miejsce ich

panuje satyryczna *serventa*, lub złośliwy dyalog (*lencin*). Jedni drugim rzucają w oczy najszersze obelgi, podniecają książąt i baronów do wzajemnych waśni i niezgód. „Bodaj się wszyscy wściekli!”—woła najstłynniejszy z Trubadurów—Bertrand Born, którego Dante pomieścił w swoim piekle. Ci którzy pozostali wierni dawnym tradycjom, rozbiegają się za Alpy i Pireneje, dzwonią pieśń miłosną na włoskich i hiszpańskich dworach.

O ile upada poezya prowaska, o tyle rozkwita pieśń północnych Truwerów. Język ich wprawdzie mniej harmonijny, ale natchnienie żywotniejsze. Na czele ich świeci słynny Thiebold z Szampanii, pierwszy wassal korony francuzkiej. Podąża za nim w ślady Jan z Brienne, późniejszy cesarz Konstantynopolu; podążają nawet kobiety, jak księżna Lotaryngii Gertruda. Ważniejszy jeszcze objaw daje się tu spostrzegać: poezya północnych Truwerów, demokratyzuje się widocznie. Obok książąt występuje mieszczaństwo; w obec talentu wszyscy równi. Powstają konkursa poetyczne, sąd oddaje koronę najzdolniejszym, bez względu na ród i położenie w świecie. Wpływ Truwerów oddziaływa na zewnątrz: w Anglii budzi minstrela, a w Niemczech meistersingerów. Kiedy Trubadurowie śpiewają coraz słabiej na dworach królów i książąt; Truwerowie odrodzeni żywiołem mieszczańskim rosną w coraz to większą siłę. Onito położyli kamień węgielny późniejszej literatury francuzkiej.

W XIII wieku Truwerowie wprowadzają do poezyi nowy rodzaj, tworzą tak zwane fabuły (*fabliaux*), zaprawne galską solą, związek przyszłych satyrycznych powieści. Prototypem ich sławne fabuła o *Lisie*, (*Romans du Renard*), w której pod postacią lwów, niedźwiedzi, osłów i innych zwierząt, widzimy odmalowane dowcipnie, całe ówczesne społeczeństwo. Filologowie nie rozstrzygnęli dotąd sporu, czy ten sławny utwór dziełem jest francuzkiego, czy też niemieckiego gieniuszu; to jednak pewna, że w wieku XIII pojawiły się po obu stronach Renu, tak samo jak się pojawiły i w różnych zarazem krajach, sławne powieści o Raju i Piekło, z których Dante wysnuł później nieśmiertelny poemat. W tym właśnie wieku poetka francuzka, przebywająca czasowo na ziemi angielskiej, Marya z Francyi utworzyła z legend irlandzkich poemat p. t. *Piekło Ś-go Patryka*; są towidzenia zaświatowe, nakreślone z prawdziwie twórczą siłą! Wśród satyryków ówczesnych, ważne miejsce zajmuje Ruteboeuf; surowo on chłostzcze wady społeczne, gorąco podżega naród do krucyaty. Poemata jego powtórzone świeżo w nowym wydaniu, żywem są odbiciem tej ciekawej epoki.

Wiek ten inicjatywy daje nowy pochop dramatycznym misteryom. Dotąd związane ściśle z obrzędami liturgicznymi, pisane po łacinie, misterya wyłącznie odgrywane były po kościołach. W XIII wieku zaczęto przeplatać w nich łacinę mową pospolitą i przedstawiać je ludowi, po za obrębem domów Bożych. Pierwszy dopiero Jan Bodet, poeta z Arras, pisze francuzki dramat. Bierze za treść legendę o św. Mikołaju, przenosi ją na pole krzyżowych zapasów. Rzecz dzieje się

na Wschodzie; walka wre, wszyscy rycerze polegli, jeden tylko pozostał. Ujęty w niewolę, wystawia przed królem Saraceńskim, cudowną moc św. Mikołaja. Pohaniec uwierzył mu na słowo. Zdobył on w bitwie posąg świętego; w jego wnętrzu ukrywa drogie skarby. Złodzieje przecież dobierają się do nich. Okradziony król, rzuca w oczy kłamstwo nieszczęśliwemu jeńcowi. Wnet spadnie pod mieczem jego głowa. Wówczas święty przychodzi w pomoc; on ocali czciciela swego. Nagle ukazuje się złoczyńcom. Przerażeni wyznają winę, zrzekają się starych błędów. Król zostaje chrześcijaninem.

Gieniusz wieku XIII, jakkolwiek objawia się w nowym zwrocie poezji, potężniej przecież rozkwita na inném polu sztuki. Prawdziwy tryumf jego widzimy w architekturze. Tu myśl twórcza, podniesiona gorącą wiarą, wybiega w niebo, lasem strzelistych wieżyc i ostrołuków, świadczących po dziś dzień o jej niesłychanej potędze. Pyszne katedry w Paryżu: Chartres, Reims, Bourges, Amiens, Beauvais, Rouen, Tours, że pominiemy tyle innych; te wzpaniałe opactwa i kościoły, a między nimi drogocenny klejnot *la Sainte Chapelle*, paryżka, stworzone cudem wiary i miłości, powstały za czasów Ludwika świętego.

Autor wsparty powagą najświetniejszych archeologów współczesnych, jak Violet le Duc, Vitet i inni, wykazuje w sposób niezbity, że architektura łukowata (ogivale), najmylniej zwana gotycką, zrodziła się pierwotnie we Francji; ztąd w sto lat dopiero po jej powstaniu, mistrze francuzcy przenieśli ją do Niemiec. Rodowód tej architektury, zgodny zupełnie z rodowodem francuzkiego języka. Tenże sam lud, który w początkach średnich wieków, przyjmuje od Rzymian język i dostrajając go do swych potrzeb, pozbawia go wytworności, tenże sam lud przyswaja sobie architekturę rzymską, ale nie posiadając dość rąk, dość zasobów i wytwornego smaku, do budowania według klasycznych wzorów, zamienia styl rzymski na romański. W miarę rozwijających się pojęć, przychodzą nowe potrzeby. Duch nową przyobłoczy formę. W porządku lingwistycznym tworzy się nowy język, pełen życia, barwy i siły; w porządku budowniczym powstaje nowy styl harmonijny, podniosły, czarodziejski, wierne odbicie francuzkiego gieniuszu. Między rozwojem języka i architekturą, różnica zachodzi tylko co do czasu. Język nie wywikłał się jeszcze z dziecięcych powijaków, za Ludwika świętego architektura zaś rozkwitła pełnym życiem.

Szkola budownicza, która zmieniła styl romański na łukowaty, zrodziła się w sławném opactwie Kluniackiém. Same nazwiska wielkich architektów średniowiecznych, twórców owych przepysznych katedr rozsianych do dziś dnia po Francji, świadczą o francuzkiém ich pochodzeniu. Katedrę paryżką wybudował Jan z Chelles, katedrę w Rouen, Robert z Cousy, w Amiens, Luzarches i Cormont. Do żadnego z przybytków francuzkich nie przyrosło imię niemieckiego mistrza, kiedy przeciwnie imiona francuzkich architektów znane dotąd na krańcach Europy: Gerard z Honvrecourt budował przybytki w głębi Węgier.

Do XVI wieku, architektura łukowata nosiła nazwę francuzkiéj; później dopiero Niemcy przyswoili ją sobie: styl jéj przezwali gotyckim!

Zadna sztuka nie dorówna budowniczej, za czasów Ludwika świętego; wszystkie jednak zbudzone do życia silną wiarą, poczęły kiełkować i rozkwitać. W ślad architektury idzie rzeźba. Pobożni budownicy zrozumieli że kościół otwartą jest księgą dla ludu; ztąd téż, na odrzwiach i kapitelach, na ambonach i stallach, odtwarzali sceny z Biblii i Ewangelii, lub dramatyczne legendy z życia świętych. Krucyaty rozbudziły ten artystyczny popęd. Sztuka byzantyjska, zrodzona ze staro-greckich i wschodnich tradycyi, przechodzi na ziemię francuzką, lecz przybiera tu całkiem nowy charakter. Rzeźbiarze przybliżają sztukę do natury i nowe wlewają w nią życie. Kwiaty, kłosa, ptaki i zwierzęta, słowem cała flora i fauna miejscowa, służy im za wzór do kapitelów i symbolicznych ozdób, tak cudnych w prostocie i różnaitości swojej; oblicza nawet ludzkie odtwarzają oni, nie według szkolnej formy, ale z żyjących wzorów. Toż samo dzieje się z malarstwem. Okna przechowane dotąd po katedrach, miniatury starych mszałów i psalterzy, świadczą wymownie, o ile sztuka francuzka korzystając ze szkoły byzantyjskiej, potrafiła zerwać krępujące ją pęta, przeistoczyć ją, odrodzić i ogrzać nowém życiem.

Twórca gieniusz téj epoki chwyta naukę gdziekolwiek ją napotka, ale pełen żywotnej siły przeistacza wszystko na własną modłę, wyciska na wszystkiém własne piętno. Sztuka ówczesna we Francyi nie jest ani grecką, ani rzymską, ani byzantyjską, a tém mniej germańską; oddycha ona krzepkiém tchnieniem wieku swego, wytyka sobie własne drogi. Rzeźbie i malarstwu ówczesnemu możnaby jeszcze zarzucić naiwność, a nawet prostactwo, nikt przecież nie odmówi im samodzielnej potęgi. Architektura zaś XIII-go wieku, doszła do stanu najwyższej doskonałości, wieki późniejsze sprostać jéj nigdy nie zdołały!

Nowa uroczystość akademicka, z powodu przyjęcia p. Caro, była dla nas nowym dowodem wysoko rozwiniętego spirytualizmu pomiędzy ogółem Francuzów. Patrząc kilka tygodni temu na niezliczone tłumy, cisnące się do pałacu Mazaryniego w dniu przyjęcia Dumasa, czytając nazajutrz w Gauloisie, Figarze i innych tego rodzaju pismach gorące pochwały rzucane w oczy akademii, że *podjęła wreszcie drogę postępu*, przyjmując do grona swego pisarzy popularnych, patrząc na to wszystko, czekaliśmy z żywą niecierpliwością na dzień przyjęcia p. Caro. Ten znakomity professor filozofii w Sorbonie, ten słynny moralista, zacięty wróg materyalizmu, będzie-li pytaliśmy, zarówno poczczoney przez ogół publiczności, jak nim jest przez francuzką akademię? Gdyby sala pozostała w tym dniu pusta, nie byłoby to w mniemaniu naszym, odarło ani jednego listka z korony literackiej. wielkiego moralisty; ale byłoby to dla nas smutną wskazówką nastroju du-

chowego w narodzie, okrzyczanym za lekki i materyalny. Inaczej się jednakże stało. Od rana tłumy zaległy wybrzeże Sekwany przed pałacem; w południe wcisnęły się hurmem do sali. Gdy nowo-przyjęty odczytał piękną mowę, grzmoty przeciągłych oklasków odpowiedziały mu w sposób życzliwy i znaczący.

Wspaniała to mowa w rzeczy samej. Według powszechnego uznania, oddawna już podobne słowo nie rozległo się o sklepienia gmachu akademickiego. Postać Viteta, uczonego archeologa i estetyka, po którym Caro zajmował miejsce, wystąpiła w najdelikatniejszych zarysach, ujęta w pyszne ramy. „Postać ta nie była popularną, nie mogła nią być—wyrzekł mówca—Vitet miał więcej niż popularność, miał powagę, miał uznanie wyższych umysłów. Popularność zdobywa się zwykle ustępstwami, schlebaniem ogółowi, chociażby ten był w błędzie. Taka słabość nie ciąży na pamięci Viteta. Szanowany przez wszystkich, nie był jednakże popularnym!”

Caro pokazuje w poprzedniku swoim, najsamprzód biegłego historyka. Dzieło Viteta p. t. *Liga*, stworzone pod ciepłym tchnieniem ledwie zrodzonego romantyzmu, należy do najdramatyczniejszych obrazów historycznych nowej szkoły. Osobistość Henryka III, oddana w niem po mistrzowsku. Ostatni Walezyusz, ostatnia odrośl spróchniałego pnia, występuje tu z témiz wadami, z jakimi przedstawił się w Krakowie praojcom naszym. Naprzeciw niego staje mąż w pełnym znaczeniu słowa, Henryk IV, król-rycerz, wcielony duch Francyi.

Większe jeszcze zasługi położył Vitet na polu archeologicznych badań. Tu okazał prawdziwy geniusz. Pierwszy odkrył i wyświetlił całe bogactwo średniowiecznych pomników, jakie Francya posiadała nie pojmując nawet ich doniosłości. Vitet'a zowią téż słusznie twórcą chrześcijańskiej archeologii. On uzupełnił dzieło Winkelmana, on zapełnił tę próżnię wiekową, rozdzielającą dwa znane tylko światy: Rzym i epokę odrodzenia. „Myślałby kto—mówi Caro—że w ciągu dziesięciu przeszło wieków, ludzkość nie żyła życiem sztuki; jak gdyby w paśmie tylu pokoleń, człowiek pogrążony w długim letargu, nie wypiętnował nigdzie myśli swojej, ani w pomniku, ani na marmurze, ni w prostej nawet pieśni. Wprawdzie już przed Vitetem, szkoła Chateaubrianda zadzwoniła pobudkę. Na to hasło dzielni karczownicy jęli odgrzebywać świat zatracony. Lecz działali oni na oślep, bez metody. Tę metodę sformował Vitet, dlatego to Francya zowie go wynalazcą owiej sztuki średniowiecznej, w której architektura, rzeźba, poezya, muzyka, tworzą jeden spłot harmonijny, zarówno jak tworzy odrębną całość starożytny klasycyzm, później zaś epoka odrodzenia.”

To wszystko cośmy za panem Wallon powtórzyli o sztukach pięknych, kwitnących we Francyi w XIII-tym wieku, wszystko to oparte na wywodach Vitet'a. Przed nim nikt się nie domyślał, że architektura łukowata jest dzieckiem geniuszu francuzkiego. Jedni wywodzili ją z dalekiego Wschodu, drudzy wskazywali rodowód jęj za Renem, jak to czynią po dziś dzień Niemcy, zwolennicy wszelkich anne-

ksyj, obecnie nikt już nie wątpi, że styl łukowaty francuzkim jest i czysto narodowym.

Prace archeologiczne pochłoneły długi żywot uczonego. Przy nich pobierał mu włos, przy nich co dziwniejsza u schyłku dni, odmłodziło mu serce. Złamany śmiercią małżonki, z którą przeżył najszczęśliwiej ćwierć wieku, ukorzył głowę—mówi Caro—w tym idealnym przybytku, który pracą życia całego, podźwignął z gruzów dla przyszłości.

Głębokie badania erudyty, przerwała nagle burza 1870 roku. Pod hukiem dział, starzec przeistacza się nagle; krew żartko kipi w jego piersi, serce młodzieńczęm uderza tętnem. Chwyta pióro, drżącą od wzruszenia ręką pisze owe sławne listy z obłożonego Paryża, drukowane co dni piętnaście. w *Przeglądzie Dwóch Światów*, aż do smutnego dnia kapitulacji. Paryż nie zapomni tych listów. Każdy z nich budził w nim otuchę, dodawał siły do wytrwania, utrzymywał w duszy święty płomień. Vitet był w błędzie, zapowiadając rychły tryumf. „Tak, on się mylił—mówi Caro—odbieraż to wartość tym gorącym odezwoom, pełnym zapалу i najwznieśszych uczuć. Podnosił serca, dosyć na tém! Wśród tych dni okropnych, pod tą czarną, rozpostartą nad nami chmurą, słowo nadziei było dla duszy naszej równie potrzebnem jak chléb dla zgłodniałego ciała! Szaleństwo!... mówili roztrojni ludzie, ukryci gdzieś opodal; ale pytam tych wszystkich, którzy zostali jak ja w Paryżu, bez tego szaleństwa mogliżbyśmy walczyć i żyć. A jednak walczyliśmy do końca, a kiedy miasto nasze upadło pokonane głodem, Vitet mógł rzec do obłożonych: „Paryż spełnił więcej niż powinność, on ocalił honor narodowy.”

„Nie dosyć było tych klęsk: miara nie spełniła się jeszcze! Wybuchła wojna domowa. Vitet wyjechał do Meudon. Co się z nim działo, gdy doszła go wieść że drogi mu Paryż gore podpalony rękoma Francuzów! Poglądał z tarasu na pożar pochłaniający nie tylko bogactwa, ale chwałę Francyi! Tam oto, święta kaplica, ogarniona płomieniami, tu stary Luwr wyrzuca w górę kłęby ognia i dymu! Z wzrokiem osłupiałym, starzec tak przeczekał do rana: brzask jutrzeńki powrócił mu otuchę. Luwr ukazał się oczom jego, nietknięty prawie, w poważnej swój piękności. Święta kaplica wznosiła pod obłoki strzelistą wieżę swoją, panując sama jedna wpośród zgliszcz, jak gdyby ręka Ludwika świętego zastoniła ją cudem od płomieni!“

Siły starca zużyły się w tych próbach. Nie upadł jednak na duchu. Powołany na członka izby prawodawczej, do ostatniego technienia żył tylko dla Francyi. Gdy mówiono o jej upadku, widział w tém ohydne bluźnierstwo. „Precz z tą myślą!—wołał z zapalem;—dzwon pogrzebowy nie zadzwonił jeszcze nad drogą naszą Francją! Historia nasza niech poświadczy. Z tylu nieszczęść wyszliśmy zwycięzko! Bóg dopuścił na nas to upokorzenie, abyśmy tém dzielniej przyczynili się do postępu świata, tak dziś klęskami, jak niegdyś chwałą naszą!“ Były to ostatnie słowa jakie wyrzekł wobec narodu.



„Niech piękny żywot jego będzie dla nas przykładem—rzekł Caro w końcu mowy. Nigdy ta zdrowa i mężna dusza nie padła pod ciężarem. Kiedy ogarniemy ten wielki umysł, krążący wiecznie w sferach wzniosłych myśli i szlachetnych uczuć, zadanie ludzkości olbrzymieje w oczach naszych; z nową siłą podejmujemy dawną pracę, i aczkolwiek niepodobna zwalczyć nam sprzecznych prądów, jego przykład nas uczy, że powinnością każdego myśleć i działać, jak gdyby panował nad losami, że pierwszą cnotą uczciwego człowieka, nie zważać nigdy o swoich czasach, ani o własnym kraju!“

Odpowiedź p. Rousset dyrektora akademii, żywo zajęta słuchaczy. Mówca jasno i stanowczo rozbiiera w niej pytania filozoficzne, poruszające dziś umysły, tak we Francji jak i w świecie całym. Przebiega on trzy znakomite dzieła nowego akademika: *Idea Boga i nowość jej krytycy*, *Filozofia Goetego*, *Materyjalizm i nauka*. Określając wielką doniosłość tych prac, wyzywa do walki realizm, podejmuje przeciwko niemu oręż nie z rąk idealistów, ale raczej z rąk najuczciwszych mężów tej epoki, którzy poświęcili żywot badania ścisłych nauk. Powołuje na świadectwo wielkich chemików Jana Dumasa, Chevreula i Wurtza: powtarzamy dosłownie ten arcyważny ustęp.

„Zapytam, rzeczce Rousset, jednego z przyrodników realistycznej szkoły, co jest zasadą świata? „Siła!” odpowie niewątpliwie. „Co to jest siła?—zapytam — zkadże ona pochodzi?” Nim odrzekł zagadniony, występuje oto słynny mąż i rozwiązuje rzecz w taki sposób. „Siła atrakcyi utrzymuje światy w przestrzeni, ale kto poznał jej naturę? Afinicja łączy cząsteczki ciał; wiemyż my co znaczy ten wyraz? Nasz umysł przedstawia sobie materję jakoby zbiór atomów: czyż wiemy że atomy istnieją? Fizyolog opisuje objawy życia; a wiesz on czém jest życie? Jeżeli człowiek pyszni się niekiedy z tego co umie, alboż nie powinien uczuć się pokornym i maluczkiem nie wiedząc tylu innych rzeczy?”

Te słowa wyrzekł niedawno Jan Dumas w akademii nauk, wspominając życie i prace zmarłego Genewczyka de la Rive.

„A oto, ciągnie Rousset, inny słynny mąż, dziekan chemików naszych, gdy spytany go, co myśli o przyrodzie, odpowie nam wręcz: „Nie rozumiemy wcale skrzywionej opinii tych, którzy wyrzuciwszy z języka wyrazy Bóg i Opatrzność, podstawili w ich miejsce wyraz *przyroda!*”<sup>1)</sup>

„Wreszcie—dadaje mówca—kilka miesięcy temu, uczony Wurtz, prezes Towarzystwa postępu nauk, temi słowy zakończył mowę swoją w Sorbonie. „Taki jest porządek przyrody: im bardziej nauka wnika do jęj wnętrza, tém ona lepiej odkrywa nam prostotę środków działających, a zarazem nieskończoną rozmaitość rezultatów. A więc po-

1) Chevreul: Histoire des connaissances chimiques.

zwalając nam odchylić róg zasłony, daje nam spostrzedz harmonią i wielkość planu wszechświata. Co zaś do pierwszych przyczyn, te pozostają niedościgłe. Tu zaczyna się inne panowanie. Rozum ludzki będzie zawsze chciał wkroczyć w ową dziedzinę; taka jego własność; nie przemienisz jój nigdy. Naprózno nauka objawi mu budowę świata i porządek wszelkich fenomenów; on zechce sięgnąć wyżej jeszcze, i w przeczcuiu iż rzeczy nie mają w sobie samych przyczyny bytu, podstawy ani początku, zmuszony będzie poddać je przyczynie pierwszej, jedynéj, powszechnéj, to jest odnieść je do Boga!\*

Tak przemawiają we Francyi najpierwsi przedstawiciele pozytywnych nauk. Nie zrywają oni z idealizmem, nie zaprzeczają istnienia temu, czego rozumem obliczyć nie mogą. Wymowny akademik, z niesłychaną zręcznością podjął te argumenta i wsparł niemi rozumowanie swoje. Publiczność przyklasnęła mu z uniesieniem. Dawno jak widać minęły czasy, kiedyśmy mieli prawo oskarżać Francją o зараżanie materyalizmem społeczeństwa naszego. Co do nas, wątpimy nawet aby ona kiedykolwiek zasługiwała na taki zarzut. Mniej od Niemców, Francuzi rozprawiali o idealizmie, ale za to lepiej dostrzajali życie do ideału: nie był on dla nich abstrakcją jak dla ich zareńskich sąsiadów.

Wydawca Cherbuliez rozpoczął od roku szereg dzieł, poświęconych literaturze u rozmaitych ludów. Po historyi literatury angielskiej pana Odysse Barot i włoskiej pana Roux, wyszło z kolei dzieło trzecie: *Historja literatury współczesnej w Rossyi*. Autor jego p. Courriere należy do szkoły p. Leger; idzie on trop w trop za mistrzem swoim, a to tak dalece, że wątpić nie można, o kollaboracyi tych dwóch sławistów. Nie będziemy rozbierać tego dzieła, gdyż znając tylko literaturę rossyjską z przekładów mniej więcej udatnych, nie możemy wiedzieć, o ile sądy autora uzasadnione są i prawdziwe.

W krótkim, zanadto pobieżnym wstępie, zawartym w ośmiu stronnicach, autor określa ducha literatury. Pokazuje, jak do XVIII wieku trzymała się w obrębie religijnym, to jest monakalnym, jak wyemancypowawszy się z tych więzów, weszła na tor naśladownictwa i pseudo-klassycyzmu; były to nowe pęta. W początkach tego wieku zerwał je romantyzm, uosobiony w Puszkynie, Lermontowie, Gogolu, Bieleńskim i t. d.

„Po tych Koryfeuszach—mówi autor—z Turgeniewem, Pisemskim i innemi, literatura rossyjska stała się wierném echem pragnień ogólnych. Szkoła *naturalna* wzięta sobie za cel odkrywać rany społeczne. W roku 1861, nowy porządek rzeczy wywołał nowe idee. Szkoła *naturalna* zabłąkała się w tym zbudzonym ruchu umysłów: badała w nim tylko stronę negatywną, szpetną i odrażającą. Wpadła w przesadę, podejmując typy w wyjątkowych objawach.

„Z drugiej znów strony, ze szkoły tej zrodziła się nowa: ta oderwawszy się od pnia wspólnego, podjęła sztandar ludowego realizmu i przyjęła nazwę *literatury muzyków*. Tak więc literatura rosyjska przyszła do realizmu szybkim krokiem, wyprzedzając na tej drodze starsze swoje siostry. Przyczyną tego pozytywny i praktyczny charakter narodu, oraz przeważny wpływ literatury angielskiej i niemieckiej.

„Powiedzmy tu—dodaje autor—z upokorzeniem naszej dumy narodowej, że lubo nasz język panuje w salonach rosyjskiej arystokracji, lubo romanse francuzkie chciwie tam czytane; przecież wielcy pisarze nasi znaleźli tylko naśladowców w druzgorednych autorach rosyjskich. Krytyka tamtejsza nie lubi naszych powieściowych utworów; zbyt one dla niej wyszukane, zbyt fantastyczne, niedość czerpane z życia rzeczywistego. Duch rosyjski w literaturze, ściślej za to spowinowacony z duchem angielskim i niemieckim: taż sama w nim dążność praktyczna, ten sam popęd do problemów filozoficznych i społecznych. Dlatego literatura rosyjska, tak do poezyi, jak do powieści i dramatów, brała wzory z Anglii i Niemiec.

„Powieść rosyjska naucza, moralizuje, rozbiera tę lub ową tezę. Dramat i komedia wykazują przedewszystkiém stronę psychologiczną, mało waząc sceniczne efekta.

„Dążności te, obok dodatnich, wywarły téż i ujemne następstwa. W skutek pozytywizmu i realizmu, ciężących na literaturze, droga pisarzom zagrodzona w niejedną sferę sztuki; nie jedno źródło natchnienia całkiem im niedostępne. Tak więc poezya stała się niepodobną; satyra tylko podnosi głos niekiedy. Dramat prostym jest obrazem historycznym; komedia prostém odbiciem świata realnego.”

Po zbyt lakonicznym wstępie, autor przechodzi do szczegółowego poglądu na literaturę. Nie możemy iść za nim, powiemy tylko, że obszerny ustęp, o pierwotnych pomnikach ludowych: pieśniach, powieściach (skazkach) i legendach (bylinach), zanadto zdaniem naszym chaotyczny. Ktoby naprzykład rozbierał pierwotne utwory geniuszu francuzkiego, objawiające się w utworach wieśniaczego ludu, musiałyby z konieczności oprzeć wywody swoje na danych etnograficznych, musiałyby odróżnić wyroby ducha Bretonów, Flamandów i Normandów, od wyrobu myśli pirenejskich Basków, podalpejskich Sabaudczyków i Prowansali. A przecież ludność francuzka, w szczuplejszym skupionym obrębie, mniej przedstawia różnic plemiennych, niż ludność olbrzymiego państwa, przechodzącego rozmiarem wszystkie razem kraje Europy.

Sekretarz zmarłego Janina i nieodstępny towarzysz jego w ciągu lat kilkunastu, p. Piedagnel wydał niedawno bardzo ciekawą książeczkę p. t. *Juliusz-Janin 1804—1874*. Nie jest to bynajmniej życio-

rys, ale raczej materiał do życiorysu, kilku wspomnień pochwyconych z pamięci, rzuconych na papier z miłością i poszanowaniem dla pamięci zmarłego.

Książę krytyków, jak go powszechnie zwano, stanowi prawdziwie oryginalną postać, na tle dzisiejszego społeczeństwa. Wśród tłumów, uganianych się gorączkowo za znaczeniem, sławą i złotem, on jeden za niczem nie gonął; pracował i czekał spokojnie, a wszystko samo przychodziło ku niemu. Na czole jego wieczna panowała pogoda, na ustach igrał zawsze swobodny, pełen dobroci uśmiech. Dom jego w Passy, osłonięty wieńcem kasztanów, otoczony zielenią i kwietnymi grządkami, nasuwa nam pomimowoli na myśl prostszą i uboższą ustron czarnoleską, w której królował trzy wieki temu, książę poetów naszych. Zobaczmy oto wierszyk, w którym Janin opiewa ciche swoje szczęście; ażaliż nie znajdziemy w nim powinowactwa, z niejedną fraszką naszego Jana z Czarnolasu?

Wewnętrzny spokój, przyjaciele wierni,  
Domek bez troski, ogródek bez cierni;  
A kiedyś orszak życzliwy za trumną:  
Godziż się wyżej sięgać myślą dumną?  
Siłaż dobrodziejstw mam ja z ręki Boga:  
Przy boku moim towarzyszka droga;  
Ten promień słońca, te bzy, te powoje,  
Ten dach pochyły, te słodkie sny moje;  
To modre oko, utkwione w mém oku;  
Ta własna grzęda, gdzie posiewam kwiaty:  
Możeszli życie dać więcej uroku?  
Mnie nic nie trzeba: jam dość już bogaty!

— Dyktuj mi pan swój pamiętnik — powtarzał sekretarz przy każdej sposobności.

— Co tobie w głowie—odpowiedział Janin z uśmiechem. Mój pamiętnik?... i cóżbym w nim pomieścił. Dzięki Bogu, jestem, jak te ludy szczęśliwe, co nie mają historii! Gdy mnie już nie będzie, jeżeli ktoś życzliwy zechce nakreślić życiorys Janina, nie spracuje się nad nim! Dostyc na tém, gdy powie: przez lat blisko pięćdziesiąt wydawał odcinek Debatów, pisał powieści zazwyczaj wesołe; podagra napadała go często, on jednak zwyciężał domowego nieprzyjaciela, mając przy boku z łaski Bożej, wierną i rozumną towarzyszkę, a pod ręką ulubione książki." I dodawał po chwili: „Kto szczerze miłuje literaturę, kto ma takich przyjaciół, jak Bossuet, Kornel, Molieré, Horacy i Wirgili, ten prawdziwie bogaty i nuda mu nieznana!”

Janin szczęśliwy był w całym słowa znaczeniu. Miał on szczególny dar zniewalania sobie serc ludzkich, dar niezwykły w człowieku oderwanym od życia, który dnie całe trawił z piórem i książką. W takich ludziach świat widzi samolubów! nie jeden karmi ducha podanym

przez nich chlebem, lecz mało kto uściśnie rękę znojących oraczy, którzy w pocie czoła, uprawiając swój zagon, nie mają czasu dzielić z drugimi codziennych wrażeń, zrozumieć ich potrzeb, dostroić fantazyi swojej na ich ucztę. Janin, równie jak nasz Jan z Czarnolasu, stanowią w tém rzadki wyjątek. Znalazł on wkoło siebie wiele serc prawdziwie mu oddanych. Kochała go wierna i dobra żona, kochali go starzy przyjaciele, kochała go z zapałem młodzież. W początku mozolnego zawodu, wprzód on napotkał gorące serca, niż się dobił pocziwów sławy. Opowiadał nieraz, jak skończywszy nauki w kolegium paryżkiem, ujrzał się sam jeden, opuszczony w owém olbrzymim rojowisku, gdzie go nikt nie znał, gdzie nikt nie myślał o nim. Nagle odmieniły się rzeczy!

„Dnia jednego, idąc ulicą, mówi Janin i przemyślając z trwogą, co będzie dalej? ujrzałem starą ciotkę, podpórę mój młodości, widomą Opatrzność moją! Zaczna kobieta miała wtedy z górą lat osmdziesiąt! ale była to kobieta starych czasów, z wielkiem sercem, całe życie piękna i silna! Wierna słowu danemu niegdyś, mojej umierającej matce, przyjechała z głębi gór forezskich, aby żyć ze mną ubogim i nieznanym, sama, jak ja, nieznaną i ubogą!

„Zaczna kobieta! w wieku, gdy każdy ściela sobie ciche gniazdko, aby w niem spocząć po długich trudach i zawodach, ona wszystko porzuciła dla mnie: i swój domek czysty i schludny, i swoje ciepłe ognisko, i maleńki ogródek, i swój wpływ w miasteczku, gdzie ją wszyscy znali i kochali. Wszystko to porzuciła! Z jakąż radością ujrzałem ją z daleka, opartą na kijku; serce uderzyło mi na gwałt: czułem, że żyję; miałem opiekę, miałem przy sobie duszę kochającą, miałem kogo ukochać!”

I zamieszkali razem na wysokim poddaszu; w szczupłych, ubogich dwóch izdebkach. Aby wystarczyć na niezbędne życia potrzeby, młodzian dawał lekcyje po parę franków. Popróbował szczęścia w literackim zawadzie; próba udała się: pióro przyniosło mu sławę i dostatek.

Ciotka patrzyła z rozpromienioném sercem na rosnącą wziętość bratanka; wdzięczny bratanek, pierwsze złoto otrzymane z redakcyi Debatów, poświęcił na piękny portret opiekunki. Portret ten, pędzla sławnego Deweria, przedstawiający starą matronę z bieluchnym, jak śnieg włosom, w muślinowym suto nagarniowanym czepeczku, nie opuszczał nigdy Janina. Miał go w sypialni swojej, na nim spoczywały gasnące jego oczy. Na lat kilka przed śmiercią, nakreślił ten napis, na odwrotnej stronie wizerunku.

To ciotka ukochana, moja druga matka;  
Mój stróż anioł stoletni, wierny do ostatka.  
Wy! którzy wśród rupieci, za lat sto znajdziecie  
Ten obraz wystawiony może na tandecie,

Wypełzły i wiekową pokryty kurzawą;  
 Obraz, co do czci wszystkich tak słuszne ma prawo:  
 Kupcie go i na jasnej zawieściec go ścianie,  
 Niech on waszego domu ozdoba się stanie;  
 Niech! w tym czynie wdzięczności, znajdzie dowód żywy  
 Ten, co życie swe pracy poświęcił uczciwój!

Czyż i ten wierszyk nie przypomina fraszki Kochanowskiego, w której ojciec poetów naszych, z taką prostotą przepowiada sobie, że popiół kości jego nie zostanie wzgardzony!

Obraz czcigodnej ciotki, nie pójdzie na tandetę; wiadomo, że pani Janin przekazała wszystkie zbiory po zmarłym akademii francuzkiej: portret ciotki należy niewątpliwie do liczby tych ofiarowanych pamiątek.

„Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim!” nakreślił nasz Jan z Czarnolasu i wierny zasadzie orał pilnie swój zagon i spożywał wesoło owoce własnej pracy. Tak samo czynił Janin. Niwa jego więcęj wprawdzie przynosiła mu złota, bo też w innych żył czasach; ale to pewna, że mało ważył zysk materialny. Kiedy po upadku monarchii lipcowej, Debaty zmniejszyły honorarium Janinowi do 6,000 tylko franków rocznie, kiedy korzystając z tego, Monitor powszechny ofiarował mu czterokroć większą nagrodę, szlachetny krytyk pozostał przy dawniej redakcyi, w której zdobył trzydziestoletnią wartość. W układach z wydawcami, równie okazywał się bezinteresownym. „Główna rzecz mawiał, aby mnie czytała garstka ludzi uczciwych i dobrój woli!”

Uczciwi ludzie, czytali też chciwie Janina, wierzyli mu na słowo. Tknięty nieraz do żywego okazywanem mu współczuciem, uchylał zasłonę i chętnie ukazywał tajniki własnej duszy. Poniedziałkowe sprawozdania obejmują mnóstwo szczegółów autobiograficznych i posłużą kiedyś do nakreślenia zyciorysu wielkiego krytyka. Po śmierci przyjaciela i kolegi Teodora Burette, rzuca oto na papier gorące słowo, którém, obok zmarłego, maluje i własną osobistość. „Dzieci jednych-że prac i uciech, synowie jednej generacyi, uczniowie tegoż samego collegium, radzibyliśmy ze wszystkiego, szczęśliwi zawsze i weseli. Nie bawiliśmy się nigdy w geniusz niezrozumiały, w rozpaczliwy Byronizm. Melancholia sama, gotowa była śmiać się z wesołych naszych twarzy! Później, gdy przyszły dojrzałe lata, zapłakaliśmy nieraz z płaczącemi; sypaliśmy grzmiące oklaski tryumfatorom, którzy torowali nowe drogi literaturze. Kochaliśmy potężnych i sławnych, ale więcęj jeszcze, nieznanych i nieszczęśliwych!”

Zobaczymy, jak Janin określa obowiązki krytyka, jak pojmuje najwyższą jego nagrodę. „Rozumnym krytykiem — mówi on — jest ten, który okazuje rozum, choćby tylko czasami, w ważnych okolicznościach. Na codzień wystarcza zdrowy rozsądek, sprawiedliwy sąd i gładkie słowo. Nie zadajmy nic więcęj! Wielka to pociecha,

gdy ci dano wywlec z tłumu, zagrzebanego w nim poetę lub artystę; wydobyć światło z pod korca, postawić na widowni, aby świeciło ludziom. Wielkaż twoja radość, kiedy wydrzesz dobrą komedią, lub książkę z paszczy zażartej sfory, która najniesłuszniej szarpie nią i pomiata; słodsza jeszcze pociecha twoja, kiedy na widok publiczności oszołomionej pustym dźwiękiem słów, gotowej obsypać poklaskiem jakiś potworny plód chorągwy wyobraźni, powstrzymasz ją w zapędzie, przywołasz do porządku, sam jeden, stojąc w obec tłumu, jako mściciel znieważonej prawdy, jako zapaśnik walczący w świętej sprawie!

Czuł Janin czém jest potęga słowa: „Nie umrzesz cały—mówił on—jeśli niejedno serce czytając cię, uderzyło żywotnem tętnem, jeśli niejedna myśl, uśpiona głęboko w ludzkim mózgu, zbudziła się potrącona przez ciebie, i wybiegła picśnią z ust dotąd oniemiałych; jeśli wlałeś w niejedną cierpiącą duszę słodki balsam pociechy; jeśli grzbiet nikczemnika zsiekleś zasłużoną chłostą; jeśli niegodny utwór, wynoszony pod obłoki, powaliłeś trupem na dziennikarskiem pobojwisku!“

Biograf przytacza kilka listów Janina, pełnych życia i oryginalności, jak wszystko czego dotknął. Wybieramy z nich jeden do młodego seminarzysty, dziś zasłużonego plebana. Pisany był przed trzydziestoma laty.

„Kochany kuzynku! skoro chcesz będę cię tak nazywał: zgadzam się najchętniej. Ale co powie twój rektor, gdy posłyszysz, że wchodzisz w korespondencją z pisarzem romansów jak ja? Powiesz mu zapewne żeś nie taki czarny, jak mnie malują; wątpię jednak abyś go zaspokoił! Jakto? pisać z seminaryum do takiego profana? to grzech nieprzebaczony!

„Otóż to wcale nie jest grzechem, bo pisarz romansów da ci zdrową braterską radę. Powiem ci najprzód, że życie poważną jest rzeczą, że młodość szybko mija, żeś nie powinien marnować jej na czytaniu tak lekkich jak ja pisarzy. Obowiązkiem twoim raczej, badać mistrzów myśli i sumienia, wielkich kaznodziejów Wschodu i Zachodu, świętych Augustyna i Hieronima, Grzegorza, Ambrożego a przede wszystkim świętego Jana Chryzostoma i naszego złotoustego Bossueta. Czytaj Bossueta, powtarzam. Niechaj on będzie mistrzem twoim. On stworzył język francuzki, czytaj go pilnie. Kazania jego są arcydziełem wymowy ludzkiej. Jego *Historya przemian* (histoire des Variations), tyle oddała postąg religii katolickiej, jak listy ś-go Pawła, wielkiego organizatora. Nie znam nic piękniejszego, nad Bossueta mowy pogrzebowe. Czytałeś jego listy? Cała nauka kościoła katolickiego, streszczona w tych świstkach pobieżnie nakreślonych! Oto dziecię moje, prawdziwi mistrze nasi! tych potrzeba kochać, tym przyklaskiwać! tych badać dniem i nocą! W nich młody umysł znajdzie posilny pokarm, nie zaś w nędznych i błachych piśmiągach jakie się dziś drukują.

„Cóż to za książki! Gdybyś widział jaka to straszna zaraza dla zdrowego smaku, dla obyczajów, dla cywilizacji, dla języka! tego pię-

knego języka francuzkiego, który podbił nam Europę, wprzód nim oręż Napoleński otworzył drogę do niej! Wszystko co wydał ten wiek, to czczy dym, tuman odurzający myśl zdrową i poczciwą. Cała ta bazarzana, tak zdaleka błyszcząca, kazi mózg, truje serce! Wszystko to stek kłamstwa, próżności i nędzy! Z tego coś przeczytał zostanie ci tylko niesmak, zwątpienie, wielka pogarda siebie i drugich!

„Strzeż się niebacznym! nie wpadnijcie w tę otchłań. Nie czytaj mnie, ani drugich; nie czytaj tegoczesnych ksiązek: one niegodne dzielnego młodziana, który do osmnastu lat zachował myśl czystą, pobożną i niewinną! Czytaj piękne księgi XVII-go wieku: Rassyna, Bossueta, Fenelona i Massillon, lub sięgnij wyżej jeszcze do wielkich Ojców kościoła, poważnych krytyków nauki chrześciańskiej. To pewni i niezłomni mistrze twoi; pod ich tarczą zostaniesz człowiekiem wymownym, surowym, gotowym do ofiary!

„Obrateś piękne i święte powołanie, bądźże godnym wielkiego zawodu. Nie rumień się sukni twojej: suknia ta ucywilizowała nowożytnie narody. Idź śmiało naprzód, z głową do góry podniesioną; mniejsza choć skrwawisz stopy o głogi i cierniska!

„Strzeż się kłamliwego zachwyty, strzeż się fałszywych smutków, strzeż się krzywej nauki. Ufaj swoim przewodnikom, to najlepsi doradcy i przyjaciele twoi. W chwili złego humoru, nie odwołuj się nigdy do pierwszego lepszego dziennikarza. Wyobraźnia pięknym jest darem, ale potrzeba trzymać ją w ścisłych korbach!“

Janin przesadzał niewątpliwie, narzucając zbyt czarnemi barwy, obraz literatury, od której chciał odstręczyć niedoświadczonego młodzieńca, sposobiącego się do kaptańskiego zawodu. Wiedział on że pod tą szaloną powodzią, którą sprowadził na świat rozhlukany romantyzm, kiełkuje dla przyszłości nie jedno zdrowe ziarno. Największym dowodem tego, sposób w jaki uczył pierwszych koryfeuszów ówczesnej szkoły. Pamięci Dumasa poświęcił osobne dziełko, dramatycznym utworom Wiktora Hugo, poświęcił wspaniały ustęp, a historii literatury dramatycznej, wielki poeta, przebywający wtedy w Guernsey, złożył dzięki krytykowi, znanym powszechnie wierszem:

Spałem... tyś mnie obudził i dodał podniety;  
Witaj mi!—zawołałem—tyś odrzekł: Niestety!  
Słodka chwila gdy tuli brat w objęciu brata,  
Gdy łąca ze łąką się zleje, dusza z duszą spleta.

Otóż przez wód odmgęty, przeze mgły ponure,  
Lecą ku mnie twe księgi, ptaki białopióre,  
I różczkę mi oliwną przynoszą do ręki,  
I kwilą mi nad grobem łabędziemi dźwięki;  
Aż czarodziejskiej pieśni przywołan urokiem,  
Wśród tych skał żywy Paryż stanął mi przed okiem:



I czytam, i otucha rozjaśnia mi czoło,  
 Karmię się twoim stylem, twą myślą wesołą:  
 Dzięki ci, bo ty kochasz, boś mnie pojął w duchu;  
 Dzięki ci przyjacielu! dzięki wieszcy druchu!

W roku zeszłym pomiędzy uwieńczonymi przez akademią francuzką laureatami, wspomnieliśmy imię Pawła Deronlède, młodego, nieznanego dotąd poety. Zbiorek jego zawarty w maleńkim tomiku, pod tytułem *Pieśni żołnierza*, poruszył do głębi serca Francuzów. Wydawca Lewy w ciągu jednego roku czternaście razy powtórzył ich wydanie. Zachęcony tak szczęśliwą próbą, młody śpiewak rzucił w świat nowy tomik pod tymże samym tytułem. W ciągu dwóch dni rozerwano cały nakład złożony z dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Główną zaletę owych pieśni stanowi nie styl, wytworna forma, jak raczej szczery zapał wybiegający z głębi młodego serca.

Dajemy w przekładzie dwie piosenki z ostatniego zbioru. Wiemy że przekład odebrał im cały urok świeżości, niech przecież ta błada kopia da choć w części poznać poetę, którego Paryż liczy dziś do swoich ulubieńców.

*Dobry nocleg.*

- Co tam grzebiesz na kominie,  
 Starowino ty pocziwa?  
 Zima prędko nie przeminie,  
 Może zbraknąć wnet łuczywa.  
 Mnie tak ciepło, odzież sucha,  
 Próżno wołam: przestań-że!  
 Ona w popiół co sił dmucha:  
 — Ej! żołnierzu, ogrzej się!
- Jam nie głodny, starowino,  
 Jadłem obiad dziś obficie;  
 Schowaj szynkę, zabierz wino:  
 Zdejm ze stołu to nakrycie!  
 Mnie posiłku nie potrzeba!  
 Ona słyszcć nie chce mnie,  
 Leje wino, daje chleba:  
 — Ej! żołnierzu, pokrzep się!
- Komu znosisz pościel białą,  
 Starowino ty kochana?  
 Mnie w stajence spać przystało,  
 Dosyć dla mnie garstki siana:

Mamże w miękkim tonąć pierzu?  
 Lecz zrozumieć nie chce mnie.  
 — Tyś strudzony mój żołnierzu:  
 Pokrzep siły w smacznym śnie!

Zorza świta, czas mi w drogę,  
 Za tornister chwytam żywo;  
 Cóżto? dźwignąć go nie mogę!  
 Na gospozię patrzę siwą.  
 Kiwnie głową starowina,  
 Po jój licu płyną łzy:  
 „Ja w obozie mam téż syna;  
 On żołnierzem tak jak ty”

*Dziewczyzna.*

Śmiało idziem przez wieś ludną,  
 Grzmią dobosze i trębacze;  
 Wtém dziewczkę ujrzę cudną:  
 Już ja takiéj nie zobaczę;  
 Stoi z boku zapłoniona.

— Naprzód—woła—w cwał żołnierze!  
 Mnie uścisnąć chętka bierze,  
 Skoczę, schwycę ją w ramiona,  
 I serduszko jój zadrżało.  
 — Całuj—szepnie—całuj, proszę!  
 Ja całuję duszą całą:  
 Grzmią trębacze i dobosze!

Powracamy znów tą drogą,  
 Niedobitki po dniu kłęski,  
 Co tchu pędzim gnani trwogą:  
 Tuż za nami wróg zwycięzki.  
 Nasunąłem naprzód *kepi*,  
 Z czoła zimny pot mi płynie;  
 Patrzę w ziemię, umrzeć lepiéj:  
 Niżli spojrzeć w twarz dziewczynie.

— Precz z téj wioski! wy pobici!  
 Oddaj całus!—woła wściekła,  
 I twarz moją w zęby schwyci;  
 Aż mi z lica krew pociękła.  
 Zmilkły trąby i dobosze  
 Hurmem z tyłu wróg przypada;  
 Już o całus nie poproszę:  
 Zwyciężonym biada! biada!

Zmarła w tych dniach w Paryżu, najstarsza z literatek francuzkich, urodzona w pamiętnym dla Francji roku 1792. Mówimy tu o pani Ancelot. Pierwsza jej młodość zbiegła za cesarstwa, ale za restauracji Burbonów otrzymała dopiero prawdziwy rozgłos. W roku 1818 zaślubiła młodego marynarza pana Ancelot: dobrane to było i szczęśliwe małżeństwo. Wpływ żony tak silnie oddziałł na męża, iż wkrótce potem Ancelot porzucił swój zawód a puścił się na inne mniej burzliwe morze literatury dramatycznej; szczęściem u rudla stał zawołany sternik w osobie kochającej i dbatęj o chwałę męża kobiety. Tragedya Ludwik IX, rozgłosiła najsamprzód imię Ancelota. Wkrótce potem objął dyrekcją Wodewillu i zasiliał ten teatr mnóstwem dociepnych sztuk dziś zapomnianych, które żywo zajmowały Paryż w swoim czasie i utorowały autorowi drogę do akademii francuzkiej. Pani Ancelot pisała te sztuki razem z mężem; wiedział cały Paryż o tój kollaboracyi, to też na rycinie przedstawiającej znakomitości ówczesne widzimy Ancelota ubranego w damski szal i kapelusz, obok małżonki w surducie i kapeluszu męzkim.

Od roku 1835 pani Ancelot zaczęła pisywać komedye i melodramata w własném imieniu; grano je w pierwszych teatrach paryzkich. Z pomiędzy tych sztuk z górą dwudziestu, największy rozgłos znalazł dramat pod tytułem *Marya czyli trzy epoki*. Rolę bohaterki przyjęła panna Mars: był to ostatni tryumf znakomitej aktorki. Sztuka ta obiegała w około Europę; zdaje nam się że ją przedstawiano i w Warszawie pod zmienionym może tytułem. Pani Ancelot pisywała także i powieści, rozchwytywane z zapalem w swoim czasie.

Rozumna ta kobieta, wszechstronnie wykształcona, otworzyła salon literacki i umiała go postawić na takięj stopie, że nie lękała się współzawodnictwa pani Recamier, słynnej z wdzięków i uprzejmości. Przez lat czterdzieści z górą, wtorki pani Ancelot przyciągały wszystkich świat literacki. Wielki przewrót w literaturze przypadł właśnie, podczas największej świetności tego salonu i uczynił go niejako historycznym. W nim rozpoczęły się pamiętne zapasy klasyków z romantykami. Tu młody, nieznaną jeszcze Wiktor Hugo, otrzymał nazwę *l'enfant sublime*; tu deklamował sławną odę, której dał tytuł *On! (Lui)*, nie śmiejąc nazwać go po imieniu, uwielbianego przez siebie Napoleona, istnie jak Izraelici, którym poszanowanie wzbraniało wymówić imienia Jehowy. Tu zastęp klasyków witał oklaskami młodzieuchnego pomazańca *muz* nie domyślając się że ten nowy Prometeusz, rozkruszy wnet okowy krępujące ducha, powali zwycięzko Tytanów i na zgłiszczach starego obozu zatknie tryumfalnie nowy sztandar.

Pani Ancelot opisała swój salon w dziełku p. t. *Un salon à Paris*. Mnóstwo tu ciekawych i zajmujących szczegółów: portrety wszystkich znakomitości ówczesnych, naszkicowane śmiałym piórem, schwycone żywotnie, nadają tój pracy historyczną dziś wartość. Inną równie trwałą pamiątkę salonu swego, ta utalentowana kobieta zostawiła w obrazie olejnym, który figurował na wystawie przed pięćdziesięciu

laty, z napisem: *Czytanie u pana Ancelot*. Poeta siedzi przy stoliku, przed nim otwarty rękopis i niezbędna szklanka wody z cukrem. Pomiędzy słuchaczami widać koryfeuszów nowej szkoły, obok weteranów wiernych klasycznym tradycjom. Wiktor Hugo piękny młodzieniec, panować się zdaje nad gronem; poetów cesarstwa uosabia Baour-Lormian, tłumacz Osyanowych pieśni, tak ulubionych Napoleonowi.

Nie wiemy dotąd, czy pani Ancelot, która do chwili ostatniej zachowała umysł krzepki i młody, pozostawiła pamiętniki, lub przynajmniej zapiski własną skreśloną ręką. Byłby to ważny nabytek dla historii literatury XIX wieku. Gdyby nawet nie zostało po niej żadnych notat, pewni jesteśmy, że rodzina do której należy głośny prawnik Lachand, zaślubiony z jej córką, zachowała żywo w pamięci opowiadanie matrony i zechce ułożyć z nich ciekawą całość.

Pogrzeb zasłużonej pisarki odbył się z wielką uroczystością dnia 22 marca. Artyści i literaci rozmaitych obozów, zeszli się u otwartego jej grobu na cmentarzu Montparnasse, jak niegdyś schodzili się u gościnnego jej ogniska. Towarzystwo Literackie przedstawione było przez sławnego konferensistę Lapomerac, który piękną mową uczcił pamięć zmarłej. Akademię francuską przedstawiał Kamil Doucet. Z ogólnym podziwieniem, Tow. Artystów dramatycznych nie przysłało żadnego reprezentanta. Wiadomo że prezesem jego jest Aleksander Dumas, zacięty wróg kobiet, zaprzeczający im systematycznie wszelkiej wyższości umysłowej!

Pani Ancelot wdowa blisko od lat dwudziestu z wielką czcią pielęgnowała pamięć męża, z równą gorliwością pragnęła utrzymać pośmiertną jego sławę, jak pracowała niegdyś nad otoczeniem go czcią i oklaskami. Przypominamy sobie kiedy przed laty pięciu Wiktoryn Sardou przedstawił Fernandę, a krytyka podniosła utwor! matrona wystąpiła z żywą protestacją, dowodząc że Sardou wziął myśl ze znannej komedii jej męża i domagając się udziału w beneficjach. Miało już przejść do prawnych kroków. Naciśnięty Sardou wyznał wtedy otwarcie, że myśl komedii nie była jego własną, ale że nie wziął jej także od Ancelota: obaj razem zaczerpnęli ją w jednej z powieści Diderota. Nie wiadomo jak się skończyła sprawa: wojna 1870 roku w inną stronę odwróciła myśl publiczności,

---

Mówiliśmy w zeszłej kronice, że wspomnienia bohaterów są na porządku dziennym: mamy oto nowy dowód tego kierunku. W kilka tygodni po *Córcie Rolanda*, pojawił się w druku nowy dramat, osnuty na témże samém tle, pod tytułem *Charlemagne*. Autorem jego młody poeta p. René Fabert. Bordier w *Córcie Rolanda* przewyższa nieskończenie współzawodnika swego, tak pod względem dykcji poetycznej, jak pomysłu i scenicznego układu; nie można jednak zaprzeczyć

wartości i Karlomanowi Faberta. Oto w kilku słowach treść jego pięcioaktowej sztuki.

Rzecz dzieje się w Akwizgranie, w pałacu Karola Wielkiego. Siwobrody król obraduje z dwónastu parami, w kole biskupów i rycerstwa. Było to jeszcze przed klęską Ronsewalu. Przedmiotem narady pytanie, czy należy prowadzić dalej wojnę przeciw Saxonom. Po Karolu Wielkim występuje Alkuin i arcybiskup Turpin. Alkuin przemawia za pokojem, Turpin za wojną. Pierwsza scena dobrze pomyślana. Zdanie Turpina przeważa na szali. Trąby zabrzmiały wnet pobudkę bojową. Karol Wielki rozkazuje stawić przed tronem Brunildę córkę Witykinda, pozostawioną u Franków jako zakład; oznajmia jej że wróci do Erzburga, kędy przebywa ojciec. Dumna branka przyjmuje tę wieść napozór obojętnie. W domu ojca dopiero wybucha całą nienawiścią ku Frankom. Charakter Witykinda utrzymany wybornie. Dziki Germanin okazuje się równie głębokim politykiem jak i zawołanym rycerzem. Znosi on cierpliwie urąganie ludu, wyrzuty własnej córki; pokrył oblicze maską obojętności, aby w danej chwili tém pewniejszy wymierzyć pocisk.

Głównym węzłem dramatu jest walka uczuć w sercu bohaterki Saxonki. Brunilda nienawidzi Franków, pragnie gorąco widzieć kraj niepodległym, a przecież kocha z zapalem syna Karlomanowego Ludwika, który niemniej gorąco odplaca jej miłością.

W akcie czwartym Witykind zdiera maskę. W obawie aby śmierć nie zaskoczyła go wprzód, zaczem podejmie mściwy oręż, rozkazuje wymordować Franków obecnych w Erzburgu. Ludwik na wieść o gwałtach pośpiesza na pomoc braciom. Brunilda zatrzymuje go, ukrywa w głębi lochu, zmusza nakoniec do ucieczki, poczem zatapia sztylet w własnym sercu. Dramat kończy się tryumfem Franków i śmiercią Witykinda.

Pomimo mnóstwa błędów w pomyśle i wykonaniu, utwór ten zasługuje przecież na uwagę. Pierwsza próba młodego poety, zapowiada mu piękną przyszłość! Nie tracimy nadziei, że imię Faberta zabłyśnie kiedyś na dramatycznym widnokręgu we Francyi.

---

Pod tytułem *Niewdzięczni* (les Ingrats) p. Juliusz Claretie przedstawił w teatrze Cluny, czteroaktową komedię, która pomimo drobnych niedostatków, ma jednak niezaprzeczoną wartość. Charaktery osób wybornie w niej oddane, co już samo przez się nie małą jest zaletą, dziś zwłaszcza, kiedy autorowie dramatyczni, uganiając się głównie za efektem, zaniedbują stronę psychiczną w swych utworach. P. Claretie biograf Moliera, jeśli nie dorównał mistrzowi w odtwarzaniu charakterów, przewyższył jednak pod tym względem wielu dzisiejszych współzawodników swoich.

Głównym niewdzięcznikiem w sztuce, jest Henryk Herbaut, syn byłego komendanta artylerii. Ten ojciec, to człowiek najzacniejszy w świecie, surowy dla siebie i dla drugich, nieprześlągany Purytanin; jeden z tych bocianów, coby chcieli wybrać ze światą wszystkie gady. Syn Henryk tworzy z nim najzupełniejsze sprzeciwieństwo: to łąt w całym znaczeniu słowa. Roztrwonil najsamprzód schedę macierzystą; wstąpił potem do wojska, okradł półkową kasę. Ojciec aby ocalić imię swoje od hańby, nim się rzecz wyjaśniła, oddał wszystko co miał, wyblągał tajemnicę. Ciężka ta próba nie cofa Henryka z haniebnej drogi; wyrodny syn, przemienia nazwisko, przybywa do Paryża, jako baron Bersac, stara się o córkę bogatego bankiera Letourneur. Jedna sobie najsamprzód względy ojca, na rzecz jego intryguje w ministeryum, otrzymuje konsens na wielkie przedsięwzięcie w Algierze.

Letournéur czciciel złotego cielca, spekuluje na wszystkiém, w córce nawet własnej widzi tylko sprężynę do swych celów. Przyrzeka Genowefę najsamprzód młodemu architektowi, który tylko co skończył nauki w Rzymie. Zrywa umowę, zaręcza ją z podeszłym emerytem, który ma u rządu wielkie wpływy. Bersac odgania wszystkich zalotników; dzień ślubu już naznaczony. Genowefa gotowa oddać rękę każdemu, serce jój nie uderzyło i nigdy zapewne nie uderzy: próżność zabiła w niem wszelkie uczucia.

W liczbie niewdzięczników występuje tu oryginalna postać finansisty Patureta. Człowiek ten przyszedł z ubóstwa do wielkich dóstatków, znalazł uczynnych ludzi, którzy wydzwignęli go z biedy, podawali mu rękę w każdej potrzebie. Mimo to przeklina społeczeństwo, oskarża wszystkich o niewdzięczność. Postać to prawdziwie komiczna.

Przed samym ślubem, przypadek sprowadza do domu bankiera, starego komedanta Herbaut. Surowy ojciec poznaje syna w mniemanym baronie de Bersac. Unikając skandalu, nie wyjaśnia rzeczy, lecz postanawia bądź co bądź nie dopuścić zamierzonych związków. Pomaga mu w tém młoda wdowa, hrabina Requy, którą Henryk opuścił nikczemnie. Dawną miłość w jój sercu zastąpiła pogarda. Henryk przełamuje wszelkie przeszkody. Walka toczy się zrazu tajemnie; przychodzi wreszcie do wybuchu, spowodował go pojedynek Henryka z architektem. Surowy komendant zdziera wtedy maskę z oblicza syna, mniemany Baron ucieka do Ameryki.

Sztuka znalazła wielkie powodzenie. Publiczność paryzka oceniła zacną dążność autora, pominęła więc drobne błędy i szczerym sypnęła mu poklaskiem; *niewdzięczni* długo pozostaną w repertuarze teatru, i pobudzą zapewne młodych pisarzy, do popróbowania sił na wskazanój im drodze.

Pisma krajowe i zagraniczne powtórzyły w tych czasach nazwisko panny Stefanii Wołickiej, która po chlubnym ukończeniu nauk w uniwersytecie Zurychskim, otrzymała stopień doktora filozofii. Skoro już imię panny Wołickiej tylokrotnie powtórzonem zostało, niech nam wolno będzie powiedzieć słów kilka o téj szczeréj miłośniczce nauki, tém bardziej że na wytrwałą jéj pracę poglądaliśmy zdaleka przez lat cztery z najwyższém uznaniem.

Pisma niemieckie i francuzkie doniosły o fakcie, wstrzymując się od wszelkich uwag; w pismach zaś naszych tymczasem, spostrzegliśmy jakieś, dające do myślenia znaki pisarskie przy tytule doktora filozofii! Czyżby przypadkiem lękano się złamania równowagi społecznej, gdyby kobiety współubięgać się chciały o stopnie doktorów? Co do nas, nie podziwiamy téj obawy. Wiemy że praca, nie dla wszystkich jest tak ponętną, wiemy że stopień doktora filozofii nie tak łatwym do osiągnięcia, abyśmy widzieć w tém mieli zagrożenie dla rodzin, jeżeli która z młodych rodaczek, w latach wiosennego życia uroku, zamiast trawić dnie na przechadzkach, nocie na zabawach i płasach, ślęczyć zechce nad trudną i nie zawsze zabawną książką, wyteżać myśl nad rozwiązywaniem problemów historycznych i filozoficznych! Z niedowarzonej nauki rodzi się zarozumienie, pretensjonalność, lekceważenie moralnych i religijnych zasad, na których opiera się rodzina: prawdziwa nauka uchroni kobietę od tego rodzaju niebezpieczeństw, da jéj siłę do walki z życiem, uczyni z niéj godną przewodniczkę własnej lub cudzej działalności: słowem przyczyni się do rozszerzenia w społeczeństwie światła, którego wszyscy pragną, w którém widzą ugodnienie jednostek i rodzin. Przykłaskujemy téż szczerze pannie Wołickiej, szanujemy wytrwałą jéj pracę, którój zawdzięcza dobrze zasłużony swój tytuł; pracę, która nie odebrała jéj bynajmniej uroku dziewiczego, przeciwnie nawet, podniosła jéj skromność i prostotę.

Czytaliśmy też naszej laureatki pod tytułem „*Griechische Frauengestalten*,” Rozprawa ta ściśle krytyczna, ma na celu wykazanie stanowiska kobiet w starożytnej Grecji. Stanowisko to było nieraz przedmiotem uczonych prac a nawet dzieł obszernych; ale wyniki tych prac nie odpowiadały na najważniejsze pytania: czy kobieta w Grecji wolną była i szanowaną, czy téż przeciwnie żyła w niewoli i poniżeniu? Przyczynę téj różnicy zdań widzimy najprzód w małej liczbie materiałów, koniecznych do wyświeślenia rzeczy; powtóre, w niedokładnym rozpatrywaniu przez autorów, istniejących źródeł piśmiennych.

Panna Stefania Wołicka rozbiera szczegółowo wiadomości o najśłynniejszych kobietach Grecji, podane przez starożytnych historyków: Herodota, Plutarcha lub zapisane w notatach mniej znanych analistów; przebiega dzieła wielkich traików i komedyo-pisarzy; rozpatruje krytycznie pogląd tych autorów na kobietę, wnika w pobudki ich sądu, częstokroć stronniczego. Nie wyrzeka ostatecznego słowa, pokazuje tylko drogi jakimi dojść można do dokładnego zbadania kobiet w starożytnej Grecji.

Rozbiór ten poprzedza autorka rzutem oka na rozwój społeczny kobiet, czyli to określony literą prawa, czy też uświęcony zwyczajem u ludów aryjskich w ogólności. Stawia porównawczy obraz obrzędów, obyczajów, uroczystości religijnych, odnoszących się do życia kobiet, u pojedynczych ludów tego plemienia: Żydów, Greków, Rzymian, Słowian, Germanów i t. d.

Po tym ogólnym poglądzie następuje krytyczny rozbiór historyi sławnych kobiet, tak jak się przedstawiają w dziełach starożytnych pisarzy. Autorka postępując porządkiem chronologicznym, od czasu wojen perskich, ukazuje nam dwie sławne kobiety: Artemizyą królową Karyi, i Elpinikę siostrę sławnego wodza ateńskiego Cymona. W dalszym ciągu dzieła występują inne osobistości. Sąd uniwersytecki uznał początek tej znakomitej pracy, za dostateczny do przysądzenia autorce stopnia doktora filozofii.

Gdy to piszemy, ledwie że zasypano ziemią grób Edgara Quineta. Trzej mistrze, którzy przed laty trzydziestoma, z katedry kolegium francuzkiego czarowali słuchaczy siłą zaklętą słowa, których rysy Francya na jednym uwieńczyła medalu, wszyscy trzej należą dziś do przeszłości. W lat dwadzieścia po Mickiewiczu, w rok zaledwie po Michelecie, umarł ostatni z tego grona.

Wszystkie pisma francuzkie uderzyły w dzwon na cześć męża, z którym można nie podzielać opinii politycznych, tém mniej religijnych, a któremu przecież trudno zaprzeczyć wielkiego talentu pisarskiego. Dźwięki tych potrąconych razem dzwonów, szczególną tworzą sprzeczność. „Quinet przede wszystkim był historykiem, mówią jedni, z tego stanowiska głównie oceniać go należy.”—„Quinet był filozofem, mówią drudzy, świat metafizycznych spekulacji, to główne pole działań tego twórczego ducha!”—„Quinet był poetą! mówią nakoniec inni, nowy ten Prometeusz, na skrzydłach fantazyi gonił wiecznie za promienistym ideałem i zbłąkał się nieraz wśród niezmiernych okiem błękitów!”

Tak jest, Quinet był poetą. Czy to jako historyk, czy jako filozof, czy jako krytyk i publicysta, czy nawet jako mąż stanu, był on przede wszystkim poetą. W dziejach literatury, jak i w pamięci ziomków, zostanie głównie po nim:

To, co zostaje nam po wieszczem słowie,  
Po łzach, po rosie, po pieśni w dąbrowie! (W. Pol).

Urodzony w początkach tego wieku (1803 r.), ledwie że wyrósł na młodziana, czy to porwany apoteozą Niemiec pani Stael, czy też idąc za własnym popędem, rzucił się na pole filozofii niemieckiej, badał ją pilnie, słuchając w Heidelbergu wykładu profesora Cruzera.



Tam zawiązał przyjaźń z Herderem, przetłumaczył trzytomowe dzieło jego *Idee nad filozofią dziejów ludzkości*. Za powrotem z Niemiec nakreślił te słowa, wieszczym natchnione duchem.

„Od końca średnich wieków, siła i inicjatywa państw germańskich, przechodzi z południa na północ, wraz z prądem cywilizacyjnym. Obrażałyby dziś północ Prusy, jako narzędzie swoje. Tak jest i gdyby tylko pozwolono jój działać, popchnęłaby je z wolna do spełnienia mordy na starém Królestwie Francuzkiém! Pamiętajmy że rana zadana Westfalskim traktatem a ztąd ustępstwem Alzacy i Lotaryngii, pocieka jeszcze krwią w sercu Niemiec, tak samo jak rana w skutek traktatów 1815 roku, niezablźniona dotąd w sercu Francyi. U ludu, który przeżuwa tak długo swoje wspomnienia, jad nienawiści trwa w całej sile, objawia się na każdym kroku. Oderwać od Francyi te ziemie, to główny cel ich narodowej pychy!”

Słowa te skreślone były przed pół wiekiem!

W roku 1828, Quinet wysłany do Morei z komisją francuzką, zebrał na miejscu liczne materyały do dzieła, które wypracował za powrotem; tytuł jego: *Grecya współczesna i stosunek jój do starożytnój* (1830 r.)

Odtąd jako stały współpracownik *Przeglądu Dwóch Światów*, zasilał to pismo przez lat dziesięć, mnóstwem znakomitych rozpraw o literaturze i sztuce. Rozbierał tu z kolei epopeje francuzkie XII-go wieku. Epopeje czeskie, tradycje bohaterskie w Niemczech i Skandynawii, epopeje starożytnych Greków i Rzymian. Badania szczegółowe nad poezją narodową w różnych krajach Europy, odkryły mu jeden prąd ducha, ożywiający wszystkie literatury ludów plemienia aryjskiego i ścisłe ich powinowactwo z pierwotną poezją starych Hindów.

Oprócz tego wydawał dzieła w rozmaitych przedmiotach, nacechowane zawsze połotem poetycznym, jak: *Podroże samotnika po ziemi włoskiej* (1838), *Niemcy i Włochy, filozofia i poezya* (1839). Największy z nich rozgłos znalazł *Ahaswerus*, alegoryczno-symboliczny poemat, w dwóch tomach pisany prozą, wysnuty z legendy o Żydzie Tułaczku. Tu poeta wybiega myślą nad poziom, z jednej strony potraça o przeddziejowy chaos, z drugiej zdziera zasłonę przyszłej nieskończoności. Utwór ten oryginalny a przytém zbyt zuchwały, wywołał gorący poklask a zarazem surowe potępienie.

W tym samym duchu skreślone dwa inne poemata: *Napoleon i Prometeusz*, oba pisane wierszem.

Quinet wystąpił na polu krytyki, rozbiorem dzieła Strausowego *Życie Jezusa*. Praca tą zwrócił na siebie uwagę *ministra Salwandego*, w roku 1838 mianowany został professorem literatury zagranicznej w fakultecie Lyońskim. W trzy lata później, drugi minister Willemain oddał mu nowo utworzoną katedrę literatury Europy Południowej w kolegium francuzkiém. Było to w czasach, kiedy Mickiewicz orlim polem skrzydeł, porywał słuchaczy w świąty zupełnie mu nieznane.

Mówiąc przed rokiem o Michelecie, przypomnieliśmy w kilku słowach, owe smutne zatargi uniwersyteckie, w skutek których dwaj popularni profesorowie zmuszeni byli ustąpić z katedr swoich, w roku 1846. Quinet udał się wówczas za Pireneje. Wróciwszy do kraju, wydał wspomnienia tój przejażdżki p. t. *Moje Wakacje w Hiszpanii*.

Odtąd poeta rzucił się w szranki politycznych zapasów. Wybrany na członka izby, bronił z zaciętością republikańskich zasad. Po grudniowym przewrocie i ogłoszeniu cesarstwa, zmuszony wyrokiem opuścić Francję, zamieszkał najprzód w Brukselli. Tu zaślubił młodą wdowę Mołdawiankę, córkę poety Assaki. Wkrótce potém przeniósł się w okolice Genewy; osiadł w Veytaux po nad Lemanem.

Ustąpiwszy z widowni politycznej, oddał się wyłącznie literaturze. Owocem tych dziewiętnastoletnich prac na obcej ziemi był najprzód pięcioaktowy dramat wierszem p. t. *Niewolnicy*: bohaterem jego Spartacus. Wkrótce po nim ukazał się dwutomowy poemat prozą p. t. *Czarodziej Merlin*. Z dzieł treści filozoficzno-historycznej, najważniejsze: *Fundacya Rzeczypospolitej w Zjednoczonych Prowincjach, Kampania 1815 roku, Rewolucya Francuzka* obraz historyczny w dwóch tomach; *Filozofia dziejów we Francyi*. Tu autor upomina gorąco współczesnych pisarzy francuzkich, aby miłując ludzkość, zrzekli się jednak kosmopolitycznych mrzonek, które prowadzą na bezdroża.

„Niekiedy, mówi on, przebiegając nowo powstałe teorye, widzę bledniejszą w nich Francją, na korzyść idei ludzkości owych. Nie stawać wam na tym pochyłym gruncie! Ktoby szukał pierwotnego początku tój myśli, odkryłby, że się zrodziła za restauracyi Burbonów, w czasach najazdu, kiedy Francya straciła świadomość samj siebie. Systemat zatracenia narodowości rodzi się tylko w umarłych społeczeństwach. Wiecież wy, że ten kraj, ta ziemia, którą depczecie, potrzebną jest dla świata? De Maistre wyrzekł, iż Francya spełnia wielkie urządowanie w świecie całym. Skoro nieprzyjaciele tak przemawiają, godziż się własnym synom inne objawiać zdania?”

Wszystkie dzieła Quineta wyszły razem r. 1859 w dziesięciotomowém wydaniu. Do późniejszych prac należy: *Stworzenie* (Creation), *Historya moich idei*, wreszcie świeżo wydany tomik *Duch nowy* (l'Esprit nouveau).

Po upadku cesarstwa, Quinet powrócił do Francyi. Przebył w Paryżu smutne czasy oblężenia; powołany znów do izby prawodawczej, walczył do końca w imię własnych przekonań, jako najzawziętszy członek opozycyi.

W tym samym czasie umarł w Paryżu inny człowiek, zaszczytnie znany w wypadkach 1848 roku, czynny do ostatniej chwili życia. Był nim Agrykol Perdiguier. Ciekawa to nadzwyczaj osobistość. Syn prostego stolarza, urodzony w Awinionie r. 1805, w dzieciństwie

latach nauczył się trochę czytać i pisać. Pracował potem, jako chłopiec stolarski przy warsztacie.

Średniowieczna instytucja bractw cechowych, silnie rozwinięta niegdyś we Francji, jak w całej Europie, zniesioną została w końcu zeszłego wieku w imię wolności powszechnej. Zwyczaj przemógł jednakże nad prawem, korporacje przetrwały lubo utraciły dawną siłę. Agrykol po dwuletniej pracy przy warsztacie awiniońskim, puścił się na zwykłą wędrowną podróż po kraju. Przez lat cztery obiegł całą Francją, jako towarzysz cechowy. Życiem przykładnym i pracowitym zjednał sobie chlubny przydomek *Abignonais-la-vertu*. W młodym jeszcze wieku, dla wielkich zasług, policzony został między starszyzną cechową. Zamieszkał podówczas w Lyonie. Zajęty pracą ręczną, po godzin trzynaście na dzień, wieczorami pracował pilnie nad wykształceniem własnego umysłu. Spragniony światła, uczył się z najwyższym zapałem, rysował, czytał książki, układał pieśni dla towarzyszy; mnóstwo z nich rozbiegło się po świecie na drukowanych kartkach.

Przybył do Paryża w roku 1829; tu z większą jeszcze energią zabrał się do pracy umysłowej. W dziesięć lat potem wydał dzieło p. t.: *de Compagnonage*: traktując rzecz w sposób powieściowy, opisuje spotkanie się dwóch braci i rozwija teoretycznie korzyści korporacji cechowych. Wkrótce potem, w innym dziele przebiega historią stowarzyszeń, wykazuje siłę w połączeniu, a obok tego słabość wynikającą z rozprężenia jednostek. Nakreślił także w roku 1843 własną autobiografią, w której pokazuje, jakim sposobem przyszedł do chleba i wziętości pomiędzy ludźmi.

O przeważnym wpływie jego na robotników, świadczą wymownie wybory po rewolucji 1848 roku. Agrykol Perdiguier powołany został na członka izby prawodawczej przez 117,000 głosów. W chwili szalonych wstrząśnień, przedstawiał on zdrową część robotniczego społeczeństwa. Wpływ jego na umysły powstrzymał większość braci od udziału w gwałtach czerwcowych. Po ustanowieniu cesarstwa, zmuszony z innymi opuścić kraj w r. 1852, zamieszkał w Belgii, a następnie w Szwajcaryi. Tu wydał *Pamiętniki towarzysza* w r. 1854.

Korzystając z amnestyi, powrócił do Paryża; osiadł na przedmieściu Ś-go Antoniego. Otworzył gospodę dla braci, dom jego stał się przytułkiem wędrownych robotników. Biedniejsi znajdowali tu bezpłatnie dach i kawałek chleba, a co ważniejsza, zdrową tradycją i doświadczoną radę. W ostatnich czasach, czytelnia ludowa urządzoną została w tymże domu.

Dzienniki zajęte dziś wyłącznie Quinetem, kilka słów zaledwie poświęciły Agrykolowi, a przecież osobistość taka zasługuje na bliższe poznanie. Podczas gwałtów komuny, wpływ jego musiał oddziaływać w dodatni sposób, skoro, jak wiadomo, przedmieście Ś-go Antoniego, to gniazdo robotników, które niegdyś rozwaliło Bastylią, zachowało się najspokojniej, ustępując miejsca Belwilczykom.

Nie jeden z czytelników naszych pamięta zapewne jedną z najpiękniejszych powieści Georges Sand, napisaną przed laty dwudziestu kilka, p. t.: *Le compagnon du Tour de France*; występuje w niej towarzysz cechowy, jako główny bohater. Słyszeliśmy, że słynna autorka pisała tę powieść w kollaracji z Agrykolem. Łatwo temu dać wiarę. Widoczny tu wpływ człowieka, który był kością z kości robotników, znał do gruntu ich serca, rozumiał ich potrzeby, żył ich życiem. Sam geniusz pisarski nie wystarczyłby na stworzenie podobnego obrazu, gdyby doświadczona ręka robotnika nie kierowała znakomitą piórem artystki.

Przypominamy sobie, jak trzy lata temu, kiedy na scenie warszawskiej ukazał się dramacik Manuela: *Robotnicy*, jeden z krytyków zarzucał przesadę w pięknej postaci Marcellego. Osobistość Agrykola Perdiguera, oddziaływanie jego pięćdziesięcioletnie na umysły i serca braci, wyjaśnia w niezaprzeczony sposób, że typy podobne Marcellemu istnieć mogą i muszą w robotniczym społeczeństwie francuzkiem.

---

## PRZESILENIE SPEKULACYI W 1873 ROKU.

C Z Y L I

# KRACH WIEDEŃSKI.

PRZEZ

*Aleksandra Oskierkę.*

(Joseph Neuwirth.—Die Spekulationskrisis von 1873. Leipzig 1874. Benno Weber.—Einige Ursachen der Wienerkrisis vom Jahre 1873. Leipzig 1874).

Przeszło sto lat upływa, jak idąc w ślady Adama Smith'a, cały szereg poważnych uczonych i głębokich myślicieli niezmiernie pracuje nad wykryciem praw, wedle których tworzy się i dzieli bogactwo wśród gospodarczego życia narodów. Wszyscy oni prawie doszli do tych samych rezultatów, że bez pracy niemasz bogactwa, że ona jedna wytwarza, że tylko niespożyty wyrób pracy może być

kapitałem. Lecz bywają czasy, kiedy wszystko to wydaje się być fałszywem, kiedy miliony zdają się leżeć na ulicach i dość się nachylić żeby je mieć; milionerowie, jak grzyby po deszczu, zdają się z ziemi wyrastać, a nieuczenni wcale, lecz odważni praktycy, prawa naukowe nazywając bredniami, mówią, że ani ręką, ani głową nie pracowali a mają miliony. Ludzi, pragnących wzbogacić się, zawsze pełno na świecie, a cóż dopiero wzbogacić się bez pracy; jakoż widząc przed sobą przykłady, idą za niemi; udaje się drugiemu, dziesiątemu często i setnemu; za tak licznym orszakiem puszcza się po tej drodze coraz więcej ludzi, gorączka się szerzy i coraz większe zajmuje koła. Nikt już nie pyta, do czego to doprowadzić może; nikt zdaje się nie wierzy aby podobne powodzenie kiedykolwiek skończyć się mogło, a przynajmniej każdy się spodziewa wyjść cało z tej gry i stanąć na stałym lądzie, nim się co złego zdarzy. Skoro to ostatnie pojawi się, przerażenie i strach opanowują wszystkich, jakby lód pękał pod stopami tłumu, i wali się cała ta budowa fikcyjnych wartości, która się wzajemnie podpierały i piętrzyły wysoko, pędzone w górę silnym podmuchem spekulacji. Jak pierwsi wszyscy zyskiwali, tak teraz wszyscy tracić zaczynają. I w ostatecznym rezultacie pozostaje wielu zrujnowanych, a najczęściej kilku wzbogaconych. Przesilenia te powtarzają się po całym ucywilizowanym świecie: wszędzie gdzie rozwój gospodarczy wyżej stoi, spekulacja staje się jedną z niezbędnych sprężyn tego rozwoju, i często na mylne drogi wchodzi.

Jak się to dzieje, objaśnia to najlepší słowa p. Otto Michaelis, który opisując przesilenie z 1857 r. w Paryżu, tak o niem mówi: „Na mocy przypuszczeń przesadzonych i mylnego szacowania ilości nagromadzonego w kraju kapitału, szukającego stałej lokacji zwiększa się podaż tytułów kapitału, t. j. papierów reprezentujących pewne wartości; handel pośredni ciągle je zabiera, sądząc że ma za sobą odpowiednią siłę w ręku stałych nabywców; tworzą się tytuły renty dla kapitałów których nie ma, zapisują się na akcje kapitały nie egzystujące zgoła, podpisujący przyjmuje zobowiązania, których odkupić od nich niema komu, aż nareszcie nastaje niebezpieczna chwila, w której w obec długo żywnionych złudzeń, wyjaśnia się prawdziwe położenie rynku kapitałów. Giełda na długo naprzód czuje instynktowo zbliżanie się tej chwili, ale stara się wspólnemi wszystkich siłami, jednoczącemi się w skutek strachu i obawy, odsunąć ją jaknajdalej, dopóki się to udawać może. Każdy usiłuje zatrzymać jak najdłużej, największą ilość papierów, kredyty zaciągają się na kredyty, żeby nadstarczyć przypadającym wypłatom; żywi się ciągle nadzieja, że uda się z tego wywinąć, że nadejdzie dzień w którym można będzie papiery sprzedać bez straty; rozmiary zaciąganych kredytów mierzą się już tylko tą nadzieją, a nie pewnością realizacyi i wypłat. Jeżeli kredyt się usuwa, starają się go przedłużyć nowemi ofiarami. Żeby podtrzymać kursa, samiż spekulanci zakupują przychodzące na rynek papiery, dokładają je w portfelach do starych,

i na to używają rozszerzonych i naciągniętych kredytów. Stopa procentowa, która na giełdzie przejawia się w cyfrach reportu, wzrasta z miesiąca na miesiąc, a czem wyższy report, tém większe bywają kredytowe zobowiązania, tém bardziej staje się niepewną a nawet zupełnie znika możliwość odprzedania tak pracowicie nagromadzonego towaru. Tak z przeładowania towarem wyrasta nowe złe, nadmierne wyzyskiwanie kredytu. Nakoniec kiedy spekulant nie może już utrzymać swoich papierów i musi się ich pozbyć za jakąbądź cenę, powstaje nagłe obniżenie kursów i jawnie się okazuje, że licząco na nabywców nieegzystujących zgoła, że każdy dzień dłuższego zatrzymywania papierów powiększa tylko nieuniknione straty. Strach paniczny ogarnia wszystkich, wszyscy razem chcą nagle sprzedawać, tak samo jak pierwój wszyscy kupować chcieli, i w kilka godzin cały ten gmach rozpada się w ruiny. Bessa nie daje się powstrzymać, pieniądże chowają się, nieufność opanowuje wszystkie umysły. Kredyta już się nie dają przedłużać, przy tém ogólném obrachowaniu coraz to nowe padają ofiary. Wypadek ten, który złudzenia na bok usuwa, a nagą prawdę odsłania, który miliony urojonych bogactw wykazuje być nicością; t. j. tém czem są w rzeczywistości, który wszystkich zmusza do rozwikłania i zakończenia interesów, pozbawia wartości nadmierną ilość wytworzonych papierów i równa się w tém, zniszczeniu funduszów: wypadek ten nazywamy przesileniem."....

Takie przesilenie widzieliśmy w Wiedniu w 1873 roku. Rozwój życia gospodarczego w Austrii o wiele jeszcze nie dorósł do siły i znaczenia przemysłu nietylko Francji i Anglii, ale i Cesarstwa Niemieckiego. To téż spekulacja wiedeńska na téj niezbyt pewnej scenie przedstawiła tragedya, która w efektach scenicznych przewyższyła może inne podobnego rodzaju widowiska; lecz która tak silnie podziałała na słabe siły wytwórcze kraju i stolicy, że dotąd t. j. w przeciągu dwóch lat, nie mogą one przyjść do siebie, ani wejść na drogę prawidłowego rozwoju.

W smutnym stanie wszystkich krajów Austro-Węgierskiej monarchii, nastął czas rozpamiętywania nad przyczynami i skutkami tego zjawiska. Owóz tych rozpamiętywań dowodem są dwie książki wydane w roku 1874. W jednej z nich p. Józef Neuwirth, publicysta z powołania, kreśli żywy obraz wzrostu i chorobliwego rozwoju spekulacji; potém dzień za dniem w ciągu kilku miesięcy śledzi tętno życia giełdy wiedeńskiej, w czasie obecnego już przesilenia; dalej wskazuje środki zaradcze jakie były używane i ich bezskuteczność wyjaśnia: nakoniec stara się dać wskazówki co nadal robić należy. W drugiej książce p. Benno Weber ekonomista-filozof, stara się głębiej zajrzeć w przyczyny tego zjawiska i w krótkiej, lecz głęboko pomyślanej broszurce, kreśli obraz społeczeństwa, wśród którego zaraza tak łatwo się przyjęła, i próbuje ocenić, albo raczej wskazać metodę ocenienia strat jakie za sobą pociągnęła. Korzystając z tych

dwóch prac poważnych, spróbujemy w krótkim szkicu przedstawić to, co się u publiczności nazywa Krachem Wiedeńskim.

## I.

Niepoehlebny wcale wypada nam dać wizerunek społeczeństwa wiedeńskiego i całej Austrii Niemieckiej, ale wiernym być on może, bo ze słów samych Niemców jest skrócony. Słowianie austriacycy figurowali może w tém przejściu jako pojedyncze ofiary, ale do roli aktorów czynnych nie doszli wcale; to téż wyłącznie o Niemcach, trochę o Węgrach piszą nasi autorowie i zobaczymy, że nie wiele czego mamy zazdrościć tym, co to od nas mają być znacznie wyżsi wykształceniem i rozumem. Ogólne cechy jakimi p. Weber charakteryzuje swój naród są następane: *brak oświecenia, lekkomyślność i chciwość*. Podobniejsze to do głosu nawołującego do upamiętania i pokuty, aniżeli do charakterystyki narodu; bo i gdzież nie ma ludzi nie oświeconych, lekkomyślnych i chciwych? Ale przypatrzmy się bliżej szczegółowym ich rysom.

Niemiec austriacki więcj ma od natury danych sobie zdolności, aniżeli inne niemieckie plemiona, tylko zdolności te nie są w nim wykształcone. Ani wychowanie i nauka, ani praktyka życia i interesów nie wpływały dotąd na to wykształcenie. Zdątności gospodarczej szczególnie brak wielki czuć się daje wszędzie i we wszystkich klassach. Nie ma trafnego poglądu na wytwarzanie wartości, na odpowiednie do celu sił natężenie; nie ma umiejętnego korzystania z dogodności miejscowych, dopatrywania wspólności i łączności w interesach, ani téż unikania tarć i trudności niepotrzebnych. Pracuje on chętnie, nawet dość wytrwale, ale pracuje na gotowym gruncie, wedle tradycyi lub wskazówek; myśleć leni się lub nie umie i chętniej przemysłowa nad tém jak guldena z kieszeni sąsiada do swojej sprowadzić, aniżeli się zastanawia nad sposobami rozmnożenia przemysłną pracą tegoż guldena. Szkoła elementarna i średnia zupełnie zaniedbały kształcenie ekonomiczne, to téż i dla Austriaka, dwa razy dwa są cztery tylko w tabelce Pitagoresa, a nigdy w życiu i praktyce. Nie ma on dokładnego pojęcia o tém, że grosza, którego nie zarobił, nie zaoszczędził, którego mu nie darowano lub którego nie ukradł, mieć nie może, i że ci, co mu obiecują dostarczać dlań sztucznie pieniądze, łudzą go tylko tą fantasmagoryą, żeby odeń wyłudzić to, co ma dzisiaj. W wyższej szkole tymczasem na katedrach panują teorye szkoły manczesterskiej, o bezwzględnej swobodzie ekonomicznej, i teoryami temi, bez żadnego ich stosowania do miejscowych okoliczności, poi się łakoma nauki młodzi. I tak od dołu do góry, u rzemieślnika, kupca, fabrykanta, rolnika, urzędnika, a nawet reprezentanta narodu w Reichsracie, trudno bardzo spotkać dokładne pojęcia o związku przyczynowym zjawisk życia gospodarczego.

Po burzy rewolucyjnej 1848 r., którąto zniosła dopiero w Austrii poddaństwo ludu wiejskiego, i po wysileniach przywrócenia dawnego porządku politycznego, pierwszy lat dziesiątek przeszedł w głębokim pokoju, niemniej jednak ciągle usiłowania utrzymać przewagę Austrii w Niemczech i wpływ jej w Europie niemałych wymagały wydatków. Oswobodzona ludność wiejska nie od razu doszła do zamożności, i podatków zwiększać nieograniczenie nie było można, témbardziej, że i tak były one bardzo znaczne. Jednakże dochodów państwa nie wystarczało na podtrzymanie tej świetnej roli i budżet coroczny zamykał się deficytem, a deficyt pokrywał się pożyczką. Pożyczki te rządowe absorbowały cały prawie kapitał, jaki drogą naturalnego przyrostu i oszczędności formował się w kraju, a wysokie procenta przez rząd opłacane 9—10%, podnosiły ogólną normę procentów, i czyniły kapitał niedostępnym dla przemysłowych przedsiębiorstw, które tak wysokich procentów dawać nie mogły. Po roku 1859 i nieszczęśliwej wojnie z Francuzami, rozpoczęła się epoka liberalizmu, ale nie oszczędności; powołano reprezentantów narodu do kontroli gospodarstwa państwowego, bodaj w tym celu, aby za ich pośrednictwem łatwiej i spokojniej większe nałożyć podatki. Lecz w Austrii od 1848 roku, nic, zdaje się, stałym być nie może, kolejno próby wszystkiego się odbywają. Stronnictwa wiernokonstytucyjne i klerykalno-feudalne naprzemian u władzy stawały, i kiedy pierwsze przez Niemców i dla Niemców rządziło, drugie szukało w słowiańskich plemionach punktu oparcia, a Niemców dość lekko traktowało. Po kilkoletnich usiłowaniach Szmerlinga, zaprowadzenia ładu w administracji i finansach, hr. Belkredi wszystko innym poprowadził torem, a zaskoczony wojną z Niemcami w 1866 r., razem z ministrem finansów hr. Larysz, nie znaleźli innego środka ratowania się, jak wbrew umowie z bankiem zawartej i wbrew konstytucyjnym ustawom, wypuszczenie w obieg kilkuset milionów papierowych guldenów. Nowy ten cios, zadany cyrkulacji pieniądziej, na długo zapewne nieuleczonym pozostanie: rozchwiał on do ostatka nadzieje, może na próżno, ale zawsze żywione przywrócenia w kraju prawidłowej waluty i cyrkulacji metalowej. Jeżeli już brak gospodarczego wykształcenia, brak kapitałów i tańszego kredytu były niezwalczonymi przeszkodami do silniejszego rozwijania się przemysłu, to pograżenie nanowo na czas nieograniczony wszystkich stosunków ekonomicznych w odmet chwiejnej waluty i przymusowej cyrkulacji papierów, nowém brzemieniem zaciążyło na mało pochopnym do czynności duchu przedsiębiorczym Austryaków.

Pomimo więc pewnej ilości wielkich fabryk, wyrabiających po większej części przedmioty zbytkowne, Austriya musi dotąd być uważaną za kraj, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie rolniczy, bo ani odzieży dla siebie, ani narzędzi do pracy sama nie wyrabia. Rozgłos po świecie i odbył wszędzie zapewniony mają wiedeńskie za-



pałki, fajeczki piankowe i pugilaresiki, ale tego zamało, aby kraj przemysłowym nazwać można.

Handel w podobnych warunkach nie może być bardzo ożywiony; przytém w ogóle u handlujących nie widać przyzwyczajenia do akuracności; niespłacanie należności w terminie oznaczonym zdaje się im być rzeczą wcale nienaganną; zwyczaje handlowe ustaliły tu kredyta długo-terminowe, a jakkolwiek ludzie są uczciwi, długie terminy kredytowe otwierają pole do nadużyć, dają czas i możność zaciągnięcia kredytów w wielu miejscach, zaczęły idzie popłatanie własnych rachunków, a nieraz i bankructwo. Nieuczciwóm nie nazywa się ono, i nikt o nieuczciwość posądzać nie chce, więc przystępują do układów, bo nikt też nie chce odwoływać się do sądów, gdzie po wielu kłopotach wziąć można mniej jeszcze, aniżeli zaraz za zgodą i umową. Jeżeli kupiec kupujący u fabrykantów nie zawsze wywiązywał się ze swych zobowiązań, to fabrykant i rzemieślnik ze swojej strony ulegli też zarazie, którą szerzy nowożytna konkurencya. Nie mogąc lepij, każe ona robić tanięj; byle tanięj stało się hasłem całego przemysłu. Wśród tej zaciętej walki o byt poszło na bok sumienie i honor: lżejsza waga, krótsza miara, gorszy wszystkiego gatunek, tam szczególnie, gdzie przy większych ilościach dokładne sprawdzenie niepodobnym się staje, weszły nieomal w powszechne użycie.

Nie dziw, że przy podobnym stanie handlu i przemysłu, kupcy i fabrykanci zaczęli ciekawie zapatrywać się na giełdę i na to, co się tam działo. Przy długim dosyć powodzeniu spekulacyi, nawykli do mówienia sobie: co ja w swym procederze w tydzień ciężko pracując, zarobię, to zyszczę na giełdzie w dniu jednym bez pracy: lepij próbować szczęścia.

Obok tego, a raczj po nad tēm, stała szlachta. Starsi i młodszy reprezentanci historycznych lub niehistorycznych rodów, po nie-szczęśliwych wojnach 1859 i 1866 r., przestali marzyć o bohaterstwie i sławie wojennej. Nowego nie wiele się nauczyli, praca wytwórcza nie w wielkim poszanowaniu zwykle u szlachty bywa, a że krew młoda i szlachetna potrzebuje emocyi i exaltacyi, więc co im sił i pieniędzy pozostawało od hippiki, to znosili na zielone stoliki dzokj-klubu. Ze zdumieniem przypatrywali się oni, jak tuż koło nich i do równego prawie im stanowiska zaczęli się podnosić ludzie zupełnie nowi, należący po większej części do plemienia, którym pogardzać i pomiatać uczyła ich tysiącoletnia rodowa tradycya. Robota tych ludzi zdawała się im być dość przystępną i o wiele więcej interesującą, aniżeli praca produkcyjna; chodziło tu tylko o wy-próżnianie kieszeni bliźnich. Byleby znaleźć na to sposób przy-zwoity, byleby to mogło dziać się po rycersku, nie mieliby nic przeciw temu, rzecz sama przez się nie była nieprzyzwoitą. A skoro im powiedziano, że spekulacya, to rozwój bogactwa narodu całego, że to najpotężniejsza ze sprzęzyn, wprowadzających w ruch

cały przyrząd gospodarstwa narodowego, uwierzyli z dobrą wolą i ponieśli całe swoje mienie, jako stawkę na tę, nowego rodzaju, roletę.

Osoby, reprezentujące dzisiaj w Wiedniu *la haute finance*, same lub ich ojcowie w znacznej części rozpoczynały karierę od pożyczek lichwiarskich na zastaw, od skupowania po wsiach zboża na pniu, od zawierania korzystnych kontraktów z bogatą a lekko-myślną młodzieżą. Stosując mądrze prawidła swjej sztuki do warunków nowożytnego obrotu, wyrosli oni na reprezentantów w Austrii tej potęgi, która dzisiaj wzdłuż i wpoprzek całej Europy dostarcza środków do budowania kolei żelaznych, zakładania banków, odlewania armat, uzbrajania setek tysięcy ludzi i do zaspokojenia innych tym podobnych potrzeb nowoczesnej cywilizacji. Umieją oni doskonale pojmować sytuacje, wyżsi od innych w bystrém i prędkiem rzeczy zrozumieniu, śmiało się do nich biorą, wyzyskują bezwzględnie, co się wyzyskać daje; gładko, elegancko nawet umieją pomijać przesądne i zbyt drobiazgowo rozróżnianie mego i twego: łatwi w pożyciu nie brzydzą się podłością. Z dawniejszych swych praktyk, przenieśli z sobą do swych złoconych pałaców ową mądrą maksymę: „kto smaruje, ten jedzie” i ta im dotąd doskonale służy. Ekonomicznych wiadomości w swoim rodzaju posiadają oni nie mało, szczególnie dokładnie znają sposoby wyłudzenia z kieszeni ludzkich pieniędzy zaoszczędzonych.

Z pomiędzy ludzi tego samego gatunku, mniej utalentowani młodzi, lub ci, których kramarska przebiegłość nawpół tylko umiała zrozumieć położenie rzeczy, małpują we wszystkim matadorów, albo się żywią okruchami z ich stołów. Dużo bo téż te czasy dawały i brudnej roboty do robienia, dobrze można było na niej zarabiać; ludzi na podstawę nazwisk, na któreby można wszystko zwałać, ciągle było potrzeba, bo wielcy ludzie sami musieli przecież mieć oko niezapruszone, zawsze dumnie czoło nieść w górę i torować sobie drogę do baronii, do komandorskiego krzyża, albo do izby panów.

Daliej szedł ludek giełdowy niższego polotu, tak zwana kulisa. Mocno głodni i zuchwale odważni na wszystkie karkołomne skoki i kroki, zbiegli się ci awanturnicy ze wszystkich zakątków monarchii na giełdę wiedeńską. Kramarze w rachubach zawiedzeni lub na prowincyi pobankrutowani, wypędzeni z handlu młodzi i starsi uczniowie komisanci, marnotrawni synowie porządnych rodzin; wszystko to, po dłuższém lub krótszém błędzeniu po świecie, zawiązało do portu giełdowego, gdzie niepospolicie długo utrzymująca się hossa dawała im łatwe zyski. Jakoż dobrze im się działo tymczasem: jak pączki w maśle pływali w pieniądzach. Talenta ich nie wychodziły z granic zwyczajnych, faktorskich zdolności; pilnie baczyć, zkąd wiatr wieje, iść razem z trzodą, a przy robieniu interesu swój jedynie zachwalać, a wszystkie inne potępiać i wyśmiewać,

oto szczyt ich mądrości. O ekonomiczném wykształceniu, o umiejętności ocenić doniosłość lub korzyści jakiego przedsięwzięcia, mowy tu być nie mogło. Sprytniejsi pomiędzy nimi bardzo szybko dorabiali się znacznej fortuny, a nie przecież stracić nie mogli; jeżeli się im noga podwinęła, znowu na czas jakiś schodzili w pokątne zaułki, potem układali się, poprawiali i nanowo żyć i spekulować mogli. Obfity chleb, jakim tak długo siebie i swoje rodziny żywić mogli, dowodzi tylko, że potrafili z bardzo szerokiego koła publiczności ściągać pieniądze. Prawda, że gdy przyszła chwila przesilenia, oni pierwsi padli jej ofiarą i w tej strasznej godzinie miód, który nagromadzili, musieli oddawać swym mistrzom i panom.

Publiczność cała wiedeńska, złożona z ludzi służących rządowi lub prywatnym osobom, wojskowi i cywilni urzędnicy, ofycjaliści, emeryci, żyjący na wysłużonym chlebie lub z procentu od małych kapitalików; wszyscy oni muszą żyć ze szczupłych środków i do nich stosować swoje potrzeby, bo w razie strat nieprzewidzianych, zupełnie nie mieli możności powetowania ich jakimkolwiek bądź zarobkiem. Nie są oni bynajmniej pozabawieni wykształcenia, większa część z pomiędzy nich, są to ludzie porządni; dbają o przyzwoitość, a nawet o dystynkcyą i elegancyą; są to głębocy znawcy regulaminów służbowych i administracyjnych, biegli w heraldyce i dyplomacyi nawet; lecz pojęcia ekonomiczne zupełnie są im obce. Przez całe swoje życie przywykli z pewnym rodzajem pogardy patrzeć na wszystko, co ma styczność z interesem: praca produkcyjna wydaje się im być czémś nieczystém; oczyszcza się dopiero i nabiera towarzyskiego znaczenia, wiążąc się ze służbą państwa lub panom. Szczęściu i fortunie zostawiali oni zawsze furtkę otwartą, trzymając cząstki losów na loteryę; lecz nie dowierzali jej, a nawet ciężkie robili zarzuty, dlaczego te ich losy nigdy nie wygrywały. Zdaje się, sam instynkt powinien był bronić tych ludzi i powstrzymać ich od puszczania się na niewiadome morze giełdowych spekulacyj, powściągnąć od chwytania się rzeczy zupełnie im nieznanój, ostrzedz o tém, że aby coś robić trzeba to umieć; że wszelkie powołanie od stajennego parobka do dyrektora kolei żelaznej wymaga znajomości odpowiednich warunków. Lecz na niestety, pomimo wielu poważnych przymiotów, ludzie ci bieglejsi byli w polityce, aniżeli w logice i arytmetyce, i onito stali się ofiarami kantorów giełdowych i wexlarskich, pokątnych faktorów i aferzystów. Ostatni wprawdzie wstąpili w to zaczarowane koło; już inni pierwój się wzbogacili; tylu już ludzi wygrywało i zyskiwało, że i oni dali się uwieść nadziei.

Dalój już szedł lud prosty, od którego wykształcenia i pojęcia o prawach ekonomicznych nigdzie wymagać nie można, i który wszędzie łatwo daje się oszukiwać: mali rzemieślnicy i robotnicy, służba domowa i uliczna, ludność miast prowincjonalnych i w części nawet lud wiejski, bo wszędy nurtowała spekulacya, zewsząd ściąga-

gać umiała pieniądze do tych szalonych zapasów, coraz szerzej rozta-  
czało się koło jej agentów, i coraz głębiej sięgała epidemiczna za-  
raza.

## II.

Ale jakże cała ta ludność wielkiego miasta i kraju, nieznająca wcale praw i warunków produkcji wartości gospodarskich; jakże się ona dała wciągnąć w ten wir spekulacji, w którym najbieglejszym oryentować się zbyt trudno? Jaki tragiczny fatalizm tu ciążył, żeby właśnie nieświadomi i nieumiejętni brali się do rzeczy tak bardzo trudnych? Fatalizm ten, to chciwość ludzka, to żądza złota, która tak łatwo daje się rozbudzić i roznamiętnić w człowieku; a tém łatwiej rozrasta się do olbrzymich rozmiarów, im mniej oświecony rozum umie odróżnić drogi, po których można dojść do bogactwa. Kiedy rozbudził się już duch finansowego przedsiębiorstwa, stało się to oczywistym interesem wielkich kapitalistów, działać na opinią całą cokolwiek bądź posiadającej publiczności i wskazywać jej sposoby korzystnego używania funduszy, rozbudzać i jątrzyć chciwość wszystkich i każdego. Do takiego działania na opinią nie trudno było znaleźć środki i sposoby.

Prasa wiedeńska wyemancypowała się dopiero w latach siedemdziesiątych, dzięki kilku utalentowanym przywódzcom, którzy od razu podjęli się jej kierownictwa oraz wielkiej ilości pomocniczych talencików naleciałych z całych Niemiec, a dzięki nadewszystko okolicznościom, które po 1866 r. dały przewagę bronionemu przez prasę niezależną stronnictwu wierno konstytucyjnemu, w bardzo krótkim czasie nabrała ona ogromnego znaczenia i wpływu. Wpływ ten tém łatwiej osiągnąć się dawał i tem stawał się tutaj przeważniejszym, że jakeśmy to wyżej opowiedzieli, wszystkie klasy ludności, albo niedokształcone albo zupełnie niewykształcone, z łatwością mu się poddawały, że było to dla nich nowością bardzo pożądaną, a krótkość czasu stała na zawadzie, aby rozpoznać możliwe błędy, omyłki albo i nadużycia koryfeuszów prasy. Doszło do tego że jedni, i takich było najwięcej, czytali dziennik cały od tytułu do podpisu redaktora i do ostatniego anonsu, z tą samą pełną uszanowania uwagą, z jaką dawniej słuchali kazania w kościele; w tém przeświadczeniu że reprezentant opinii publicznej tylko czystą prawdę może mieć na celu, a nie może uwodzić się interesem. Inni znowu, którzy mieli własne opinie polityczne, jako ludzie stronnictwa, wierzyli w konieczność karności w partyi i wyrazy swego dziennika przyjmowali bezwarunkowo za prawdę, jako wyraz własnego przekonania; część finansowa szła w dodatku do politycznej, także jako prawda czystej wody. Inni ze zwyczaju codziennego czytania, wierzyli święcie że to dobre, co ich dziennik chwali, to złe, co on gani. Ci nakoniec, którzy mogli, a nawet chcieli niezupętnie ufać, nie mieli środków do sprawdzenia

faktów lub sądów przez gazetę podawanych, i w tej niepewności woleli wierzyć, że im prawdę mówią. A jak zawsze u ludzi, którzy czytać i pisać się nauczyli, ale myśleć sami jeszcze nie umieją, stara pogadanka *prawda bo wydrukowano* coraz więcej nabierała powagi. Wszakże w zebraniach publicznych ludzie najoświecieńsi, w kółkach towarzyskich najwykwintniejszych, po salonach i kawiarniach, w domu i na ulicy, same wyrazy: *représentanci opinii publicznój*, wszyscy wymawiali z taką czcią i namaszczeniem, z jakim pobożny katolik odzywa się o świętych Pańskich, albo dworak wytrawny o najjaśniejszych osobach.

Powiadają jednak, i sami redaktorowie gazet chętnie to głoszą, że wydawnictwo wielkiego nawet dziennika w Wiedniu, nie jest korzystnym interesem. Prenumerata zaledwo wystarcza na koszt papierni, druku i stempla; opłata redakcyi, współpracowników i administracyi pokrywa się dochodem z ogłoszeń i inseratów; że przy najlepszym zarządzie, dziennik zaledwo zwyczajny mieszczański dochód wydawcy dać może. Słaba ta finansowa pozycya, obok tak ogromnej potęgi moralnej, była nielada niebezpieczeństwem dla dziennikarstwa, na straszne pokusy narażała honor i sumienie tych nowożytnych augurów. Nadeszły chwile próby, fortuna w osobie gründerów zaczęła się umizgać do nich, i uległy miękkie serca; arcykapłani prawdy, już tylko maską przyzwoitości przykrywając się, sami chcieli zaczęli podsycać chciwość publiczności, a zarazem wskazywać drogi najkorzystniejszego użycia pieniędzy, uczyć rozróżniać przedsiębiorstwa pełne przyszłości, od tych, które mały po sobie dają nadziei, a wszystko to pod dyktandą giełdowych koryfeuszów gründerstwa.

Tam gdzie chodziło o setki milionów, jakże łatwo mogły setki tysięcy iść na torowanie dróg spekulacyi w opinii publicznej. Uzyskanie poparcia prassy, jak się wtedy wyrażano, wchodziło w obliczenie kosztów założycielstwa, na równi z uzyskaniem koncessyi i opłaceniem od niej stempla. Cena ta zależała od rozmiarów przedsięwzięcia z jednej, od stopnia poparcia z drugiej strony. Czasem szło nawet tylko o przemilczenie i to się opłacało, jeżeli godność dziennika nie pozwalała mu darmo przemilczeć o jakim nadużyciu lub oszustwie. Jeżeli nieogłędny gründer zapominał złożyć ofiary w świątyni, napomknienie o kilku wątpliwościach, łatwo mu to przypominało.

Daléj szło nieraz o walkę przeważnych interesów materyalnych przed sądem opinii publicznej, a towarzystwo, korporacya lub osobistość, reprezentująca takie walczące interesa, musiały sobie jednać adwokatów w dziennikach, których publiczność za sędziów bezstronnych uważała. Zgromadzenia ogólne bywały téż nie małym źródłem dochodów. Już same ogłoszenia o tych zgromadzeniach, bez żadnej potrzeby, sążnistemi literami na całych stronicach dzienników drukowane, a zatém bardzo kosztowne, przypominają francuzkie przysłowie: *les petits cadeaux entretiennent l'amitié*; cóż dopiero kiedy

chodziło o poparcie opinii rady nadzorczej, o skierowanie w tę lub ową stronę opinii akcyonaryuszów, przedstawienie publiczności sprawozdań w najświetniejszych kolorach, lub też osłabienie robionych im zarzutów. Małe te korygowania prawdy musiały tém drożej kosztować, im więcej było pieniędzy w kieszeniach zarządów, im więcej farb do obrazu użyć trzeba było.

Wszystko to nie przeszkadzało bynajmniej w długich wstępnych artykułach narzekać na zepsute czasy, na zgubną namiętność gry, na bezowocną a szaloną spekulacją, na oszustwo szerzące się i zarażające wszystkie klasy towarzystwa. Deklamacye te, z wymownych ogólników się składające, dawały dziennikowi cechę bezinteresowności, i tém więcej znaczenia przywiązywać można było do części finansowej, gdzie dopiero każdy chciwie szukał objaśnień, na jakich to papierach zyskać można najwięcej i najprędzej. Aleć gorzej jeszcze się działo: widziano samychże dziennikarzy zajmujących się gründerstwem, tych sędziów bezstronnych zstępujących z swych krzesel i otwierających sklepiki na rynku giełdowym. Znaczenie, władza i idące za tém pochlebstwo i adoracya, zawróciły głowę gazetiarzom; nieogłędnie nadużywali swego stanowiska, a krach nieszczęsny silnie téż zachwiał ich pozycyą. Jakkolwiek zaraz zaczęli wołać: myśmy mówili zawsze, myśmy ostrzegali, że taki koniec być musi; niemniej jednak ten, co na wiarę słów dziennika kupował akcye, lub składał pieniądze do pewnego kantoru, nie mógł sobie przypomnieć, kiedyby to dziennik ostrzegał go, że te akcye i ten kantor są niepewne i powoli przestawał już wierzyć bezwzględnie.

### III.

Pierwsze początki spekulacyi w Wiedniu sięgają roku 1856, kiedy za inicjatywą ministra finansów Brucka założono tam *Creditanstalt* na wzór *Crédit Mobilier* paryzkiego. Wtedy już zyski na różnicy kursów akcji wzbogaciły wielu giełdowych spekulantów; jednakże wtedy rzeczy nie poszły zbyt daleko, bo jeszcze sytuacya polityczna całą swą wagą ciążyła nietylko na fantazyach ale i na prawdziwych gospodarskich potrzebach kraju.

W roku 1867 nastąpiła ugoda z Węgrami, która, ustalając pokój wewnętrzny, dodawała nowój siły politycznemu organizmowi państwa; a zarazem porządek konstytucyjny utrwalić miała w obu połowach monarchii Austro-Węgierskiej. Przytem obfity urodzaj we wszystkich prowincjach, obok gorszych urodzajów w reszcie całej Europy, pozwalał spodziewać się znacznych zysków ze sprzedaży zboża.

Rok 1868 korzystał z rezultatów politycznych i ekonomicznych roku 1867. Powołane do rządu ministryum zwane mieszczańskiem, zgodnie z Reichsratem, rozpoczynało swą czynność od przedstawienia budżetu, który po raz pierwszy od niewiedzieli wielu lat nie miał

pociągając za sobą pożyczki na pokrycie deficytu; a więc kilkadziesiąt milionów mogło zwrócić się do robienia interesów. Obfity urodzaj, pokój wewnątrz i zewnątrz, wszystko to dodawało otuchy. Jakoż rok ten rozpoczął się pod najpomyślniejszymi wróżbami, wszystkie papiery przemysłowe poszły w górę, znalazł się bardzo słuszny pociąg do tworzenia nowych przedsiębiorstw. Na nieszczęście ruch ten, opierający się początkowo na podstawach zupełnie racjonalnych, prędko przeszedł w ekscyessę; rozwinął się jakiś fanatyzm gründer-ski, przekraczający wszystkie granice zdrowego rozsądku i depcący wszelkie prawa gospodarstwa narodowego.

A najprzód Węgrzy, naród nie bogaty i nie bardzo przemysłny, przez plemię niemieckie dotychczas traktowany z góry i uważany za półbarbarzyński, stawali się odtąd czynnikiem niemal ważniejszym od Niemców w politycznej równowadze państwa. Niedziw, że zapragnęli stać się również ważnymi w społecznym znaczeniu. Rozwój gospodarczy zdawał się do tego niezbędnym warunkiem; a w kraju wyniszczonym rewolucją i wojną, których wynagrodzić nie mogło siedmnaście lat nieporozumień z rządem, obok wewnętrznych sporów i ciągle praktykowanych experimentów polityczno-administracyjnych, wiele i bardzo wiele było do zrobienia. Kapitał w kraju egzystujący zapewne nie mógł wystarczyć na to wszystko, pochlebiano sobie, że zwabione wielkim zyskiem kapitały zagraniczne pośpieszą z pomocą. Chodziło więc o wykazanie możebności tych zysków, i tutaj najpierw wystąpili do dzieła uczniowie i naśladowcy Langrandów, Percirów i Mirésów, rozpoczęli nieskończony szereg przedsiębiorstw, czyli raczej emisji papierów na konto przyszłych prac i robót.

Wiedeń kilka miesięcy patrzył na to spokojnie, ale i on się rozruszał nakoniec, a wtedy ruch ten już granic nie znał. Tu i tam jak tylko się zesłała para spekulantów założycieli, wpadali zaraz na myśl szczęśliwą: *tworzyli idee*, wymyślali dla niej firmę i wyrabiali koncessyę; ogłaszali, że akcye już są kupione, chociaż one nie egzystowały; nazajutrz na giełdzie, gdzie tych akcyj jeszcze nie było, napędzali na nie azio i forsowali je z dnia na dzień; potem realizowali t. j. sprzedawali akcye z tém azio, za pośrednictwem tak zwanego syndykatu, t. j. kilku osób które podjęły się téj roboty; potem rozwiązywali syndykat, i na zakończenie dzielili pomiędzy siebie wzięte azio, zapewniwszy sobie przedtem miejsce w radzie nadzorczój z pewnemi taniemami, żeby interesu z rąk nie wypuszczać póki jeszcze mogli dać cokolwiek.

Ruch ten coraz śpieszniejszym postępuje taktem i w roku 1869 przybiera już rozmiary zatrważające. Kiedy w ciągu roku poprzedniego dokonano 25 emisji i wplacono na nie 150 mil. fl., w pierwszej połowie 1869 r. powstaje 25 nowych banków i 30 przedsiębiorstw przemysłowych, na które wplacono 270 mil. fl. Koleje żelazne zamała już są zyskowne; szukają innych więcój elastycznych przedsiębiorstw; sztuczne podnoszenie kursu akcyi staje się zwyczajem

jem ogólnym. Lud giełdowy, który sam ani środków, ani dowcipu dostatecznego nie ma, aby nowe zakładać instytutu, a chciwy udziału w zyskach, stara się zaraz w pierwszej chwili wychwytywać akcyje z rąk syndykatów, żeby jeszcze wyżej ich cenę popędzić i na tém zarabiać. Jakoż wszystkie papiery i akcyje idą w górę, już nie naturalnym pędem, i trwa to do końca sierpnia. Wtedy brak pieniędzy i brak nabywców sprowadza przesilenie, które w pierwszych dniach września wywołuje wiele bankructw, a znaczna część publiczności ponosi ogromne straty. Kurs akcyj i papierów w tym czasie równał się, a nawet w niektórych wypadkach przewyższał kursa wiosenne 1873 r.; lecz klęska nie była tak ogromną, bo sama ilość papierów na giełdzie była znacznie mniejsza: gründerowie nie byli jeszcze doszli do późniejszej ich doskonałości i wyrafinowania w wyszukiwaniu sztucznych środków podbudzających, i publiczność o wiele mniejszy brała udział w téj grze roznamiętnionéj. Wprawdzie i teraz wszystkie stany były w styczności z giełdą, lecz w znacznie mniejszej liczbie. W początku lat sześćdziesiątych rzemieślnik lub kupiec wiedeński uważał jeszcze sobie za hańbę grać na giełdzie; w latach 69 i 70 grało już wielu, lecz jeszcze sekret z tego robili, lękano się aby to nie narażało kredytu uczciwą pracą zyskanego; w 71 i 72 grał każdy jawnie i otwarcie, szcząc się z zysków w ten sposób gromadzonych i w nich już szukając dalszych podstaw swego kredytu.

Przesilenie to trwało parę miesięcy, w ciągu których kursa spadały coraz niżej; w skutek tego wiele papierów znikło z giełdy, plac się oczyścił i w połowie listopada dało się czuć polepszenie: kursa od tego czasu zaczynają iść w górę. Spekulacya chce nowo skrzydła podnosić, a gründerstwo znowu sił próbuje.

Jednakże rok 1870 przechodzi dosyć spokojnie; zbliżająca się wojna niemiecko-francuzka zaczynała już rzucać przed sobą czarne cienie; w połowie roku wojna wybuchła, a ciągłe obawy, ażeby Austria nie była w nią wplątana, powstrzymywały spekulacyą od silniejszego rozwoju.

Z początkiem r. 1872, wojna się skończyła, ale z jednej strony niepewność, jakie skutki finansowe sprowadzić może wypłata ogromnéj, pięciomiliardowéj kontrybucyi, a z drugiej wewnętrzny niepokój, spowodowany powołaniem na naczelnika rządu hr. Hohenwarta, o którym było wiadomo, że będzie próbował ugodą z Czechami i innemi Słowianami zmienić wewnętrzną politykę, kazały wszystkim wyczekiwać pogodniejszej chwili. W drugiej połowie roku, Francya już się zabierała do wypłaty kontrybucyi, wędrówka miliardów do Niemiec zaczęła budzić nadzieje ogromnego przyływu kapitałów; polityczne plany hr. Hohenwarta, okazały się nateraz niepraktycznemi i w listopadzie on sam usunął się od rządów, ustępując miejsca wiernokonstytucyjnemu ministerstwu księcia Auersperga, które stanęło u steru z programatem przeprowadzenia wyborów bezpośrednich, a zatém wzmocnienia siły monarchii i za-



pewnienia na długo przewagi elementowi niemieckiemu. Oba te wypadki, wskazując spekulantom spokojną przyszłość i miłą perspektywę pomocy w obrocie kapitałów zagranicznych, nietylko nanowu pobudziły ich odwagę, ale rozogniły ją nawet. Pod koniec roku 1871 zaczyna się nowa epoka spekulacji, sama giełda coraz więcej uwodzi się najpiękniejszymi nadziejami i z zapamiętałością puszcza się szalonym pędem naprzód, corazto szersze koła publiczności wciąga w ten ruch za sobą, jakby magnetyczną siłą przyciągania wydobywa i wyciąga pieniądze ze wszystkich kątów i kryjówek, gdzie tylko one były. Przez cały rok 1872 i pierwszy kwartał 1873, pomimo kilku peryodów przytłuczonych, w których brak pieniędzy krótkotrwałą zniżkę sprowadzał, pędzą się coraz wyżej wszystkie wartości i tworzą się corazto nowe, które nietylko przyczyny bytu nie mają, ale nawet wykazują się być poronionymi płodami rozszalałej wyobraźni. Zdaje się tutaj najwięcej iść o wyszukanie nowych nazwisk na firmy towarzystw akcyjnych, żeby dostarczyć do tej gry zapamiętałej corazto nowych materyałów. A jak szuler przy stole faraona co chwila zmienia talie kart, w coraz to nowych szukając uśmiechu fortuny: tak i spekulantom potrzebne coraz to nowe akcje i papiery, bo starych nie można było tak szybko, tak bez końca pędzić do góry, a na każdej nowej emisyi, coraz to nowe grupy ludzi, mogły mieć zyski ogromne.

Kursceteł giełdy wiedeńskiej w ciągu tych lat z małej ćwiartki wyrosł na ogromne in folio i zaabsorbował sobą całą uwagę stolicy i kraju, usuwając na plan dalszy wszelkie kwestye polityczne, społeczne i ekonomiczne; ten kursceteł wskazuje, w jakim kierunku ów ruch się odbywał: widzimy w nim mniej nowopowstających poważnych przedsięwzięć, a coraz więcej banków i towarzystw niby przemysłowych, obiecujących fantastyczne korzyści.

Oto liczba efektów oficjalnie notowanych na giełdzie wiedeńskiej i wzrastanie jej od roku 1866.

	Koniec		9 Maja					
	1866	1867	1868	1869	1870	1871	1872	1873.
Dług państ.	8	9	7	2	2	2	2	2
Akc. kol. żel.	16	20	25	28	34	38	44	44
Oblig. pierwszeństwa.	15	20	21	24	27	43	50	50
Listy zastaw.	7	8	10	14	16	20	26	26
Akcyje przem. przedsięwzięć.	4	6	14	44	55	70	135	201
Akcyje banków	8	10	17	42	45	54	98	124
Razem	58	73	94	154	179	227	355	447

Oprócz tych oficjalnie notowanych, była liczba nie mała przedsięwzięć, z ogromnym ažio na giełdzie sprzedawanych, które nie miały prawa figurować w kursceteł. Oto druga tablica wykazująca

w okrągłych cyfrach ilość potrzebowanych na przedsiębiorstwa kapitałów w ostatnich latach.

Emissye, zakładane instytuta kredytowe i inne w Austro-Węgierskiej monarchii w latach od 1870 do 1873 (I-sze półr):

	1870		1871		1872		I-sze półrocze 1873		Razem	
	liczb. w mil. flor.	kapitał	licz.	kapit. m. fl.	licz.	kapit. m. fl.	licz.	kapit. m. fl.	licz.	kapit. m. fl.
Pożyczki pań i inne pub . . . . .	3	57,3	7	47	8	54,8	3	16,1	21	175,2
Banki. . . . .	5	11,1	30	115,2	87	421	44	153	166	700,3
Przemysłowe										
Towarzyst. . . . .	6	5,1	36	77,9	131	381,1	82	269	255	733,1
Koleje żelaz. . . . .	11	76,6	34	305,2	35	251,1	6	28	86	661,9
Razem	25	150,1	107	545,4	261	1108	135	467,8	528	2271,5

A więc w ciągu trzech i pół lat, rynek kapitałów miał przyjąć nowych wartości na nominalną sumę  $2\frac{1}{4}$  milionów florenów. A kto-by chciał tutaj zarzucić, że wszystkie te emissye, wpłacone były w znacznie mniejszej części; temu przypomnieć należy, że pomimo wpłat które rzadko 40% przewyższały, wszystkie te papiery negocjowały się i kursowały na giełdzie z ogromnym ažio, które nieraz do 200 i 250% od rzeczywiście wpłaconej kwoty wynosiło; że zatem śmiało przypuścić można, iż cała summa tego ažio, kompensowała w zupełności różnicę, pomiędzy nadpłaconym a nominalnym kapitałem. „Tylko głupcy—powiada p. Neuwirth—mogli wierzyć, że siła, tworząca kapitał w kraju, może odpowiadać podobnym przypuszczeniom, że może dotrzymać kroku tak waryackim wymaganiom; tylko ciemnota i nie wykształcenie ekonomiczne, tylko brak zupełny rozsądku i uczciwości mógł wprowadzić w błąd podobny, że obszar gospodarczy austro-węgierski, tak dotychczasowo zacołany i nieczynny, w którym ruch niejaki i postęp naprzód zjawił się dopiero od pół dziesiątka lat, mógł być tyle wyrobić i zaoszczędzić, ażeby być w stanie tak niezmierny kapitał zawiązać w trwałe przedsiębiorstwa.”

Cóż się tymczasem dzięki z tym przemysłem, w imię którego to wszystko się robiło; jakie na tém polu wydał owoce „ten potężny i dotąd nie widziany rozwój gospodarczy” jak całą tę grę nazywały dzienniki wiedeńskie a za nimi zagraniczne? Boć formować towarzystwa akcyjne dla przedsiębiorstw przemysłowych, to mało: trzeba żeby te towarzystwa rzeczywiście zakładały fabryki i na tych fabrykach robiły coś, coby miało wartość prawdziwą, inaczej nie będzie rozwoju gospodarczego; boć zakładać banki, to jeszcze nie znaczy wylewać na kraj dobrodziejstwa kredytu: trzeba żeby ten kredyt rzeczywiście dochodził do tych, którzy go potrzebują, bo inaczej nie będzie on dopomagał rozwojowi gospodarczemu. Banki zaś te i towarzystwa przemysłowe zajmowały się jedynie zakładaniem nowych banków i nowych tow. przemysłowych. Założyciele t. j. budowniczy tój pi-

ramidy z papierów, zbierali tysiące i miliony za ažio, sami żyli w największym zbytku, i zbytek wszędzie się szerzył, bo łatwe i nagłe zyski bardzo go podsycali.

Ale statystyka handlowa obok tego nie bardzo pocieszający przedstawia obraz. Oto tabela przywozu i wywozu towarów z Austro-Węgierskiej monarchii w ciągu ostatnich lat dziesięciu.

Wartość w milionach florenów.

Rok	przywóz	wywóz	więcej przyw.	więcej wyw.
1862	232,96	292,58	„	59,62
1865	248,09	344,01	„	95,92
1866	211,92	329,07	„	117,15
1867	284,31	407,36	„	123,05
1868	375,38	425,94	„	50,56
1869	405,94	432,11	„	26,17
1870	419,26	394,41	24,85	„
1871	529,41	466,58	62,83	„
1872	592,42	382,27	210,15	„

A więc w ciągu lat dziesięciu wywóz towarów zwiększa się tylko o 30%, a przywóz wzrasta o 240%. Wobec tych liczb śmiało twierdzić można, że siła wytwórcza słabła coraz bardziej, a spożywcza owszem się wzmagała, i że zjawisko to szło jednocześnie i równomiernie ze wzmaganiem się rozpędu spekulacyjnego i gry giełdowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY

od 1 kwietnia 1874, do 1 marca 1875 roku.

Kilka słów w ogóle o utworze dramatycznym. — Repertuar. — Reżyserya. — *Dramata oryginalne*: „Na ulicy“ Wacława Szymanowskiego w 1 akcie. — *Tłumaczone*: „Kaprys Maryany“ A. de Musset w 2 aktach. — „Sfinks“ O. Feuilleta w 4 aktach. — „Nieobecny“ Manuela w 1 akcie. — *Komedye oryginalne*: „Pozytywni“ J. Narzymskiego w 4 aktach. — „Stary mąż“ J. Korzeniowskiego w 4 aktach. — „Ojczulek“ J. Bliźńskiego w 1 akcie. — „Mile złego początki“ Wł. hr. Koziembrodzkiego w 1 akcie. — „Z postępem“ K. Zaleskiego w 5 aktach. — „Zyzio“ Z. Mellerowej w 3 aktach. — „Nietoperza“ E. Lubowskiego w 4 aktach. — „Koneserzy“ Jordana w 1 akcie. — *Tłumaczone*: „Tricocche i Caolet“ V. Sardou w 5 aktach. — „On nie zazdrośny“ z niemieckiego w 1 ak. — „Homar“ Gondineta w 1 ak. — „On będzie moim“ kom. przerobiona przez K. Kaszewskiego w 1 akcie. — „Świętoszek“ Moliera w 5 aktach.

Mamy więc znowu za sobą rok cały, z którego, trzymając się porządku przyjętego w Bibliotece Warszawskiej, zdać mamy sprawę

w dziedzinie teatralnej. Od lat ośmiu prowadząc ten dział, staraliśmy się badać skrzętnie ruch sceny naszej i jej możliwy postęp, a jakkolwiek surowo sądziliśmy chwilowy zastój, to jednak zawsze najmniejszy ślad poprawy, istotnego rozwoju cieszył nas, służąc nam zarazem za pomyślną wróżbę co do przyszłości.

Tę poprawę oczywistą, ten postęp widoczny w wyborze repertuaru określimy bliżej: poprzedzimy go tylko krótkim przebiegiem historyi dramatu w ogóle, czego ze względu na porównanie i konkluzję, czytelnik nie zechce nam wziąć za wywód zbytyczny.

Wiadomy jest początek wytworzenia się nowożytnego dramatu. Powstał on we wszystkich krajach z misterjów kościelnych, z obchodu świąt uroczystych, czyli właściwie mówiąc, ze wspaniałej tragedji życia i śmierci Chrystusa. Przez kilka wieków, teatr we Włoszech, Francji, Hiszpanii i Anglii, na tych się obracał podstawach. Pierwsze Włoszy, pięknociągą formy starożytnej ustroiły przedmioty ludowe chrześcijańskie, a wkrótce rodzaj ten porzuciły zupełnie, zatrzymując tylko tak zwaną *Comedia dell'arte* (burlesque a później opera) która znowu potem przemieniła się w *Comedia erudita*. W Niemczech nie wyrobił się jeszcze ani język ani smak do tego stopnia, iżby się wnieść zdołano do wyższych zadań sztuki. Wojny religijne wreszcie i reforma, wstrzymały rozwój zdolności plemiennych tego ludu, rozproszonego po szerokiej przestrzeni; gdy przeciwnie lud angielski ściśle skupiony w granicach oznaczonych, mimo przeobrażeń i niepokoїв wewnętrznych, wnet założył podwaliny przyszłego swego teatru. W Hiszpanii, i to począwszy od czasów po epopei o Cydzie, rozliczne rodzaje dramatu następowały regularnie po sobie aż do chwili, w której dramat wybuchnął z całą świetnością czarów Wschodu. Zwycięstwo nad Maurami uwieńczył dramat chrześcijański i ultra-katolicki. Pomimo to przedstawia się w charakterze dwojakim, stosownie do tego czy zapożycza przedmioty z biblii i legend (autos, vidas de santos), czy z życia (comedia humana) lubo i tu rycerskość i idealizm cechują go niezwykle. Wśród tych znowu, wyszczególnia się tak zwana komedia intryg i awantur zawikłanych (comedia di capa y espada), w której pełno antytez i subtelności, ale zgoła nie charakterów. Z upływem czasu i pod naciskiem ogólnego gustu, poeci hiszpańscy połączyli z sobą oba żywioły: tragiczny z komicznym, wprowadzając w walkę miłość z honorem, ale wiarę ponad wszystko. Ta wiara i ufność w lepsze życie przyszłe, stanowi tło i dlatego sztuka taka „Życie snem“ Calderona, mogła się zrodzić tylko na gruncie hiszpańskim. *Schauspiel* niemiecki, podobien do sztuk tych w tym względzie, że sceny straszne kończą się ostatecznie uspokojeniem i załagodzeniem. Tragedja grecka wręcz przeciwną miała historję, bo zaczynając się od orgij bachicznych, szła stopniowo aż do owych dzieł wspaniałych, w których Eumenidy zginają do ziemi wolę człowieka a nawet wolę bogów.

Francya zawikłana w wojnę stuletnią z Anglią, zajęta swą uni-fikacyą, milczała długo, zaczawszy wreszcie od studyowania wzorów klasycznych Włoch i Hiszpanii, a raczjć od naśladowania, w czćm doszła aż do skarbów starożytnych Rzymu i Aten. Przygotowują nową erę równemi drogami: Ronsard, Malherbe, Boileau (krytyką), La Fontaine: i oto wyrósł dramat łączący w sobie pierwiastek dramatyczny i komiczny. Dopiero Corneille dokonał wielkiej rewolucyi klasycznej, rozdzielając ściśle zakres tragedji od zakresu komedyj. *Cyd* jego stanowi epokę tak co do podniosłości uczuć, poglądów wzniosłych jak i co do formy i metody. A za nim idą: Horacyusz, Cynna i Polyuctes.

Corneille przedstawiał kolizyą wielkich obowiązków, starcie się ze sobą namiętności gorących a szlachetnych. Rasyń przedstawia już zupełną harmonią, maluje uczucia czułe a rycerskie, odznacza się w rysowaniu charakterów kobiecych. Nazwano go Sofoklesem Parnasu francuzkiego. Naturalność wszakże zastępuje często deklamacyą, a zwroty miłosne galanteryą czczą i przestarzałą, luki zaś w dramacie zapełnia powiernikami męzkimi i żeńskimi, jak gdyby naśladowując chór grecki. Lecz już pod temi przybranemi maskami greckimi i rzymskimi, malował on obyczaj swego wieku, charaktery magnatów i pań dworu Ludwika XIV.

Moliera nazwać można uosobieniem satyry rassy francuzkiej, bo nikt lepiej odeń nie zdołał pochwycić na gorącym uczynku, śmieśzności pod wszelką postacią. We wszystkich rodzajach komedyj próbował się zwycięzko, a charaktery jakie stworzył, pozostaną wiecznie prawdziwemi.

Zwolna jednak sprzykrzyła się już cokolwiek piękność klasyczna, zanadto abstrakcyjna i zanadto idealna, i forma zażbyt sztywna i etykietalna, i wreszcie działacze jćj, sami bohaterowie i wielcy ludzie, którzy zaledwo za powierników lub lokaj, brali zwyczajnych śmiertelników. Gniewano się nawet na Moliera, że zbyt ośmieszył stan mieszczański w obec szlachty. Poeci społeczeńsi zaczęli się zwolna stosować do tych wymagań.

W Anglii, z utworzeniem się języka angielskiego, poeci, począwszy od Chaucera, przedstawiają już rozmaite charaktery, rozmaite osoby i stany, czyli krótko mówiąc, odtwarzają ten świat rzeczywisty, który taką cechę szczególną stanowi w poezyi angielskiej. Teatr hiszpański zapłodniwszy ducha poetów angielskich, nie przyniósł go: i oto wśród Greenów, Peclów, Marlowe'ów, wyrasta ponad wszystkich: Wiliam Szekspir. Muza jego jest najzupełniej realistyczną i najczyścić ludzką, bo przedstawia nam wierne zwierciadło natury. Zatem w Szekspirze a potem w Szyllerze, nie przeważa jak w greckiej tragedji: przeznaczenie, ani jak w hiszpańskiej: zasada chrystyanizmu; ale wola człowieka, czyli element subiektywny, który sam jedynie przygotowuje i sprowadza katastrofę. Szekspir pierwszy nauczył, że człowiek sam w sobie nosi przeznaczenie, bo

wydarzenia w jego dramatach, rodzą się ze starć charakterów. Jego też geniusz wykazał ową pracę tajemniczą, odbywającą się w sercu i duszy ludzkiej.

Poeci niemieccy, wyszedłszy z barbarzyństwa średnich wieków, i odrzuciwszy naśladownictwo obcych, przygotowali odrodzenie swęj literatury próbami w liryce i epepei. Lessing stworzył dzieła udane w Emili Galotti, Maryi Sampson i Minnie Barnhelm, a zarazem skreślone już w duchu swego narodu, choć nie mogły to być jeszcze wzory. Dla realizmu wszakże zanadto tu poświęcono formę poetyczną; tak np. „Nathan mądry” lubo napisany wierszem, jest jednak tylko zszywanką dyalogów filozoficznych, powiązanych słabą nitką akcji. Zarzut zbytniego realizmu lubo daleko mniejszy, możnaby uczynić Goethemu za Egmonta, a zwłaszcza za Clavigo i Stellę. Dopiero gdy Goethe powrócił z Włoch owiany klassycyzmem, stworzył Ifigenią i Tassa, które jednak lubo są przepysznyemi poematami dramatycznymi, nie są jednak dramatami.

Na szczycie tragedyi niemieckiej stanął Szyller. W nim odnajdujemy akcją, logikę charakterów, harmonią i majestatyczność dykcyi, grzeszy tylko nienaturalnością, bo zanadto idealizuje, każąc niektórym charakterom swych dramatów, widocznie w zastępstwie chóru greckiego, wypowiadać myśli własne. A często też w chęci wypowiedzenia prawd humanitarnych, wychodzi z granic sztuki, i przestaje być spokojnie, obiektywnie—tworzącym artystą.

Od tego czasu, zaczyna się epoka sztuki dramatycznej najnowsza. Francya przeszedłszy przez gwałtowny chrzest ultra-romantyzmu, przerzuciła się nagle w ostatnich latach (epoka drugiego cesarstwa) w ultra-realizm, dochodzący do drobiazgowej fotografii. Niemcy po swych koryfuszach, mieli jeszcze piękny zastęp znakomitych poetów (Grillparcera, Halma), aż też dziś czyli w obecnej dobie, stanęli na jałowym gruncie, przezuwając dzieła dawniejszych poetów, bo na spóczesne odrodzenie zdobyć się niemogą. Kilka talentów wybitniejszych jak: Freitag, Gutzkow, Willbrand, nie nadało żadnego kierunku wybitnego dramatycznej literaturze niemieckiej, nawet tego, jakiego zdaje się domagać bezilluzyjny prąd czasu.

We Francyi, najnowsza szkoła, której faktycznym naczelnikiem jest Dumas syn, wypiastrowała teorię dziwną, fałszywą, tworząc świat charakterów nie ogólnej prawdy, nie podniosłej wartości moralnej, nie artystycznego, nigdy nie dającego się zatrzeć piękna; a wszystko to w imię tego do nagości posuniętego realizmu, o którym zwolennik wreszcie realizmu Sainte-Beuve, takie powiedział słowa:

„Rzeczywistości, ty jesteś głębią życia i jako taka, nawet w twoich szorstkościach, nęcisz umysły poważne!... Atoli w czasie dalszym i sama jedna, skończysz na tém, że odepchniesz i przesylicz, bo jesteś za często płaska, pospolita i nużąca. Dostyc już gdy się ciebie spotyka na każdym kroku w życiu; chciałoby się przynajmniej w sztu-

ce, a w blizkim twojém sąsiedztwie, mieć do czynienia z czém innym nie z tobą... Potrzeba ci uczucia, promienia sympaty, promienia moralnego któryby cię przenikał i oświecał, choćby tylko przez szczelinę... Potrzeba ci—i w tém największy twój tryumf, czegoś, co by cię dopełniało, co by cię prostowało i podnosiło bez wyrzeczenia się ziemi... co by cię uczyniło bardziej świetlaną aniżeli w codzienném życiu, potrzeba ci tego, co się zwie: ideałem.”

Nieinaczej; nagi realizm, bez promyczka ideału, bez osłody i pociechy dla wyschłej ciężką dolą duszy, bez ożywczej nadziei świata lepszego i przeznaczeń lepszych: oto ostatnie wrażenie dzisiejszej szkoły dramatycznej francuzkiej. Wykazaliśmy umyślnie w krótkim przebiegu historii sztuki dramatycznej, konieczność przyczyn, rzecby można organiczną i naturalną, takiego a takiego rozwoju i przeobrażenia, dla przeciwstawienia braku téj konieczności, w wytworzeniu się szkoły obecnej francuzkiej. Istotnie bowiem, wyrodziła się ona przypadkowo, a raczej wyrosła na niezdrowym gruncie chorego społeczeństwa, które ogarnięte szałem chwili, prądem reakcyjnym nowych napozór idei, zrzuca się dobrowolnie korzyści moralnych, płynących zawsze z uprawiania sztuki w szlachetnym jéj pojęciu.

Zboczenia jaskrawe i krzyczące społeczeństwa francuzkiego za drugiego cesarstwa, świat „ludzi nowych” wybujałych nagle na śmietnisku gwałtownych wstrząśnień, podobny do świata wyzwoleńców za czasów Cezarów rzymskich, popchnął Dumasa syna do szukania na téj drodze, nowych zasad sztuki dramatycznej. I odtąd za „Dama kameliową“ posypał się szereg podobnych utworów, których bohaterami półświatek. Sens moralny: wątpliwa rehabilitacja tego, co ze swéj natury rehabilitować się nie myśli; tendencya: pozorne ulepszenie prawodawstwa w stosunku do potrzeb społeczności. Żadnego wszakże z tych celów nie osiągnięto; przeciwnie, zepsuto tylko smak téj społeczności, i nauczono ją szukać w teatrze, nie szlachetnej rozrywki lub pośredniej reformy obyczajów, ale widoku obnażonych pospolitych namiętności, upstrzonych paradoksami, na których tylko, najelastyczniejsze sumienie oprzećby się zdołało.

Tę szkołę, bo za Dumasem poszedł szereg cały młodszych pisarzy przesadzających jeszcze jego tendencye, naśladowają dziś już niemcy; na naszych tylko pisarzy nie oddziałała na szczęście w sposób zgubny, choć starano się nieogłędnie oswoić naszą publiczność z socyalnemi Dumasa problematami.

Krytyka nasza powstawała zawsze energicznie przeciw téj lawinie wiarołomstw, krzywoprzysięstw i zrad małżeńskich, powtarzających się w odmiennéj tylko formie w każdej niemal ze sztuk francuzkich, i dzięki téj zabiegliwości, a wreszcie innym warunkom naszego społeczeństwa, utwory oryginalne traktujące wręcz inne przed-

mioty, mogły się przyjąć na naszej scenie, a nawet, jak w ostatnich czasach,—znacznie i pomyślnie rozwinąć.

W niniejszém też sprawozdaniu, stosunek sztuk oryginalnych wypada bezporównania korzystniej aniżeli w długim ciągu lat dawnych, aniżeli jeszcze w ostatnim ubiegłym roku. Kiedy bowiem roku zeszłego na 41 aktów tłumaczonych, wypadało zaledwie oryginalnych 13, w tym roku na 19 tłumaczonych, wypada 24 aktów oryginalnych, w ciągu jedenastu miesięcy. Postęp taki widoczny, przypisać jedynie trzeba ogólnemu domaganiu się utworów, opartych na przedmiotach najbliżej nas obchodzących; widzimy bowiem w praktyce, że publiczność sztukę udatną oryginalną, odwiedza tłumnie i bezprześcannie, kiedy o liche przeróbki czy przekłady obce, wcale się nie troszczy. Zwrot ten zastanawia tembardziej, że przed sześciu lub ośmiu jeszcze laty, zapowiedzenie sztuki oryginalnej na afiszu, oznaczało pustki w teatrze—dziś zaś pustki w teatrze, bywają tylko na sztukach tłumaczonych.

Chodziłoby nam jeszcze, właśnie z powodu przypomnienia rozwoju dramatu europejskiego w ogóle, o zastanowienie się co i o ile ze sztuk obcych, winno się przyswoić naszemu repertoarowi. Naturalnie, że mówiąc o sztukach obcych, mamy tylko na myśli sztuki zewszed miar jako dobre uznane, niekoniecznie stawiając za drogowskaz same „arcydzieła.“ Arcydziełem bowiem, może być ta lub owa sztuka pod względem psychologicznym, lub pod względem znakomitój formy, a przecież może niebyć sceniczną, albo, może dzisiaj, ze zmianą stosunków społecznych i w ogóle cywilizacyjnych, wydać się przestarzałą a przeto niezrozumiałą i niepodobać się wcale. Sztuka zaś mimo innych zalet, jeżeli się tylko podobać nie może, traci najnaturalniejszą rację bytu swego na deskach scenicznych, bo co się nie podoba, wpływu w żadnym kierunku wywierać nie zdolne.

Przeciwnie, sztuki nie nazwane „arcydziełami,“ ale mimo to posiadające rzeczywistą wartość, mogą mieć jeszcze ten niezmiernie ważny przymiot, że charakteryzują znakomicie tę lub ową epokę, że służąc za ilustracyą pewnego obrazu wieku, są jakby liniami wytycznemi dla bacznego umysłu, z których tenże odczytać z łatwością zdoła, organiczny związek dziejów sztuki dramatycznej.

Tylko bowiem repertuar w takim systemie ułożony, może rościć pretensyą do nazwy umiejętnego, istotnie zapoznającego ogół ze skarbami sztuki; tylko taki repertuar daje świadectwo niezaprzeczone, że teatr spełnia rozumnie i szlachetnie, prawdziwe swoje posłannictwo. System ten wykonywany wytrwale, prowadzony cierpliwie, wyrabia w publiczności w ciągu lat kilku, smak estetyczny i prawdziwe znawstwo, które potem nie da się już zdurzyć lada okrzykaną nowością, choćby opatentowaną najrozwężniejszém nazwiskiem.



Stawiając takie zadanie naszemu teatrowi, nie wymagamy niepodobnicstwa; widzimy bowiem z doświadczenia, że publiczność nasza przyjmowała z zapałem te sztuki, o których wyższej wartości przekonać się miała sposobność. I jakkolwiek Szekspir, rzecby można, zastał ją nagle nieprzygotowaną, to przecież nie odwróciła się od niego obojętnie.

Powiedzmy szczerze o co chodzi przy Szekspirze? oto żeby go zrozumiano; że zaś zrozumienie Szekspira należy do niezrównanych trudności, wiemy już z tego choćby, że nikt niemiał tylu co on komentatorów, różniących się tak niezmiernie ze sobą. Gdyby zrozumienie Szekspira nie miało być niczém inném, tylko, na sposób niemieckich estetyków, szukaniem najabstrakcyjniejszego pojęcia dla głównego tematu, i podobnie dowolném wyszukiwaniem głównej idei całości, to udałoby się to wcale łatwo; ale jeżeli chodzi o istotne zrozumienie poety, czyli o zbadanie pierwotnego wrażenia, jakie dzieło jego wywarło na massie słuchaczy; jeżeli chodzi o zrozumienie intencji i stanu duszy poety w chwili pisania: to wtedy każde mylne mniemanie co do zewnętrznych warunków jego poetycznej działalności, musi wprowadzić na bezdroża, tak jak dokładna wiadomość co do tych okoliczności, niemało zrozumienie wyświeca. Albowiem słusznie ktoś wyrzekł, że im indywidualniej i żywiej rysuje się przed nami postać poety, tém łatwiej ocenić stronę idealną i ogólno-ludzką utworów jego.

W tém właśnie błądzi massa komentatorów Szekspira, a zwłaszcza niemieckich, których téż jest najwięcej, a głównie dlatego, że niemając historycznej pewności co do jego działalności dramatycznej, puszcza wodze fantazyi i przemienia wszystko w bezgraniczną idealność i olbrzymieść. Nie zważając na naturalne granice zakreślone każdemu człowiekowi choćby najgenialniejszemu, wysunęli Szekspira naprzód jako ducha olbrzymiej potęgi, stojącego na progu średnich wieków i nowszych czasów, a raczej stojącego ponad przeszłemi i przyszłemi wiekami. I tylko wtedy, gdy znaleźli w dziełach jego coś rażącego smak dzisiejszy, składali to na pojęcia i obyczaje społecznego z nim wieku. Ztąd poszło, że wśród takich mglistych a niemających granic konturów, komentatorowie podsuwać mogli swobodnie własne i dowolne poglądy poecie, a więc każdy idealizował go po swojemu. I gdy dla jednego jest on klasykiem, dla drugiego znowu jest romantykiem; dla jednego jest poetą niezmiennego ducha świata, dla drugiego chrześcijańsko-protestanckim, dla trzeciego katolizującym, dla czwartego wreszcie bezwyznaniowym sceptykiem i *l'esprit fort*.

Teoremów artystycznych ztąd wynikłych, nie zliczyłby na palcach.

W téj mierze pobiłdzik i Gervinus, który podnosząc Szekspira pod niebiosa, więcej dba o treść aniżeli o skończoność formy, więcej o obyczajowo-polityczną tendencją, aniżeli o czystość i powab fan-

tazyi. Wszakżeż on posuwa się tak daleko, że go zwie obyczajowym przewodnikiem ludzkości w życiu i w świecie; przycém zapomina już choćby o tém, że od takiego przewodnika wymagamy przynajmniej dokładnej znajomości jego życia, gdy tymczasem tego nam właśnie brak dotkliwy.

Schodząc na pole praktyczne: do zastosowania dla naszej sceny Szekspira, chodziłoby nietylko o dobry przekład o który się obecnie postarała jak się zdaje, spółka księgarzy warszawskich, ale i o rozważenie dokładne, o ile poeta ten w dzisiejszych czasach u nas zwłaszcza, liczyć może na ustalenie się w repertoarze. Przedewszystkiém, wszystkie sztuki Szekspira z pierwszej epoki życia jego, odznaczające się przeładowaniem myśli i obrazów w niektórych ustępach, a zarazem wyszukaną dyalektyką, należałoby w przygotowaniu dla sceny, oczyścić; w przeciwnym razie, uczyni się przeto niezrozumiałą a przynajmniej mniej przystępną całość. Wtedy bowiem słuchacz w teatrze, nietylko nie obejmie głównej myśli, ale nawet dozna takiego wrażenia, jak gdyby mówiono na scenie, obcym zupełnie dlań językiem. Można by przytoczyć masę takich obrazów i wyrażeń, których ogół publiczności chodzący do teatru, wcale zrozumieć nie jest w stanie.

Zatém, sam dosłowny, wierny przekład dla sceny, w żaden sposób przydać się nie może, ale potrzeba przerobienia, a nawet często wprost naśladownictwa, choćby się wszyscy teoretycy oburzali na takie świętokradztwo.

Zauważyliśmy niedostateczne obrobienie tego rodzaju, w sztukach u nas przedstawionych, a mianowicie w „Kupcu weneckim“ i w „Romeo i Julii.“ Kiedy kult Szekspira, rozmaitych doznawał kolei w innych literaturach, zwłaszcza w niemieckiej, w polskiej odbiwszy się wyraźniej cokolwiek w dramatach Słowackiego, przeszedł bez wpływu na późniejszych i najnowszych naszych pisarzy dramatycznych.

Z tém wszystkiém jednak nietylko pisarze, ale i ogół publiczności, powinien widzieć i słyszeć utwory Szekspira w dostępnej szańce, bo tylko wtedy nabędzie skali porównania i rozszerzy swój widnokrąg estetyczny. A w téj pożytecznej sprawie, dopomódz może jedynie teatr, który w układzie repertoaru, takimi mniejwięcej, rzadzić się będzie wskazówkami.

O innych udziałach znakomitych jako: Goethego (Egmont, a nawet Clavigo) Kalderona, Tirso di Molina, Szyllera, którego w zeszłym roku poznaliśmy zaledwo z niedołęznego przekładu Don Carlosa, a więc niedostatecznie, i o kilku klasycznych tragediach francuzkich (Corneille, Rasin) Alfreda Musseta, a niemniej znakomitych i dziś jeszcze życiem i prawdą drgających komedjach Moliera, nie rozszerzamy się dziś szczegółowiej, ale rzeczą jest oczywistą, że powinny integralnie wchodzić w układ ogólnego repertoaru.

Z końcem roku 1874, pożegnał życie to pełne trudów i pracy ś. p. Jan Chęciński, komedyopisarz, artysta i dotychczasowy reżyser. Nie rozbierając na tém miejscu działalności jego pisarskiej i artystycznej, wspomnieć należy kilkoma słowami jako reżysera.

Kiedy obejmował ster kierownictwa, jeśli się nie mylimy w roku 1868, przystępował jakby do rzeczy całkiem jeszcze nową. Dotąd albowiem a od lat dziesiątka, wybór sztuk i ich przygotowanie, było poprostu rzeczą przypadku, kaprysu często lub samowoli osób ubocznych, a nie wypływem metody umiejętniej i rozumnego a samodzielnego naczelnego kierunku. Dopiero z objęciem prezydencji teatrów warszawskich przez pana Muchanowa i z zamianowaniem przez tegoż reżyserem ś. p. Chęcińskiego, ład pewien i rozumne przewodnictwo panować zaczęły.

Naturalnie, że przedewszystkiém należą się za to dzięki nowemu prezesowi. Zrazu szły sprawy oporem; rutynizm, uprzedzenia do innowacyj a zwłaszcza do sztuk oryginalnych i arcydzieł obcych, zanadto się zakorzeniły, iżby natychmiast na zupełnie inne dało się wstąpić tory. Ale wnet ujrzeliśmy Szekspira, a nie długo téż potem i sztuki oryginalne w większej obfitości, których téż stałe przeważnie odtąd powodzenie, zapewniały im prawo obywatelstwa. Ś. p. Chęciński mając rozwiązane ręce, wszystkie poważniejsze dzieła obce, wprowadził na scenę. Jeżeli zaś mówimy: wprowadził, to trzeba tu rozumieć także stronę techniczną, niezmiernie ważną, to jest „inscenowanie“ jakotéż informacye co do samej sztuki i co do wielu jej charakterystycznych szczegółów, i nareszcie informacye udzielane artystom.

Czynność ta, dla publiczności w chwili przedstawienia niedostrzeżona, zawiera jednak w sobie nieraz alfę i omegę powodzenia samej sztuki, i jest tak konieczną a ważną pracą, że bez niej, nigdyby sami artyści rady sobie nie dali.

Otóż w tym zakresie, ś. p. Chęciński był wielce pożytecznym, a wkrótce większego jeszcze nabrawszy doświadczenia z praktyki, słuszne nieraz zyskiwał pochwały za doskonałe przygotowanie sztuk tych zwłaszcza, które przedmiotem swoim, były nam całkiem obce. Obowiązek ten zajmował mu bardzo wiele czasu, tém też wytłumaczyć sobie można, że działalność jego pisarska nie mała na tém ucierpiała.

Po jego nagłej śmierci, która załem przejęła wszystkich, objął reżyseryę pan Rapański, sam ukazawszy twórczość swoją niedawno temu, na polu pisarskiém. O tyle o ile dziś już ocenić można, położył sobie za program: przedstawianie jak najwięcej sztuk oryginalnych, a jeżeli tylko, o czém wątpić nie trzeba, w tym programie wytrwa, może być pewien, że zasłuży sobie na uznanie ogólne.

Skład artystów powiększył się od roku przeszłego powrotem do teatru pani Rakiewiczowej, utalentowanej artystki. Mimo to, brak jeszcze dotkliwy czuć się daje artystki do ról charakterystycznych,

zwłaszcza po śmierci ś. p. Bakałowiczowej, której—obyśmy byli fałszywym prorokiem—nikt chyba w długich latach jeszcze nie zastąpi. Bakałowiczowa w ostatnich latach, ogarniała tak szeroki i rozmaity repertuar, a rolę każdą której się podjęła, uwieczniała tak wybitnie, że po jej śmierci która gromem uderzyła we wszystkich miłośników sceny, niewiedziano narazie co grać. Odważnej bowiem trzeba było artystki, ażeby po niej objęła rolę takiej np. panny Forbach w „Safandułach“ lub Pawłowej w „Kawalerze marcowym“ lub tyłu, tyłu innych. Że jednak scena z braku jednej choćby najbardziej utalentowanej artystki upaść nie powinna, postarano się o zastępstwo, ale—powiedzmy szczerze—z małym wyjątkiem, zastępstwo to nie zadowolniło nikogo, a wreszcie zabiera ono czas tym artystkom, które i tak dość miały do czynienia z własnymi rolami.

Potrzeba się koniecznie postarać o artystkę, wyłącznie obytą przynajmniej z rolami charakterystycznymi. Nie powiemy, iżbyśmy do ról męzkich, zwłaszcza mniejszych, ale niemniej często bardzo ważnych, mieli dostateczną liczbę artystów. Przeciwnie, każdy większy dramat lub tragedia, nie jest nigdy odegrany harmonijnie, dlatego, że gdy główne role spoczywają bezpiecznie na barkach pierwszorzędnych naszych artystów, drugie i trzecie, traktowane są po macoszemu. Przypomnijmy sobie jednak, że np. w Szekspirze nie ma tak małej rolki, któraby nie była w pewnej mierze skończoną i ważną, a wreszcie w żadnej sztuce, gdy wykonanie *w całości*, nie jest równie doskonałym, o powodzeniu sztuki mówić nie można.

Zwiększyć przeto potrzeba bezwarunkowo skład artystów, który mimo pozornie sutój liczby, nie jest jeszcze dostateczny, nie już do dublowania ról, ale poprostu do wyborowego oddania poważnych utworów w całości i szczegółach. Uwagi nasze kończymy nareszcie, powtórzeniem rok rocznym życzenia, iżby nad układem repertoaru czuwał bacznie stały komitet, złożony powiększej części z ludzi literacko a z teatrem bliżej zapoznanych, a poczęści z artystów, mogących zawsze, dobre dać zdanie w kwestyach czysto-scenicznych. Nie jest to żadna nowość, bo czuwał już nad doбором repertuaru, komitet pod prezydencją J. U. Niemcewicza, złożony z kilkunastu mężów nauki i doświadczenia.

Komitet taki, stanowiąc że się tak wyrazimy, radę przyboczną i poufną naczelnego zwierzchnictwa, bierze na siebie całą odpowiedzialność w obec krytyki i publiczności, a brać ją śmiało może, jeżeli tylko na wzór podobnych komitetów zagranicą, sumiennie obowiązki swoje spełniać zechce.

Czy jednak *desiderium* to, tym razem zamieni się w czyn, czy Dyrekcyja uwzględnić raczy głos prassy, niejednokrotnie i dość natarczywie odzywający się już w tej mierze; tego ani przesądzać ani przewidywać nie chcemy.

Zdaje nam się tylko, że Dyrekcyja ułatwiłaby przeto samęj sobie potężnie, dosyć trudne zadanie, niepotrzebując się bynajmniej zrękać słusznęj prerogatywy swego zwierzchnictwa.

Zacniemy od dramatu, a oddając każdemu co komu należy, od oryginalnego. Niestety! mamy tylko jeden i to do tego obrazek dramatyczny, arcyskromny pod względem objętości materyalnej i doniosłości artystycznej. Jest nim jednoaktowy obrazek p. W. Szymanowskiego p. t. „Na ulicy.“ Prawdę mówiąc, niewiele o nim da się powiedzieć, nie dlatego, iżby w nim nie było pewnych wskazówek dramatycznych, z których ktoby zechciał, rozwinięby zdołał szerszy dramat ludowy; ale właśnie dlatego, że autor widocznie niemając zrazu myśli przedstawiania tego obrazka na scenie, nie wyzyskał przedmiotu jak należy, ani nie wydobyl z niego efektów zdrowych a silnych. Został więc tylko przydłuższy monolog jakiegoś Pawła, niegdysz zamóżniejszego rzemieślnika, przerwany na chwilę rozmową z przechodzącym gałganiarzem. Treść dosyć zwykła. Paweł doprowadzony do ubóstwa przez nieszczęśliwe okoliczności a później przez pijaństwo, stoi na rozdrożu, i krok tylko jeszcze jeden a popełni zbrodnię. Ratuje go modlitwa. Zapewne, potężny to środek zbawczy, ale *przy pracy*. „Pracuj a Bóg ci dopomoże,“ lecz ten kto nie pracując czeka na zmiłowania Boskie, pragnie cudu, jest przeto zabobonnym ale nie religijnym. Dlatego i w tym obrazku głos dzwonka kościelnego wzywającego na modlitwę, lubo powstrzymał Pawła w chwilowym zamiarze zbrodni, nie powstrzyma go jednak później gdy nie przestawszy lamentować, nie weźmie się na ostre do roboty. Tęj zdrowej tendencyi nie rozwinął autor należycie, a szkoda, bo nikt ani talentu scenicznego ani talentu formy, p. Szymanowskiemu odmówić nie może. Jeżeli wszakże do szeregu tego rodzaju obrazków, wziął pochop z takichże wstawionych dziś we Francyi obrazków Manuela i Coppęgo, to powinien był skorzystawszy z dobrej myśli, rzecz przenieść na grunt czysto ludowy nasz i podsunąć nasze potrzeby i niedostatki, charakterystycznie miejscowe. Pijaństwo zaś czy choćby wędza, są to motywa zanadto zwykłe i ogólne, a nasz lud miejski za mało cechujące, ażeby czynić je przedmiotem utworu scenicznego *ad hoc*, czyli mającego na celu podać jakąkolwiek poprawę. Inne obrazki w podobnym rodzaju tegoż autora, lepiej odpowiadają dotkniętej przez nas myśli.

Dramacik ten jest więc jedynym w peryodzie roku całego, wskazanym przez nas, „Wita Stwosza“ bowiem, dramatu p. Rapackiego nie obejmujemy w niniejszem sprawozdaniu.

Jakoż z dramatami polskimi ciężko; słyszymy tylko o kilku granych na scenach: krakowskięj i lwowskięj, ale bez wielkiego powodzenia. „Cola Rienzi“ Asnyka, a szczególnięj „Żyd“ tegoż, nie mają racyi bytu.

Pomówmy więc tymczasem o tłumaczonych z obcego, a granych na naszej scenie w 11-to miesięcznym peryodzie.

Gdyby zakres tego sprawozdania pozwalał, warto byłoby zastanowić się obszerniej nad Alfredem de Musset, poetą francuzkim, epoki najświetniejszej nowoczesnej, który najwybitniej może ze wszystkich swoich współczesników, rysuje się w dziejach literatury francuzkiej i ogólnej. Bajronista mimowolny sceptycyzmem swoim głęboko-odczutym, dziecię wieku schorzałe, niemogące się pogodzić z nieubłaganą rzeczywistością, ma prawie ciągle przed oczyma duszy, ideał niedościgniony, który po krzyku rozpacz i zwątpienia, zdaje się go na chwilę dźwigać z upadku i krzepić nadzieją. Ta cecha właśnie szlachetna, odróżnia go stanowczo od wyższego nadeń talentem artystycznym Heinego, ale niższego niezawodnie dążeniem idealnym. Wszystko cokolwiek wyszło z pod pióra Musseta, poemata liryczne, powieść owa główna „Spowiedź dziecięcia wieku,” czy bujna równianka „Kaprysów dramatycznych“ owiane jest tēm technieniem bolejącego, ale wierzącego w świat zaziemski poety. Dlatego i najdziwniejsza fantazyja i najbardziej gorzki sarkazm, i najodrębniejsza jego filozofia, przynęcają czytelnika gwałtownie, a swoją drogą nie pozwalają mu wątpić, że ma do czynienia z zupełnie oryginalnie patrzącym na świat i oryginalniej jeszcze wyrażającym się pisarzem. Bo we wszystkich jego utworach, ułożonych nieraz najfantastyczniej, poznać można, że najrozmaitsze żywioły i melancholia, i uśmiech, wyobrażenia i humor, obserwacyja i szal, mieszają się razem, ale w artystycznej harmonii. Do takich tēz należy dramat dwuaktowy p. t.: „Kaprys Maryany.” Jakkolwiek proceder pisarski Musseta, jest całkiem odrębny i samodzielny, tak, że powikłanie i sens moralny wysnuwa się nie efektem grubym, do którego przywykła massa publiczności; przecież zawsze dostrzedz można głęboką, psychologiczną konsekwencyą i myśl ostateczną poety, która lubo czasem mrozi nas nieubłaganem swem szyderstwem, mieści jednak w sobie część prawdy życiowej, smutnej, fatalnej, ale bądź co bądź prawdy.

Rzeczy tēz można, że Musset jest fatalistą. Tak umie zręcznie powikłać sytuacyą, zetrzcć ze sobą kontrasta charakterów, że zdawałoby się jako już, już domyślamy się o co chodzi, a tymczasem rozwiązanie zawiódłszy nasze oczekiwanie i nasz sąd codzienny, okazuje się całkiem innym, bolesnym, lecz mimo to najzupełniej możebnym. Maryana kochana szalenie przez Oktawia, stanie się przyczyną jego śmierci, i nigdy go nie pokocha; ale pokocha tego namiętnie, który jęj wcale nie pragnie. Czy życie nie przedstawia tych samych przeciwieństw fatalnych? Jest to logika *sui generis* nie powszednia, nie ta, której się tłum gwałtem domaga w teatrze, potrzebujący widziéć „zbrodnię ukaraną i cnotę wynagrodzoną,” ale dla głębiej patrzących w życie, staje się niemniej prawdziwą, a w przeprowadzeniu swém, wysoko artystyczną.

Biorąc praktycznie, mimo piękności wyższych „Kaprysu Maryany:” utwór ten nie tyle się nadaje dla naszej publiczności, przywykłej do całkiem innych wymagań, aniżeli inne tegoż poety utwory dramatyczne, które, co prawda, wszystkie należałoby aranżować odpowiednio dla sceny; w każdym razie jednak, zapoznanie szersze z tym genialnym poetą ogółu, należy do owych zadań wyższego umiejętnego repertoaru, którego kierownictwo artystyczne pomijać nie powinno.

Jakim zaś sposobem wsunął się dramat Feuilleta p. t.: „Sfinks” na deski naszego teatru, wytłumaczyć nie umiemy, bo nie zasługuje na to niczem ani wartością literacką, ani obrobeniem kunsztowném scenicznym, ani, co najważniejsza, tematem swoim.

Jeden z krytyków francuzkich, pisząc o dzisiejszym stanie teatru francuzkiego, tak mniej więcej się wyraził: „Przypuściwszy, że społeczeństwo francuzkie zaginęłoby ze szczerem, skutkiem jakiegoś kataklizmu, i że chcąc odszukać jego śladów wzięłoby pod rozbiór sztuki teatralne, cóżby odnaleziono? Niezawodnie, że z Moliera uratowanoby cały świat markizów, mieszczan, szlachty, filozofów, kobiet pysznych, sawantek i innych, niemniej téż i z Regnarda i z Le Sage'a i z Beaumarchai'go; lecz co z dzisiejszój epoki? Gdzie komedia dzisiejsza, szuka swych typów? skoro świat arystokratyczny zamknął się sam w sobie, skoro wysokie duchowieństwo przestało wywierać wpływ na sprawy świata, a kobiety wyższego urodzenia i wychowania, rzekły się dobrowolnie swego wpływu?

Poza obrębem tylko tego świata, zamykającego się dobrowolnie, powstały idee nowe, żywoły różnorodne, skomplikowane, którym nierozważnie nadano cechy rzeczywistości. W téj odrębnój sferze, odrębnój obyczajami, zaczęto szukać wzorów. Świat kobiet, któreby chętnie, lecz nadaremnie pragnęły zostać Aspazyami, stał się modłą dla romanso i komedyopisarzy, a wkrótce téż wraz z nimi, wytworzyła się analogicznie podobna publiczność. Wybuchy namiętności rozpasanych, wrywających gwałtownie kobietę z téj społeczności, w której się urodziła, komentowane złośliwie i cynicznie, pogrzebały dobrą sławę „Kobiet świata,” postawiwszy na piedestale heterę. Powstałe nowe warstwy społeczne z kobiet tego rodzaju, z zabłąkanych kobiet wyjątkowych wyższego świata, z niepoznanych wielkich ludzi, z dyplomatów wątpliwego pochodzenia, z artystów niezrozumianych, bankierów podejrzanych, przewróciły cały porządek rzeczy. Dowcip, inteligencya, wyobraźnia, zastosowane zostały odpowiednio, a raczej przestoczyły się. I to właśnie jest karą tych literatów i tych społeczeństw, które nie zdołały uszanować samych siebie. Co ciekawsze, postacie kobiet i mężczyzn arystokratycznych, skrzywiono, przekręcono, przeinaczono ehydnie. Tych np. kobiet wielkiego świata, którychbyśmy szukali jako wzoru typów w komedjach najnowszych, szukaćby trzeba nadarmo, boć trudno brać wzory ze smutnych wyjątków. Lecz cóż ztąd za skutek? Uczciwi ludzie

prędzej później, odwróca się od téj literatury „brukowej“ i zmuszą swą obojętnością pisarzy, do zaczerpania w źródłach czystszych.”

Nie bez przyczyny przytoczyliśmy myśl obcego krytyka, posłuży ona poniekąd do wytłumaczenia, dlaczego Feuillet, piszący dotąd zupełnie w innym duchu, uległ nareszcie ogólnemu prądowi. Należy on bowiem do uczciwych pisarzy, którzy zwalczali namiętność w obec obowiązku, szął w obec uczuć szlachetnych, rozkosze domowego pożycia w obec uniesień miłostkowych, chociaż i tu zapytałby go można, dlaczego i *cnota* musi mieć swój romans? Czy przeto wyobrażnia tych i owych, nie zaczęnie patrzeć na swe obowiązki z punktu sentymentalnego i sztucznego, i czy przeto każda małżonka nie zapragnie upoetyzowania domowego swego ogniska? Nareszcie, ponieważ taka jest treść jednéj ze sztuk Feuilleta, co pocznie ta małżonka, która przed swym upadkiem, nie znajdzie w swym mężu, człowieka wyższego od kochanka? Czy wtedy będzie już usprawiedliwionym jęj upadek?

Oto do czego prowadzi moralność wygodna, salonowa, podawana w umyślnych dozach homeopatycznych, przez zacnego wreszcie pisarza!

Aż do „Sfinksa“ jednak, można się było pogodzić z tym autorem. Niestety, wawrzyny bohaterek wiarołomnych i z gruntu zepsutych, w utworach jego kolegów, spać mu nie dały i oto z romansu własnego „Julie de Trècocur“ przerabia na gwałt dramat kilkoaktowy.

Pomijając już różnicę romansu a komedyi, gdyż co w pierwszój da się usprawiedliwić szerokim opisem, w drugiej staje się niemożliwem, a więc pozbawia widzów usprawiedliwienia psychicznego,—sama już postać głównej bohaterki, stanowiącej zarazem główną treść dramatu, wydać się musi każdemu nienaturalną i wstrętną.

Hrabina de Chelles kobieta „wielkiego świata“ taka zapewne, o jakiej wspomnieliśmy wyżej, jest rzeczywiście dla widza „sfinksem“, choć nim miał być jęj pierścionek z trucizną, wyobrażony w formie sfinksa. Niepodobna nam specjalizować jęj charakteru; będzie dosyć, gdy powiemy, że nie wiemy, czy jest szatańsko-namiętną, czy tylko obdarzoną miłością własną, nakazującą jęj zdradzać najlepszą przyjaciółkę, czy nareszcie tak demonicznie zepsutą, że z życia, z ludzi i ze wszystkiego, czyni sobie ohydną igraszkę. Niepodobna nam wytłumaczyć dlatego, że tych sprzeczności co krok pełno w sztuce samej, ale bądź co bądź o tyle jawnie okazuje się każdemu, że jest ona wstrętną mimo dobrowolnej śmierci, jaką sobie zadaje trucizną, a która przecież litość wzbudzićby powinna.

Nie ma w niej prawdy, a jeżeli takie wyjątkowe przygody mogą należeć do prawdopodobieństw, to jeszcze niekoniecznie godne są przedstawienia na scenie, przynajmniej dla naszej publiczności, która napatrzywszy się już dosyć pokrewnym heroinom, dziś w żaden sposób znieść ich już więcej niezdolna.



Sztuki tej nie ocaliły przed niepowodzeniem zapewnioném i najchłodniejszą publiczności obojętnością, żadne inne zalety, bo ani kunsztowność sceniczna, którą się zwykle Feuillet odznacza, ani inne postacie, dosadniejszą charakterystyką. Nic jej nie ocaliło, skoro nasza artystka pogardziła i słusznie efektem paryzkiej panny Croisette, zwabiającej na „Sfinksa“ sceną patologiczno-szpitalną konania.

A więc „dlaczegoż nam ta krzywdą?“, dlaczego zużycie niepotrzebne czasu artystów i cierpliwości widzów? Oby ta zagadka była jedną z ostatnich.

Szczupły porachunek z dramatami, zakończymy kilkoma słowy, o obrazku dramatycznym Manuela p. t.: „Nieobecny.“ Jest to rzeczby można, *pendant* do „Robotników“ tegoż autora, z tą tylko różnicą, że gdy w „Robotnikach“ więcej było prawdy życiowej i psychologicznej, więcej wreszcie zdrowej, do tej klasy społeczeńskiej zastosowanego morału; w „Nieobecnym“ nienaturalność sytuacji, czułościowość i mizantropia, jedna i druga niestosowna do stanu osób, odgrywających w tej sztuce główne role, do najwyższego stopnia męczą i nudzą.

Nie podajemy treści, bo ją Bibl. Warsz. drukowała w jednej ze swych „Kronik zagranicznych“, której autorka, była zarazem tłumaczem tego obrazka. Ale co w czytaniu było wcale udatnem, to na scenie, czyli tam, gdzie trzeba żywej akcji i prawdopodobnych faktów, wydało się wprost przeciwnie. Znużyło publiczność i znużyło artystów, którzy niezrozumiałą dla siebie sytuacją nieszczerze tłumaczyli, dlatego też i sztuka, nie doznawszy powodzenia, wnet bez śladu zniknęła z repertoaru.

Mówiąc o komedii oryginalnej, zaczniemy od *Pozytywnych* ś. p. Narzyskiego, raz dlatego, że jest najlepszą ze wszystkich, przedstawionych w tym peryodzie, co nieznaczy, iżby nie była bezwzględnie dobrą, a potem dla ważności przedmiotu, który autor pragnął w niej rozwinąć.

Kogo autor miał na celu pod tym tytułem „Pozytywnych?“ Czy ludzi oddanych ślepo nowemu kierunkowi naukowemu i przyjmujących na siebie, dalsze z tegoż wynikające konsekwencye społeczne? czy też ludzi praktycznych, chłodnych, liczących się zawsze z chwilą, z przewagą tryumfujących okoliczności, a oznaczonych zwykle tą nazwą: „pozytywnych?“ Stanowczo orzec trzeba, że autor bez należytej może zgody ze sobą w tej mierze, potracał miejscami o samą kwestyą pozytywizmu jako sztandaru naukowego, a w następstwach swych jako godła moralnego, z czém połączył wybitną tendencyą materialistyczną.

Sam przeto utrudnił sobie zadanie, bo nie mogąc jasno wykazać kogo właściwie ma na celu, zsolidaryzował pozytywizm jako badanie naukowe, z materializmem i jego smutnemi zjawiskami w ży-

ciu społeczném. Wyrodziła się ztąd pewna jednostronność, która zaszkodziła samemu tematowi.

Wątpimy bowiem, czy chciał a raczej czy byłby w stanie, choćby już dla samych trudności technicznych, przeciąć spór pomiędzy dwoma obozami naukowo-społecznemi, których istnieniu dzisiaj zaprzeczyć trudno. A więc jakich „pozytywnych“ miał na myśli? Zda się nam, że owych ludzi praktycznych, posuwających się w ubóstwieniu zimnego wyrachowania, do brzydkich czynów w życiu, a do absurdum w teorii. Na karb tych to ludzi, zaliczył autor wiele grzechów i błędów najnowszych, powstałych z przełomów bolesnych politycznych i socyalnych, ich to uczynił tymi ultra-realistami, którzy nie chcąc rozumiéć uczuć żadnych, a w zetknięciu się z niemi u osób drugich, pomijają je brutalnie.

I kiedy ci brzydzą się poezją, marzeniem, wszelkiém uniesieniem niepociągającym za sobą realnej korzyści, stojący naprzeciw nich i ścierający się z nimi, znajdują się w drugiej ostateczności, bo pogardzając wszelkim roztropnym rachunkiem, gotowi w każdej chwili poświęcić życie i wszystko co mają najdroższego, dla ideału, dla mrzonki często, a odrzucając wszelką podstawę rzeczywistości, wszelką ugodę z przewidzeniem na przyszłość, z obliczeniem ostatecznych rezultatów. Tamci wychodzą zwycięzko z walki, bo szli po szachownicy życia wedle wszelkich reguł, ostrożnie i trzeźwo; ci zaś patrząc w niebo, potykają się na ziemi, padają zgębieni i pokaleczeni, ale obdarzeni jakąś niespożytą siłą ducha, nie znikają z pamięci ludzkiej na wieki, a co więcej, nie znikają bez szlachetnego oddziaływania na ducha pozostałych. Z jakich społeczeństwo nasze składać się powinno? Odpowiedź na to, zaprowadziłaby nas zadaleko, to wszakże pewna, że jedni i drudzy błędzą, przerzucając się w ostateczność.

Rozdział taki na dwa obozy, nie istniał u nas przed lat dziesiątkiem, a jeżeli dzisiaj wytworzył się nagle, to pod wpływem odmiennego wychowania, niezmiernie ciężkich okoliczności i niepowstrzymanej chęci, odrodzenia się skuteczniejszego społeczeńści. Ztąd powstało, że jedni zasmuceni błędami przeszłości, chcieli je zatrzeć gwałtownie, z powaleniem w gruzy dawnego gmachu wychowania i z zaszczepieniem na gruzach jego nowych idei, poczytanych zapewne w dobrej wierze za zbawienniejsze. Lecz w tym pochodzie do nowój drogi, stanąć musieli w antagonizmie faktycznym, z drogami obranemi przez innych, przez większość. Bo w téj większości są wprawdzie tacy, którzy umieją tylko biadać nad starganemi wspomnieniami nie mogąc się zdobyć na energją, przez moc żalu swego stawszysię konserwatystami, ale są i tacy—i tych liczba rośnie—którzy umieją nawiązać dobre minione z rozumniejszém a chłodniejszém przyszłém, tworzyć i budować na podstawie odziedziczonéj, ale w zakresie szlachetnego i pełnego miłości dla ogółu, postępu.

W wyobraźni autora niezawodnie myśl ta przeważała, jak o tém z kilku wyrazów, z kilku rysów tego lub owego charakteru, wnioskować można; skończył jednak w wykonaniu, na przedstawicielach wybitnych dwóch tylko charakterów: ludzi pozytywnych, czyli egoistów i wyrachowanych *per excellentiam* i marzycieli szlachetnych, którzy odcierpiawszy w przeszłości, gotowi są cierpieć i dalej, gdy godna tego okaże się potrzeba, ale mimo to o tyle jednostronnych, że cierpienia te nie nauczyły ich nieubłaganego doświadczenia, bez pomocy którego, kwestya po prostu bytu wszelakiego, jest zachwiana.

O takim reprezentancie trzeciego a najzdrowszego i dla nas najpożyteczniejszego kierunku, autor nie pomyślał, albowiem Dowgiełło, lubo ma pewne temu celowi odpowiednie cechy, przecież ostatecznie cechy te, w obięciu całego charakteru, znikają. Jest on typem szlachcica zacnego, znającego świat i ludzi, oceniającego instynktem dobroczynne skutki prawdziwego postępu, na który gotów przystać natychmiast osobistém poświęceniem; ponieważ jednak autor nie dał mu sposobności przyczynienia się czynnie do tego postępu, zatem nie zrobił go wyłącznym przedstawicielem tego trzeciego, pojednawczego kierunku. Lecz nadał mu tyle rysów sympatycznych, tyle szczerości i energii, tyle bystrego sądu naturalnego i tyle szlachetności, że ożywia on sztukę całą. I nadto w ogóle, cała komedya odznacza się ciepłem serdeczném, gorącą miłością dla rodzinnych stosunków i tém tchnieniem wyższego ducha, przez które autor patrząc na błędy swych rodaków oburza się czasem, ale gotów im przebaczyć za pierwszą oznaką poprawy, sercem miłością przepełnioném. Rozpatrzmy się przeto w charakterach głównych komedyi, bo z nich już poznamy najlepiej fabułę.

Owym „pozytywnym“ jest Alfred Choryński, a przeciwnym mu wręcz przeszłością i dążnościami, brat jego starszy Leon.

Ojciec obudwóch, fanatycznie rozmiłowny w archeologii, rozdzielił majątek swój za życia między, synów. Starszy gospodarował, żył, trochę i hulał, poświęcał się, gdy była potrzeba, *szalał* aż téż i stracił cały majątek. Młodszy o lat kilka Alfred,—różnica lat stanowi tu różnicę wychowania, odmiennych okoliczności i odmiennęj generacyi,—schedę swoją powiększał spekulacyami dość nawet brzydkimi, bo pożyczzał pieniędzy ojcu na pięć procent przez trzecią osobę, ni by z téj obawy, że skoro ojciec pieniądze na książki marnuje, niechże przynajmniej pieniądz ten zostaje „w rodzinie.“ Chce koniecznie bogato się ożenić dlatego, żeby dopiero potem *używać* w całym znaczeniu tego słowa. Co nie prowadzi do celu, nazywa częzą deklamacyą, co mu w drodze stanie, gotów usunąć bez skrupułu, bo nie ustąpi przed nicém, chyba przed „siłą“ większą od siły jego. Hanna córka Dowgiełły, ma być właśnie tém ogniwem łączącym go z przyszłą fortuną. Przewąchał sprawę Dowgiełło a trochę się i dowiedział ze zgubionego listu, udał przeto przed nim, że stracił grubo. Alfred przerażony, nie waha się ani chwili, cofa się i prowadzi in-

*teresa* przez swego adwokata z hrabiną Skalińską, o jej córkę Jadwigę. Interes przychodzi do skutku, Alfred zostaje mężem hrabianki podpisawszy intercyzę wspólności majątkowej. Na szczęście Hanna tak poświęcona, nie jego kocha, ale Leona. Alfred w chwili odejścia od ołtarza, dowiaduje się o podstępie hrabiny, mającej dożywocie na całym majątku córki, z czem się kryła aż do ślubu swego z Eugeniusem literatem; wtedy natura jego samolubna oburza się gwałtownie i z całym bezwstydem wybucha.

Autor arcypsychicznie uwydatnił ten moment i w ogóle cały charakter Alfreda. Człowiek do z kamienia, nic go nie obchodzą łzy ojca, gdy tegoż przychodzi tradować komornik, nic nie obchodzi pogarda żony. Nie okazuje nigdy wzruszenia, jest lodowatym i obojętnym, ale gdy plan ukartowany przez niego ma runąć, staje się nagle gwałtownym niezwykle, zapominając o najzwyczajniejszych formach światowych.

Leon przeciwnie, obdarzony wszystkimi przymiotami których tamtemu brakuje, ale mimo że jest przeważnie dodatnym, nigdy prawie nie okazując ludzkiej słabości, nie razi jednak nienaturalnością, nie wydaje się apoteozowanym. W tém też nie mały dowód talentu autora.

Oprócz trzech tych charakterów, wiele tu jeszcze znajdujemy figur doskonale i z werwą iście komiczną, nakreślonych. Do takich zaliczamy przedewszystkiém Gencia literata i hrabinę Skalińską. Gencio należy do liczby owych literatów, którzy ze swych zdolności, układają szczebel do zdobycia karyery jakimbyż sposobem. Więc gotowi są być w polityce reakcyonistami, Veuillotami, radykałami, lub ultra-konserwatystami, stosownie do tego co popłaca; a w życiu prywatném, gotowi udawać miłość wszelaką: romantyczno-dziką, idyllicznie-rzewną, spokojnie-głębką, stosownie do upodobania kobiety obdarzonej posagiem. O przekonaniach, godności, honorze, nigdy myśleć nie zwykli. Udaje więc tutaj szalenie-namiętną miłość do staréj a romantycznie-śmiesznej hrabiny, bo wie, że za to będzie miał po tém papu i różne drobne przyjemnostki. Hrabina znowu, pani wielkiego świata, przeżyła dużo, bardzo dużo, kochała się jeszcze więcej, dziś zostały jej tylko ślady wdzięków, pretensjonalność, pozowanie na szanowność i pobożność, i wielka chęć zaprzęgnięcia w jarzmo przystojnego Gencia, którego ma zamiar wytresować po ślubie.

Nie jestto postać nowa i nieznaną w naszej literaturze komedyjowej, ale autor umiał jej nadać większą oryginalność drobnemi a charakterystycznemi odcieniami, o czém najwymowniej świadczy, cała wyborna scena po powrocie od ślubu z kościoła z Genciem. Pieszczoty, mizdrzenia się, wybuchy zazdrości staréj téj zalotnicy, znamionują wielki dar komiczny, w zgasłym niestety zbyt wczesnie autorze.

Nie ma nic bez „ale“ więc i w tej komedii odgrzebaćby się dały pewne nielogiczności w charakterach; np. w hrabiance Jadwidze, nie dość zręczna sceniczność w akcie pierwszym, gdzie osoby wchodzą jedne po drugich i wychodzą bez należytego umotywowania, lub w ugrupowaniu niezawsze szczęśliwem lub wreszcie w akcie czwartym, który mógłby stanowić doskonałą kartkę w powieści, tu zaś jest tylko dodatkowo i nieorganicznie przyczepionym epilogiem,—ale wady te znikają wobec całości, dającą niezaprzeczone świadectwo wielkiego talentu, wobec pojedynczych charakterów doskonale pochwyconych z życia, a tchnieniem wyższego ducha owianych, i wobec tej serdecznej chęci poprawienia swych bliźnich, ukazania im zwierciadła, w którym dla własnego dobra, od stóp do głowy obejrzyćby się powinni. Wszystkie przeto warunki, dawały prawo ś. p. Narzymskiemu do stawiania najważniejszych kwestyi społecznych na scenie; kilka zaś jeszcze sztuk takich, a przyszłaby i owa techniczna praca, która złączona z innemi przymiotami twórczymi komedypisarza, stanowi jego doskonałość. Ś. p. Narzymski miał przedewszystkiem dziwną zdolność podnoszenia kwestyi będących na czasie i rozstrzygania ich drogą, dozwoloną pisarzowi dramatycznemu, na scenie. Dowiódł już tego chwalebnie w „Epidemii“ a choć w „Pozytywnych“ mniej dokazał niż zamierzył, przeprowadził jednak wyraźną granicę między samolubami, odgrywającymi dziś rzeczywiście rolę rozumnych i dzielnych, gdy w rzeczy samej są tylko zręcznymi, przebiegłymi i dobrze obeznanymi z paragrafami kodeksu karnego, a między szlachetnymi, mniej tylko szczęśliwymi i mniej dbającymi o ziemię, o której, koniec końców, zapominać nie powinni.

Jest w tém zasługa, bo obałamucany ogół, biorąc powodzenie materialne za dowód rozumu i dzielności, stacza się mimowiednie na tę pochyłość, na której wszystko odnaleźć można, prócz cnót najelementarniejszych, do których przedewszystkiem: miłość bliźniego należy.

Artyści nasi grali przewybornie „Pozytywnych“ a co więcej, grali z widocznem zamiłowaniem utworu oryginalnego. Któż jednak zastąpi nieodżałowaną ś. p. Bakałowiczową, która z nieporównanym talentem odtworzyła postać hrabiny Skalińki? Jak na dzisiaj, nie widzimy na warszawskiej scenie nikogo, godnego objąć po niej tę rolę.

Kiedy ś. p. Narzymski oparłszy się na nowym pierwiastku, zaznajomił nas z postaciami oryginalnemi na tle równie nowem, kiedy jednym słowem, wyzyskał umiejętnie kwestye bieżące, będące bardzo na czasie, tak w „Epidemii“ jak w „Pozytywnych“, młody autor p. K. Zalewski, stanął przed światem z komedją o bardzo pojętym tytule „Z postępem.“ Zaznaczyliśmy dopiero jak pojmujemy postęp w naszym społeczeństwie, jakimby on być powinien, ażeby skupił obok siebie wszystkie siły i dobrą wolę wszystkich. Sądzićby więc można było na razie, że o taki postęp chodziło p. Zalewskiemu. Tymczasem rzecz się ma całkiem inaczej! Tytuł ten ma ozna-

czać walkę dwóch żywiołów: arystokracji rodowej w osobie hrabiego Kobyłańskiego i demokracji postępowej, w osobie młodego inżyniera czy też górnika Krzyckiego.

Jakkolwiek i walka ta i godła, wcale nie są nowe, bo nie mówiąc już o komedyj francuzkiej (między innymi o „Zięciu pana Poirier“ Augiera i Sandeau), były one już niejednokrotnie w komedyi polskiej, jednak nie dowodzi to bynajmniej, iżby i teraz jeszcze, ze zmianą zwłaszcza oczywistą pojęć od lat kilkudziesięciu, nie dało się powiedzieć w tym przedmiocie czego nowego. Wszakże i pojęcia arystokratyczne i szlacheckie, z upływem czasu, z twardą dola uczącą konieczności pracy samodzielnej, uległy zmianie, i pojęcia demokratyczne złagodniały, oczyszczając się na rodzimym gruncie z obcych naleciałości.

Zatem dałby się tu podsunąć cały szereg nowych postaci, które wchodząc ze sobą w kolizyę, mogłyby sobie powiedzieć kilka prawd istotnych i rzeczywistych, dając nam zarazem obraz o tyle zajmujący, o ile dzieje przetwarzania się człowieka w danej chwili, zawsze każdego myślącego zajmować muszą.

Niestety! p. Zalewski w swęj komedyi pięcioaktowej wierszowanej, wyprowadził wprawdzie kilka osobistości, z tym zamiarem starcia się wzajemnego i dania zwycięstwa żywotniejszej idei, ale zabrał się do tego w sposób jednostronny i zużyty. Jednostronny dlatego, że człowiek postępowy jakim jest p. Krzycki, przedstawiony jest jako ideał wszelkich cnót, który wszędzie gdzie stąpi, zostawia za sobą woń świętości, który walczy bardzo mało a jeszcze i w tęg walce, przeszkody znikają przed nim czarodziejsko; obóz zaś arystokratyczny, reprezentowany niezbyt pokaźnie przez hrabiego Kobyłańskiego, ma w swogj obronie nader słabe argumenta, które mu z góry już, pewnym grozą upadkiem.

Hrabia nie chce dać córki Krzyckiemu, koledze swego syna—ultrademokraty, nie chce, bo jest hrabią i do tego bogatym; lecz gdy oplątany przez bankiera Sylbera traci najniedorzeczniej cały majątek, opierając się jakiś czas namowom syna, ulega nareszcie i oddaje córkę Krzyckiemu. Gdzie tu walka? i w czém postęp? Wszakże nie Krzycki zwyciężył, ale obawa niedostatku który hrabiego nieomylnie czeka, jeżeli nie posłucha planu syna, skombinowanego odpowiednio. Uległ pod naciskiem okoliczności, ale nie przed zwyciężką ideą zakochanego Krzyckiego. Nie ma przeto postępu w tęg skojarzeniu się małżeńskiem różnych stanów, a jeżeli istnieje w rzeczywistości w rzadkich wyjątkach, to jeszcze nie należy do tych znamion charakterystycznych, które „postępem” jakiegoś społeczeństwa, zwać przywykliśmy. Tytuł więc może nieorganicznie związany z samą treścią sztuki.

Co do pojedynczych charakterów, nie znajdujemy w nich dowodów bystrego daru spostrzegawczego; dwaj tylko, Lisiewicz podrzędny wekslarz i Przepiórkiewicz uczciwy dorobkowiec, pozwalają nam

są dzić, że panu Zalewskiemu nie brak zdolności, które czasem pomagają mu w wyborze tematu i w oryginalniejszym jego obrobie.

Wiersz gładki którym autor z łatwością włada i zrozumienie scenicznych warunków—przymiot wcale ważny—przyjdą mu w pomoc, skoro wystąpi z nowym nabytym już doświadczeniem, w drugiej komedyi. Kilka zaś momentów szczerze komicznych, ruch dosyć żywy i wielość figur lubo drugorzędnego znaczenia, podtrzymują zajęcie, nie płynące z ważności samego przedmiotu lub z niezwykłych przymiotów charakterystyki.

Nie wątpimy jednak, że przy szczerzej pracy, gruntowniejszych studyach, a mianowicie głębszym patrzeniu w przyczyny i skutki czynów społecznych, wyrobi się p. Zalewski na pożytecznego pisarza dla sceny, czego przy skąpom zastępie naszych pracowników, najserdeczniej życzyć się godzi.

„Staś na sukni zrobił plamę, płacze i przeprasza mamę;” napiszemy zamiast „mamę”—tatę i jakąś pannę Emilię, a będziemy mieli mniejwięcej temat komedyj podtytułowanej „Zyzio,” której autorką jest p. Zofia Mellerowa. Tyle tylko różnicy, że plama o którą się Zyzio postarał sam niewiedząc jak, cokolwiek większa niż Stasiowa. Zyzio, chłopiec jeszcze młody, wychowany przez najgłupszą (właściwie nijaką) mamę, przez najnudniejszego automata nazwanego ojcem, mając nadto przy sobie starego urwisa barona Szerszenia, kusiciela jakich pełno spotkać można w każdym zaułku wielkiego miasta, go-dzien jest przebaczenia, chociaż wątpimy czy *primo* pojedzie do kopalni jak obiecuje, *secundo* czy zechce pracować tam, jak prosty robotnik, *tertio*, czy mama i papa zbyt zbyt jak na wychowawców, zezwolą na to, *quarto* czy takiego papinkowatego pracownika jakim jest Zyzio, zechce przyjąć jakikolwiek Zarząd górniczy. Toż i tam z pewnością, jeść darmo chleba nie dadzą.

Śmiertelnym też grzechem Zyzia, jest niemożność zdecydowania się na cośkolwiek. Niby jest ladaco a gada pięknie i subtelnie, a nawet szlachetne ma zamiary względem współwychowanki panny Emilii (również szlachetnego Kopciuszka), niby jest birbantem a wzdycha do innego życia; niby jest człowiekiem honoru, a kradnie pieniądze swojej mamie. Niby tego żałuje a czelnie zapiera się winy przed panną Emilią, kobietą niby przez siebie kochaną, a która go znowu bada językiem zanadto śledczym, w ostatku zaś łaje poprostu nie jak młodzieńca „wykołysanego marzeniem,” ale jak niepoprawnego stugusa, napijającego się „w obowiązku” mimo czynionych przysięg i obietnic.

Z przykrością wyznać musimy, że względu na sztukę oryginalną i pewne zdolności pani Mellerowej, ujawnione w dawniejszych jej utworach, że osoby tej komedyi, dały sobie słowo być nieprawdziwymi i nienaturalnymi. Trudno np. dzisiaj o obywatela ziemskiego tak głupiego, któryby nigdy inaczej czyli zawsze i wszędzie, kiedykolwiek i jakkolwiek i z kimkolwiek, nie mówił o niczym innym, tylko o bu-

raku, odmieniając go na wszystkie przypadki. Czy można sobie wyobrazić obywatela zamożnego, używającego miru między sąsiadami, roztropnego niezawodnie a mimo to zanudzającego świat cały od rana do nocy, tym jednym wyrazem: burak? Smutny dowcip, jeżeli o dowcip chodziło. A ten pan Jerzy, który ciągle zaręcza że nie jest z Gostyńskiego, spadł z pewnością z księżycą; wydaje się bowiem wytworem znużonej imaginacji autorki. Wiadomo zaś, że nie trzeba postępować wbrew maksymie: *invita Minerva*.

Czego też chce ten pocziwy inżynier brat Emilii, Bronisław? Wpadł podczas pierwszego aktu na chwilę, przerywając właśnie sentymentalne wynurzenia swój siostrze, którą autorka wyposażyła posagiem, ale zato i obfitemi monologami zaczynającemi się od: „Czy on mnie kocha?” a kończącemi się na: „Nie, on mnie nie kocha!” Wpadłszy zaręczył że jest bardzo nieszczęśliwy, ale że ma już lepszą posadę, i stanął za drzwiami w brzydkim zamiarze podsłuchiwania swój pierwszej miłości, czyli panny Karoliny, siostry Zyzia. Dowiedział się nowin bardzo niefortunnych, bo panna Karolina zachwycona jest owym burakowym panem Jerzym. Żegna więc siostrę z rozpaczą i nie pokazuje się już wcale, aż w ostatniej scenie ostatniego aktu, czyli kiedy Karolina przypomniała sobie, że i on był jój pierwszą miłością.

Panna Karolina z początku zuchwale naiwna, niewinnie-okrutna, pogardliwie odzywająca się o Bronisławie, potem nagle odrazu, najczulsza, zakochana znowu w tymże panu Bronisławie, który nie chcąc się osobiście fatygować, pobudza ją do miłości samemi już listami, pisanemi do siostry. Z listów tych zakochała się, bo z nich się dowiedziała że Bronisław zacny, szlachetny i *poetyczny*.

Bajka téj komedyi dosyć krótka. Matka pięści swego synalaka, ojciec gniewa się ciągle, uprzedzony zbyt niesprawiedliwie; synalek zaś gra w mieście w karty, przegrywa 500 czy 1,000 rubli, które winien zapłacić pod „słowem honoru” hrabiemu Albinowi. Zkąd wziąć? Lichwiarz dać nie chce, na nieszczęście mama przychodzi go odwiedzić i zapomina u niego na stole portmonetki, w której znajduje się *akurat tysiąc rubli*. Zyzio bierze je bez namysłu, Emilia która na to nadeszła, karci go obelżywie, a gdy rzecz w ostatnim akcie się wydaje, Zyzio skruszony obiecuje poprawę.

Morałów pospolitych arcy-wiele, wymierzonych do rodziców źle wychowujących dzieci, i do dzieci, nie chcących się uczyć ani wychowywać. Sztuka wogóle tak słaba, tak pozbawiona wszelkiej wartości, żeśmy się dziwili jój wystawieniu na scenie, mimo zalecenia konkursowego danego téj sztuce, przez komisją konkursową krakowską.

Autorka, której zdolności nie chcemy odmawiać, wystąpiła w téj sztuce nie z owocem natchnienia, lub też refleksyi artystycznej, ale poprostu z robotą zlepioną mozolnie. Nic też dziwnego, że sztuka bezwarunkowo nie mogła mieć powodzenia, tém bardziej że dana tuż po „Pozytywnych,” stanowiła zbyt rażący odskok. Prawda że auto-



rowie oryginalni mają do walczenia z wszelakimi trudnościami w wyborze samego przedmiotu, bo nie wolno im być tak swobodnymi jak pisarzom francuzkim, dla których np. wiarołomstwo niewyczerpaną jest kopalnią inwencji, ale wszakże dosyć jeszcze istnieje spraw społecznych, wdzięcznie się podających za temat, jak tego dowiedli inni komedyopisarze.

luni też komedyopisarze, rzeczywiście uzdolnieni, nie pogardzają skromniejszymi co do treści i rozmiarów obrazkami, a przecież i temi zdobyli sobie zasłużone uznanie. Fredro syn, nie stworzywszy dotąd ani jednej komedyi wyższej, podobał się jednak swą „Posażną jedynaczką,” Bliziński również, nie wielkim obrazkiem p. t. „Kawaler marcowy” zwrócił na swoje niezaprzeczone zdolności, ogólną uwagę. Tenże autor odznacza się rzeczywistym humorem i doskonałą znajomością typów i obyczajów wiejskich. Umie też pojedyncze charaktery ożywić w sposób tak serdecznie-swojski, że gdy nawet ujemne strony ich charakteru kreśli, jeszcze uśmiech wywołać zdolny.

Komedia jego jednoaktowa p. t. „Ojculek,” nie powiemy, iżby była dowodem postępu w zawodzie jego dramatycznym, ale też pochodzi z teki dawniejszych utworów autora. A jakkolwiek ma wad kilka, jako to: rozwlekłość, powtarzanie jednego i tego samego tematu: wydania córki za mąż, jednak zawiera kilka scen najrzetelniej komicznych, wesołość szczerą i nienaciaganą, a mianowicie trafność charakterystyki. Wreszcie komedia ta napisana bez pretensyi, nazwaną być tylko może jednym z tych etapów w zawodzie pisarza, jakie każdy mniej więcej przechodzi.

W szeregu młodych komedyopisarzy, liczy się też i Władysław Koziębrodzki, który kilkoma dawniejszemi pracami, zasłużył sobie na pewne uznanie. Na warszawskiej scenie wybrano jedną z jego sztuk pomniejszych, do której zapewne sam autor niewiele przywiązywał znaczenia. Chcemy tu mówić o jego jednoaktówce „Miłe złego początki.” Jakkolwiek przedmiot zbliżony jest do treści „Akrobaty,” jednakże sztuka naszego pisarza napisaną była wcześniej, bo już przed dwoma laty, znajdowała się na konkursie krakowskim. Wreszcie kiedy w Akrobacie, żona za swój krok nierozważny z zakonchaniem w niej kuzynkiem, odcierpieć musi poważnie; w „Miłych złego początkach” autor rozwiązuje sztukę w sposób komiczny i swojski. Ciotka bowiem młodej żony chcąc kochanka otrzeźwić, pomaga mu niby w ucieczce, ale każe wraz żoną zabrać kilkoro małych dzieci, co naturalnie odstrasza natarczywego adonisa. Publiczności naszej zostającej wszakże pod świeżem wrażeniem „Akrobaty,” który obrobiony kunsztownie dość silne wywarł wrażenie, nie podobała się sztuka pana Koziębrodzkiego. Przyczyniła się też do niepowodzenia bardzo mierna gra artystów, z małym tylko wyjątkiem.

Fraszka sceniczna p. t. „Koneserzy“ Jordana, jest pierwszym tego autora występem na scenie, znanego z humorystycznych gawęd, które zyskały sobie zasłużone uznanie.

Spotykamy się tu z licznym zastępem figur szlacheckich i małomieszkańskich, odgrywających główne role na wszystkich jarmarkach. Wszystkie one wraz z podłożeniem ożywionego tła jarmarcznego, narysowane wcale wydatnie, z rozważą dostrzegawczą i z pewną siłą komiczną. Brak tylko całemu utworowi sceniczności, czyli owęj umiejętności technicznój, a dla każdego autora niezmiernie ważnej, bez której rzecz i najlepiej pomyślana, blado wydać się musi. Wada ta szczególnie uderza w utworze pana Jordana, a do niej dołącza się druga niemniej ważna, t. j. realizm tak jaskrawy, że się staje niemal prostą fotografią. Brak sceniczności nie pozwolił autorowi ustąpić wrażenia, ani też swobodnie poruszać się występującym na raz kilku postaciom; ów zaś ultra-realizm zaciemnił cokolwiek samą prawdę, która jak wiadomo, lepiej iżby nieraz pod piórem wydawała się tylko prawdopodobną. Myśl sama zdrowa i praktyczna, zohydzenie starego nałogu, okpiwania na koniach rodzonego choćby brata, i hulanki jarmarcznych, które też dziś rzeczywistości coraz więcej ustają. Skoro pan Jordan więcej umiarkuje jaskrawość rysunku, lepiej obezna się ze sceną, wtedy tuszyc można że przy wrodzonój i niezaprzeczonój do humorystyki zdolności, stworzy rzecz udatniejszą i trwalsze zapewniającą jej powodzenie.

Wspominaliśmy niejednokrotnie o potrzebie wznowienia komedyj i dramatów Korzeniowskiego i kilku sztuk Fredry ojca, jak; „Przyjaciele“, „Mąż i żona“ i. t. d.

Reżyserya wzięła się do tego, zaczynając od „Starego męża“ J. Korzeniowskiego.

Nie powiemy iżby uczyniła wybór najlepszy, bo w licznym zbiorze dzieł dramatycznych Korzeniowskiego, pomiędzy takimi, które długo jeszcze pamięć jego utrwałać będą, znajdują się i utwory słabsze. Jeżeli utwór nie ma formy artystycznój znakomitój, lub jeśli nie odznacza się treścią ogólnie psychologiczną, ale tylko chwilowy jakiś fakt obrał sobie za fabułę; w takim razie nic dziwnego, że się po latach kilkudziesięciu a nawet kilkunastu, wydać musi przestarzałym lub nawet często zgoła niezrozumiałym. Nowe pokolenie wyrosłe w nowych potrzebach społecznych, obojętnie patrzy na coś, co w danym razie mogło chwilowo zajmować współczesnych. Dodać też trzeba, że Korzeniowski w swych komedjach nie zawsze dbał o wykończenie, rzucając na papier szybko szkicowane zaledwo postacie, a wreszcie w swych poglądach moralnych i społecznych, rządził się eklektyzmem. Często zasadę jakąś moralną lub wychowawczą, motywował na swój sposób, nie troszcząc się zbytnio o to, czy była ona także zasadą ogólną. Tendencyjność tę dowolną, doprowadzał czasami autor po za granicę dozwoloną każdemu autorowi. Bo przyzna każdy, że wolno mieć własne przekonanie, ale jeżeli się z niego czy-

ni publiczne niejako wyznanie wiary, wówczas trzeba się dobrze obrachować z gruntem jaki się ma pod stopami, z otoczeniem i przyszłością. Mówiliśmy na inném miejscu o tém z powodu „Żydów“ Korzeniowskiego, w których autor przez usta komornika Staroświeckiego, wypowiada zdania wręcz przeciwne wszelkiej idei postępu, pojętego nawet jako teorya. Staroświecki bowiem powiada do księżniczki Zofii, broniąc jej miłości dla swego syna, szlacheckiego tylko pochodzenia: „...Jażbym pozwolił, aby moja krew zmieszała się z twoją? Aby moje nieznanie imię jak kir żalobny, pokrywało świetność twoją?“ Gdzież tu pole dla zasługi, talentu, które o własnych siłach dobijać się zwykły godziwie, pierwszych miejsc w społeczeństwie? Wszakże arystokracja angielska do dziś dnia stoi niewzruszona, a stoi tem właśnie że łączy się związkami krwi z parweniuszami, jeżeli tylko są nimi ludzie wielkich zasług, pracy i talentu; nie lęka się więc ona, iżby *homo novus* pokrył „kirem żaloby świetność jej nazwiska i rodu.“

Takich przykładów naliczylibyśmy w dziełach Korzeniowskiego nie mało, nie należą one jednak do zakresu naszego sprawozdania; dość powiedzieć, że medykamenta podawane przez tego pisarza, w wielu bardzo jego dziełach tak powieściowych jak dramatycznych, nie mają źródła głębszego, nie opierają się na idei bezstronnej i humanitarnej, ale na jakichś wyjątkowych, w chwilowej modzie będących usposobie niach. Jeżeli miały służyć jako załagodzenie wielu spraw społecz nych drażliwych, to nie osiągnęły celu, a wreszcie pisarz tak znako mity jak Korzeniowski, nie taką drogą iść był powinien.

Takiem też chwilowém usposobieniem autora, podyktowaną się zdaje treść „Starego męża“ lub co gorzej, fakt jakiś wyjątkowy, ane gdotyczny posłużył tu za temat. A jaki fakt, taki też i morał komedyi. Przyzna bowiem każdy, że trudno się zgodzić na zasadę jakiej się trzy ma p. Janikowski „stary mąż,“ który ożeniwszy się z córką swego przy jaciela, młodzieńką Zosią, niedosyć że jej daje byt doskonały, ale jesz cze wyszukuje jej młodego porucznika od ułanów, tegoż co on nazwis ka. Sprowadziwszy go zaś do swego domu, pozwala obojgu kochać się swobodnie i nareszcie przygotowuje się do połączenia ich ślubem. Je żeli tego rodzaju poświęcenie wydarzyć się mogło w rzeczywistości, jest ono rzadkiem, bo o zazdrości starych właśnie mężów, coś tam już arcyprawdziwego powiedział Molier; a jeśli i podobny fakt się zdarzył, to czyż godzi się zachwalać go, jako zasadę w podobnych wypadkach? Nieroztropnością jest związek starego z młodą, ale gdy już kto ją popełnił, nicchże przynajmniej nie wpada w drugą, przez ułatwienie miłostek żonie swojej z porucznikiem od ułanów. Czyn taki bowiem obraża uczucia i pojęcia nasze. Starzy niech praktykują filantropją na inném polu ale nie w dziedzinie małżeństwa, które nie nadarmo zwie się Sakramentem.

P. Janikowski przeto, liczy się w najlepszym razie do galeryi dzi waków, zamiary zaś jego uszłyby w krotchwili lecz nie w komedyi,

okraszonej jak to zwykle bywa u Korzeniowskiego, poważnym morałem.

Wreszcie komedia ta jako robota sceniczna, a głównie jako szereg charakterów, nikogo zachwycić nie może. Ów młody porucznik jest sobie lalką konwencyonalną, nudną i przesadzoną, panna Agnieszka karykaturą stariej panny, jednej z tych kobiet potwornie śmiesznych, którą przed trzydziestu laty Korzeniowski zaszczepliwszy w naszej literaturze, zostawił po sobie w spuściźnie młodym i niedoświadczonym pisarzom, przesadzającym jeszcze w nakładaniu farb jaskrawych. Wachmistrz téż, postać szablowa, powtarzająca się w komediach Korzeniowskiego, a dodajmy: błada i ani równać się mogąca z taką postacią w „Damach i luzarach” Fredry. Jedna Zosia, owa młoda żona, nakreślona z natury, ujmuje prawdę i wdziękiem.

Korzeniowski nie darował i stariej a przynajmniej „starszej” żonie w drugiej swjej komedii p. t. „Młody mąż.” Lecz tu, przy mniej cokolwiek elastycznej moralności, akcja żywsza, charaktery prawdziwsze i komiczność silniejsza, lubo intryga nader słaba i nic a nic nieoryginalna.

Lecz nie chcemy przeto stawiać wniosków, że trzeba zaniechać dzieł dramatycznych Korzeniowskiego. Przeciwnie, potrzeba tylko zrobić wybór, bo zawsze, nie mówiąc tu już o nieprzedawnionych zaletach tego pisarza, usprawiedliwia go i ta okoliczność, że wówczas gdy pisał, był prawie jedynym na tém polu i dlatego niezapomniane zostaną jego dla sceny zasługi. Że zaś był jedynym, pracował nieraz zbyt pośpiesznie, co się odbiło nietyle na formie ile na pomysłach i obrobieniu ściśle dramatyczném.

Dodać do tego potrzeba, że dziś przy zmienionych całkowiec stosunkach towarzyskich i ogólnych, szukamy myśli głębszych, szczerzej i bezstronniej wypowiedzianych; szukamy jednym słowem lekarstwa, które niechby sobie było gorzkie jak piołun, byle było przedewszystkiém lekarstwem.

Inne czasy, inne wymagania; maksyma ta stosuje się przedewszystkiém do komedyopisarzy, piszących na tle społeczném i obyczajowém. Lecz czy przeto już Korzeniowski przestał być jednym z koryfeuszów naszej literatury? Wszak nas nikt o takie posądzenie nie oskarży.

\* \* \*

Skończyliśmy z komedią oryginalną, bo o naszej sztuce powie zapewne kto inny, a teraz pomówimy jak najtreściwiej o tłumaczonych.

Na szczęście nie ma ich tak wiele. Mówimy „na szczęście” dlatego, że lubo przedstawianie sztuk tłumaczonych, uważamy za konieczność której się żaden teatr wyrzec nie może, przecież radzi jesteśmy gdy tego nawału fars, bluetek i t. p. nie mających nic wspólnego z naszym życiem, przesuwają się jaknajmniej.

Gdyby „Tricoche i Cacolet” znanym był powszechnie, posłużyłby zapewne za ogólne przystawie i odtąd niktby na przykład nie mó-

wił, „to rzecz błaha lub niedorzeczna.“ ale rzekłby: „to Tricoche i Cacolet.“

„Lecz publiczność słuchając tój farsy, śmieje się serdecznie?“ słyszeliśmy mówiących: „Dlaczegoż nie? odpowiemy; o śmiech bezmyślny, mimowolny, bardzo łatwo, a im grubsza i ordynarniejsza farsa, tém śmiech większy i ogólniejszy. Jakże się tu nie śmiać, gdy np. żona która się pozwoliła wykraść księciu Emilowi, goni z nim po całym Paryżu, chroniąc się niby przed ścigającym ją mężem (któremu się o tém ani śni) i gdy u pewnej niby aktorki panny de Bombance, przebrana za pokojówkę, targuje się wraz z tą chwilową swą rywalką o miłość (!) księcia takimi otwartemi słowy, jakichby się powstydziała niejedna dobrze wychowana przekupka. Albo gdy uciekając z domu męża, każe kochankowi zabrać portret swój matki i przysiędz mu na cienie tójże, że ją uszanuje. Są tacy co i z tego śmieją się rubasznie, dlaczegożby nie? Pp. Meilhac i Halevy, ośmieszyli już świat bogów, ośmieszają teraz najświętsze uczucia rodzinne. Niektórzy nazywają tę inwencją o cieniach matki: dowcipem, my jednak pozwolimy ją sobie nazwać „nikczemnym cynizmem, świętokradztwem,“ którego nigdy na naszą scenę dopuścić się nie godziło. Istotnie ta „Piękna Helena“ wygląda dziewiczo, biało, wobec tój spółki Tricoche'a i Cacoleta, spółki dwóch urwisów-oszustów, którzy tak zwany *chantage*, prowadzą na wielką skalę.

Dziwna zaiste! Dla autorów oryginalnych jesteście więcej niż surowi, jesteście srodzy. Nie pozwalamy im wprowadzania arcyłekko drażliwej sytuacji, krzyczymy zaraz, chociażby ta sytuacja służyła tylko jako środek dramatyczny a nie jako cel jedyny, że to „profanacja, że u nas takie rzeczy nie przydarzają się *nigdy* i t. p. i t. p.“ a na te sceny podniesione do najwyższego stopnia nagości, ohydne często, brudne prawie zawsze, patrzymy z upodobaniem i europejską grzecznością, w sztukach francuzkich. Czyż sceny te przetłumaczone z francuzkiego, nie są już szkodliwe, czy nie wywrą żadnego złego wpływu? i czy umyślnie zapomnieć chcemy, że w większości sztuk tych francuzkich, nie są one środkiem, czasem koniecznym, ale jedynym i głównym celem?

Tricoche i Cacolet wszakże, nie jest niczém inném jak tylko najbrutalniejszą fotografią najcodzienniejszych i najpospolitszych awantur, zdarzających się w wielkiem mieście; przyznać tylko trzeba, że ułożone to arcy-zręcznie i scenicznie, a okraszone tą werwą, z którą na świat przychodzą komedyopisarze francuzcy.

Zdaje nam się, żeśmy należycie określili wartość rzeczonój farsy, i że już wolni jesteście od rozszerzania się nad nią szczegółowszego. Niechaj utonie w pyłe biblioteki teatralnej, a nikt za nią żałoby nie przywdzieje. Nawet „Gaveau i Minard“ ów stawny „Gaveau i Minard,“ także spółka, tak samo jak spółka pp. Meilhac i Halevy, wobec *śmiałości pedzła* Tricocha maleje i niknie. To i dosyć. *Homar* p. Gondineta, choć ma głównie do czynienia z niestrawnością, co już

z natury tej potrawy się objaśnia, nie darował przecie wiarołomstwu, bo i tu żona profesora już, już blizką jest... wyjścia z szeregu, lecz ją powstrzymują okoliczności od niej niezależne. Mąż i tu oszukiwany, ten biedny mąż, którego francuzi od czasów Molierowskiego Dandina, usiłują utrwalić jako typ gapia wiecznie oszukiwanego. Tutaj żona, dlatego chce zdradzić męża, że się stał od niejakiego czasu szorstkim, a mąż dlatego stał się szorstkim, że skutkiem częstego pożywania homara, cierpiał na niestrawność. Otóż i cały sens sztuki, zręcznej zresztą pod względem scenicznym.

Niemcy zato biorą się do kwestyi małżeńskiej, niezgrabniej ale szlachetniej. W komedyjce „On nie zazdrosny“ żona martwi się, że mąż jej, lekarz, dla niej obojętny, a obojętny dlatego bo nie zazdrosny. Chce go więc wprowadzić w zazdrość, ale ku pomocy nie bierze sobie żadnego z pokątnych lowelasów, tylko własnego podstarzałego wujaszka, który niewinnej siostrzenicy pomaga jeszcze niewinniej. A jednak mimo to, można się ubawić wesoło tą komicznością naiwną, nieubarwioną przyprawionemi rogami pana męża.

„Miłość młodzieńcza“ Willbrandta, ma jeszcze wyższą wartość jako robota zręczna i jako wybór przedmiotu. Znalazł się tu nawet tak rzadki u Niemców dowcip, okraszony wdziękiem.

We wszystkich tych maleńkich komedjach, artyści nasi grają nieporównanie. a palmę pierwszeństwa trzymają panna Popiel i pan Szymanowski, co bynajmniej nieznaczy, iżby ci utalentowani artyści nie byli równie doskonałymi w komedjach większych. Nadto p. Popiel w ostatnich czasach, dowiodła zwycięzko, że pole czysto-dramatyczne, stać się może przez nią bujnie uprawném.

Po raz drugi w Bibliotece Warszawskiej przychodzi nam mówić o wielkim komedyopisarzu, którym jako jednym z pierwszych geniuszów słusznie szczyli się Francya, a szczylicby się mógł cały świat ucywilizowany. O Molierze można orzec jedném słowem, bez żadnych ograniczeń: „jest nieporównany.“

Naród francuzki najwyborniej téż z pośród wszystkich innych narodów, usposobiony jest do satyry, umie bowiem przepysznie chwycić śmieszności pod wszelką postacią. Dlatego już w XV wieku miał arcydzieło ludowe p. t. „Maitre Pierre Pathelin.“ A gdy później Molier zjawił się jak świetna gwiazda, oddać mu trzeba było berło panowania w komedyi. Próbował się we wszelkich rodzajach komedyi, i ze wszystkich wyszedł z tryumfem. W komedyi niższej, gdzie znajdujemy takie utwory: *Malade imaginaire*, *Bourgeois-gentilhomme*, *Georges Dandin* i t. p. w farsie i tak zwanéj *skapinadzie*, jako: *Les fourberies de Scapin*, *le Medecin malgré lui* i t. p., przedewszystkiém zaś w komedyi charakterów, gdzie spotykamy utwory, ogólnie przez najlepszych krytyków uznane za znakomite, jako: *Mizantrop*, *Skapiec*, i *Świętoszek* (*Tartuffe*), o którym właśnie pomówić chcemy.

Stara to prawda, że błędy, występki i śmieszności ludzkie, pozostają zawsze jedne i te same, zmienia się tylko ich forma, ich ze-

wnętrznosc. Sokolemu wzrokowi poety, ujść one nie mogły i dlatego uwiecznił je w przedstawicielach żywych. Charaktery więc jego wiecznemi są dlatego, bo są, bo istnieją, bo żyją dziś jeszcze i żyć będą zawsze. Zarzucano Molierowi, że nie ma téj wyobraźni, jaką obdarzony Arystofanes, ani téj potęgi pomysłowej, jaką się odznacza Szekspir, który z jej pomocą wkraczać umie w świat nieżywotny i niewidzialny i przeistaczać kaprysy swéj wyobraźni w figury rzeczywiste; ale dawno już na to odpowiedziano słusznym tym razem komunałem, że gdyby Molier był Arystofanese lub Szekspirem, nie byłby Molierem, czyli nie byłby wielkim komedyopisarzem. Kiedy Ludwik XIV, chcąc komplement, a może przekonanie swoje oświadczyć Boileau'owi, zapytał się go, kto jest najpierwszym poetą Francyi, ten odrzekł mu krótko, lubo z pewnym zadziwieniem iż się król o to pytać może: Molier. Sądu tego, nie zaprzeczyła potomność do dziśdnia.

Wiadome są aż nadto, okoliczności ciekawe przedstawienia na scenie „Świętoszka.“ Dotknięci ostrą a śmiałą satyrą, uciekali się do wszelkich środków, ażeby przedstawieniu przeszkodzić, a genialnego karciciela błędów, zgubić i zniesławić. Zarzucano jemu samemu w ohydnych paszkwilach, że to on właśnie jest tartufem i hipokrytą, że ma talent zaledwie do farsy, ale że i tu kopiuje innych autorów. Coś podobnego i dziś jeszcze nie szczędzą komedyo-pisarzom, którzy mają odwagę swych przekazani i cokolwiek talentu! Wówczas jednak, gdyby nie opieka samego króla, który się doskonale poznawszy na tych podobnych intrygach i insynuacyach, usiłujących zakłócić nawet spokój jego rodzinny, obsypał łaskami Moliera, a odłożywszy tylko sztukę na czas jakiś, zakazu nie wydał.

Dopiero, gdy zajadłość plugawa wrogów doszła do tego stopnia, że należało się publiczność zapoznać ze samém dziełem, ażeby niebałamucona dłużej, osądzić zdolną była na mocy własnego doświadczenia, dopiero wtedy dał pozwolenie, nakazawszy przedtém zmianę tytułu i złagodzenie scen niektórych.

Prawdziwie, dziś jeszcze poszanować trzeba tę opiekę Ludwika XIV, który umiał się wzniesć nad wrzaski obrzydłej zgrai, rzucającej się zawsze na człowieka wyższego, gdy ten odważnie sztandar swych przekonań wywiesza. Bo gdyby i król uległ pod naciskiem otoczenia, kto wie, czyby geniusz Moliera w zwątpieniu nie zmarniał. „Courage,“ krzyknął ktoś z parteru, gdy Molier jedną z pierwszych swych sztuk wystawiał, a ta zachęta, będąca wyrazem głosu opinii publicznej, była mu może bodźcem i poparciem, tak jak nią być powinna dla wszystkich piszących, którzy, zrzekłszy się gonienia za fortuną, talentem tylko swoim walczą w dobrej sprawie.

Prześladowania nie skończyły się po odegraniu sztuki, przeciwnie, wysokie figury, taki prezydent parlamentu Lamoignon, zakazał przedstawienia. Musiano tedy zaczekać aż do powrotu króla, który wtedy bawił we Flandryi. Za prezydentem poszedł arcybiskup Paryża, któ-

ry sztukę nazwał „bardzo niebezpieczną,” zakazując wszystkim wiernym swęj dyecezyi, słuchania jęj.

Molier jednak nie ugiął się, wytrwał mimo groźb, zjadliwych pocisków i tysiąca przykrości.

Czterdzieści cztery przedstawień, jedna po drugiej, były najlepszą odpowiedzią zawistnym i wrogom. Sama już ta zawiść do-wodziła wartości sztuki, która i dziś jeszcze, mimo zmienionych oko-liczności, nie straciła swych niepospolitych zalet.

Świętoszek zanadto jest znany, abyśmy tu potrzebowali treść jego powtarzać. Dość powiedzieć, że odjąwszy Tartuffowi jego płaszczyk religijności, który wówczas stanowił rzecz główną, dziś zaś wydałby się niemal anachronizmem, bo nas nikt o ferwor religijny nie posądzi; jeszczeby zachwycać się trzeba głębokimi rysami psychologicznymi wszystkich charakterów w tęg sztuce. Obłudnik ten przebiegły nie-słuchanie, nie daje się nigdy schwytać na gorącym uczynku, bo jeśli się to dzieje w akcie IV, to właśnie dlatego, że użyto z nim podstępny tak grubego i zwykłego, iż się on, wyrafinowanie przebiegły, spodziewać go nie mógł. Nie ma tęg nikogo powiernikiem, ufa tylko podobnie jak Jago, w swoją chytróść i wyższość rozumu. Będąc nie-jako uosobieniem zbiorowém fałszu i obłudy, ma wszelako te cechy zwykłej śmieszności ludzkiej, które w możebność jego realną, wierzyć po-zwalają.

Inne charaktery, jakkolwiek narysowane po mistrzowsku, zwłaszcza żony Orgona i typu pokojówki francuskiej, nikną w obec głównej postaci; całość zaś obrobiona po mistrzowsku, traci tylko na akcie piątym, który autor dorobił dla względów osobistych, t. j. dla uwydatnienia sprawiedliwości Opatrznościowej króla Ludwika XIV, a który niepotrzebnym jest zupełnie.

Publiczność dzisiejsza, biorąc ją jako masę, niezupełnie już poznać się umie na wyborowej charakterystyce, ani tęg nie dosyć należycie ocenia konieczność i zasługę tęg sztuki w przeszłości. Molier wówczas, jako myśliciel i poeta, napisać ją musiał, jeżeli mu nie miały być obcemi sprawy człowieka. W tęg tęg znaczeniu, rozumięć trzeba zdanie sławnego z dowcipu Pirona: „*Si le Tartuffe n'etait pas fait, il ne se ferait jamais.*” Chwila bowiem stanowiła naówczas wszystko; była ona tęg, co dziś zwiemy: „kwestyą na czasie.” A że my dziś żyjący, inne kwestye mamy na sercu, zatęm i sztuka ta ponieważ nie jest wyrazem chwili, zimniej na nas oddziaływa. Lecz zapatrując się ze stanowiska prawdziwej sztuki, „Świętoszek,” pozostanie zawsze rzetelnęm arcydziełem, a dla młodych pisarzy wzorem, z którego się bardzo wiele nauczyć mogą.

Co do samego przedstawienia na warszawskiej scenie, wypadło ono w całości słabo, jako gra pojedynczych charakterów znakomicie. Dlaczego? dlatego, że pokolenie dzisiejszych artystów zagubiło i ślad tradycyi, według jakieg grano w ogóle Moliera, a z wyrobieniem się odmiennęm dzisiejszej sztuki dramatycznej, przyjęło i ono odpowiednie



cechy. Nerwowość i jaskrawość w przedstawieniu charakterów, nie nadają się do sztuk Molierowskich.

Ś. p. jednak Bakałowiczowa w roli Doryny, umiała połączyć wszystkie warunki ówczesnej pokojowej powierniczki, to jest spryt, figlarność i rezolucję z wdziękiem ładnej kobiety, która wie, iż jej chociaż pokojowej, dużo wolno. Gra też jej była nadzwyczaj harmonijną i skończoną.

Lecz w jakichże rolach artystka ta nie była doskonałą? Zaiste bez nekrologicznych pochwał, powiedzieć musimy, że nie pamiętamy żadnej, w którejby nie wywarła silnego wrażenia, tego wrażenia, o którym się mówi długo, a dziś mówić się musi z westchnieniem głębokiego żalu.

Tém wspomnieniem kończymy, zdaje się najgodniej sprawozdanie z dziejów teatru, którego zgasła artystka była najpierwszą ozdobą.

*E. Lubowski.*

## KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Jadąc z Warszawy do Petersburga, na drugiej stacyi za Grodnem, w Marcinkańcach, jest się już w obrębie gub. Wileńskiej i nie opuszcza się jej aż do stacyi Dukszt, na przestrzeni mil 30, czyli takiej jak z Warszawy do Brześcia lub Częstochowy. Zaraz za Grodnem widok na okolicę smutnieje, kraj wygląda coraz puściiej i zasepiony podróżnik nie wprzód weselsze otoczenie ujrzy, aż dojedzie do Lantwarowa, ostatniej stacyi przed Wilnem. Jadąc dalej na północ, wyminawszy Wilno, droga przechodzi nieco więcej ożywione obszary i wreszcie za Święcianami, wszedłszy w krainę jezior i pięknych szwajcarskich widoków, jakeimi również napełniona jest czteromilowa odległość z Lantwarowa do Wilejki, pierwszej stacyi za Wilnem, ucieka z gub. Wileńskiej, biegnąc ku Dynaburgowi a ztamtąd rozgałęziając się ku Rydze i Petersburgowi.

Pusta owa przestrzeń drogi od Marcinkańców do Lantwarowa, ciągnąca się 11 mil po piaskach i nędznych borach, o rzadkich i lichych wioskach, nie jest jednak prawdziwą próbką fizyognomii gubernii Wileńskiej; przedstawia ją wyjątkowo niekorzystnie, dla tego że przerywa saharę nadniemeńską, łany piasku i rzadkie bory, ciągnące się długim a wązkim pasem równolegle do brzegu Niemna, od Grodna prawie aż do Wilna. Lecz ktokolwiekby ze stacyi Marcinkańców, Oran, Ol-

kienik lub Rudziszek na wschód lub zachód milę lub dwie w głąb kraju odjechał, znalazłby się w okolicy nie wszędzie „żółtym piaskiem i drobną trawką potrząśniętą,” dość owszem gęsto zaludnionej, zabudowanej szaremi, częściami słomą, rzadziej gontami pokrytymi drewnianymi dworkami, wioskami i miasteczkami, poprzerywaną lichymi krzywymi drogami, najeżonemi mnóstwem grobli i mostów. Jeżeli odważyłem się ludność wileńską nazwać dość gęstą, to się ma rozumieć względnie, w porównaniu do bliższych i dalszych okolic wschodniej Europy. Wzrost ludności gub. Wileńskiej, również względnie, nazwać można niemałym, bo gdy w r. 1844 zaledwie po 1,000 głów na milę kwadr. przypadało, dwa lata temu (1873) już 1418 mieszkało przeciętnie na téjże przestrzeni. Ten przyrost ludności jednak, jak i jej gęstość, nie wytrzymuje porównania z innymi szczęśliwsiemi miejscowościami, naprzykład ze wzrostem północno-amerykańskim lub skupieniem mieszkańców belgijskiem. Obliczano dawniej iż trzeba czekać 82½ lat, aby ludność gub. Wileńskiej z r. 1844 się podwoiła; ostatnie dane dowodzą jednak iż w miarę wzrostu z r. 1872 na 1873 mniejwięcej 50 lat podwojenieby sprowadziło.

Następne zestawienia niech okażą stosunek zaludnienia naszej gubernii do innych okolic. Mieszka tu, jak wiemy, 1418 dusz na mili kwadratowej; na téjże przestrzeni liczy się w Królestwie Polskiem 2,728, w Saxonii 8,623, w Belgii 9,350, w gub. Petersburskiej 628 (po odtrąceniu ludności stolicy), w Mińskiej 729 dusz, czyli inaczej mówiąc: jeżeliby na przestrzeni mil 751½, stanowiących obszar gub. Wileńskiej, gęstość zaludnienia była taka jak w Królestwie, toby gubernia nasza liczyła przeszło 2 miliony mieszkańców (liczy zaś istotnie w téj chwili około 1,100,000); przy gęstości zaludnienia gub. Warszawskiej, miałaby 2¼ milionów ludzi; przy ludności galicyjskiej przeszło 3 mili., przy saskiej 6½ mili., przy belgijskiej przeszło 7 milionów; lecz jeźliby tyle zasiedlało ją mieszkańców co gub. Mińską lub Petersburską, toby miała tylko pół miliona. Obszar zaś gub. Wileńskiej porównany z powierchnią innych krajów i prowincyj tak się przedstawia: przynosi nieco połowę Galicyi, trzy razy większy jest od gub. Warszawskiej, prawie półtora raza od Belgii, a trzy razy przeszło od Saxonii, mniejszym zaś jest trzy razy od Królestwa, a 13 razy od Francyi (z Alzacyą i Lotaryngią).

Lud wiejski tutejszy należy do dwóch plemion: litewskiego i rusińskiego, zwanego także krewickiém lub białorusińskim. Litewskie siedzi w północno-zachodniej mniejszej części gubernii, w powiatach: Trockim, Wileńskim, części Lidzkiego, Oszmiańskiego i Święciańskiego; rusińskie zajmuje dwa razy większy obszar i zaludnia resztę gubernii. Pierwsze opiera się o Niemen, drugie sięga Dźwiny, a Wilia, płynąca czterdziestomilowej długości korytem ze wschodu na zachód, dzieląc gubernię na dwie prawie równe części, przerywa najprzód rusińską, a potem litewską jej połączyć i niby wstęga wiąże dwa blizkie nie tyle mówią ile zwyczajami i losami plemiona; kolęj zaś warszawsko-pe-

tersburska przekrawa napół siedzibę litewskiego języka. Mówiący nim obrali sobie piękniejszą część (mówię tylko o fizyognomii okolic); ma ona łagodnie sfalowaną powierzchnię i należy do najpiękniejszych na Litwie; dzielnica zaś rusińska zawiera przeważnie równiny, czasem płaskowzgórza i bagna. Rzek i jezior obudwóm natura nie poskąpiła, a we wschodniej części gubernii rozlewa się wspaniałe i wielkie jezioro Narocz, przy zetknięciu powiatu Święciańskiego z Wilejskim, niegdyś na granicy drugiego rozbioru; jest ono, jeżeli się nie myle, największém w granicach starożytnéj Polski.

Dokładne rozgraniczenie siedzib Rusinów i Litwinów należy dotąd do dezyderatów etnografii naszéj. Linie graniczną opisał dawniej szczegółowo Teod. Narbutt w pomniejszych pismach historycznych, a za nim powtórzył p. Kirkor w Bibl. Warsz. r. 1855 t. IV str. 247. Przez gub. Wileńską tak bieży ona, według Narbutta: od miejsca gdzie rzeka Kotra przecina granicę gub. Wileńskiej od Grodzieńskiej na wieś Dubicze, rzeczką Pielasą, do wsi Pielasy, granicą parafii Zablockiej od Raduńskiej, rzeczką Dzitwą do wpadnięcia w nią rzeczki Osówki, dalej na wieś Poddworańce, Dajnowkę, rzeczką Żyżmą do miasteczka Stok, ztąd ku źródłom rzeki Oszmianki pod Grauzyszkami, tą rzeką do jéj połączenia z Wilią, dalej Wilią ku miasteczkom Michaliszki, Świr i Postawy, a ztamtąd wprost na północ do rzeki Dzisny, gdzie już się kończy gub. Wileńska.

Przekonałem się na miejscu że powyższe odgraniczenie jest nieraz niedokładne i co do linii i szczególnie co do szachownic, których nie mało pomija po obu stronach. Bardzoby było pożądaném, aby ktoś chociażby w obrębie gub. Wileńskiej dokładnie opisał tę granicę. Ciekawą i mało znaną jest rzeczą, iż dzisiejsze siedliska litewskie w Wileńskiem znacznie się uszczupliły, t. j. granica ich posunęła się na północo-wschód od dawnéj; świadczą o tém w powiatach: Oszmiańskim i Święciańskim liczne litewskie nazwy miejscowości, położonych o kilka mil na południo-wschód, a dziś otoczonych już ludem mówiącym po rusińsku.

Ludność katolicka naszéj gubernii modli się w 198 kościołach, i 175 kaplicach, należy do 151 parafij, ma 343 kapłanów (świeckich 245, zakonnych 98) i wynosi ogółem dusz 642,578; prawosławna ma 166 cerkwi i 165 kaplic, dzieli się na 159 parafij, ma 326 duchownych (świeckich 208, zakonnych 118) i liczy 274,760 wyznawców. Starozakonni stanowią przynajmniej 8 procent ludności chrześcijańskéj, bo spisy Żydów, z powodu ich usiłowań do uchylania się od służby wojskowéj, są trudne a przez to niedokładne. Źródła rządowe (z których wszystkie tu cyfry podaję, idąc za wydawnictwami komitetu statystycznego wileńskiego) liczą ich w r. 1873 dusz 126,019; prawdopodobnie jednak jest ich więcéj. Porównyując ilość parafij, duchowieństwa i wyznawców z poprzedniemi laty, widzimy w r. 1861 naprzykład następane dane: ogół ludności katolickéj 594,314, duchownych 864 (świeckich 461, mnichów 237, mniszek 166), parafij 195; prawosławne-

go kościoła ogół wyznawców 185,755, duchownych świeckich i zakonnych 210; Izraelitów dusz 67,645 (cyfra również niepewna jak i powyższa z r. 1873). Lat temu prawie 80, w r. 1796, było według p. Kirkora (Teki wileńska zes. 3 str. 200) w samém mieście Wilnie duchownych katolickich świeckich i zakonnych 578, niickich 75, prawosławnych 11.

Gubernia nasza nieźle się prezentuje, gdy ją widzimy przetrzętą kolejami, które się z grodu Giedymina na pięć części świata rozbiegają: ku Dynaburgowi, Mińskowi, Warszawie, Kownu i Libawie; linia warszawsko-petersburska, jak wiemy, 30 mil bieży w obrębie gub. Wileńskiej, Mińska, nie licząc pierwszej stacyi, wspólnej z drogą petersburską mil prawie 17, Kowieńska, nie licząc pierwszej stacyi wspólnej z koleją warszawską mil 9, libawska, oprócz przestrzeni wspólnej z koleją kowieńską, mil 3; na powierzchni więc gubernii Wileńskiej leży dróg żelaznych mil prawie 60. O trzecią część mniejsza Belgia, używa wprawdzie przeszło 350 mil kolei żelaznych; lecz tém niemniej, stosunkowo do prowincyj ościennych, Wileńskie korzystnie pod tym względem wygląda: miasta powiatowe, oprócz Lidy, ma połączone kolejami ze stolicą gubernii i posiada łatwą komunikacyą z Petersburgiem, Moskwą, Rygą, Królewcem i Warszawą.

Lecz te 60 mil. *czuchunki*, (jak lud tutejszy kolej nazywa) ani połowy tój korzyści społecznej i handlowej nie przynoszą, jakaby nieść mogły, gdyby się rozgałęziały w głąb' okolicy dalszym swoim ciągiem, dobrymi drogami. Z zazdrością spogląda Wileńczyk na Warszawianina, który w swój, trzy razy mniejszej gubernii, oprócz kilku kolei, ma 70 mil drogi zwirowej. My tu szosy nie znamy, nie mamy jej ani pół mili na przestrzeni 751  $\frac{1}{2}$  mil kwadratowych. Posiadamy wprawdzie drogi pocztowe i inne, ale cóż to za drogi! Trudno sobie wyobrazić błoto, piasek, groble i mosty wileńskie; trzeba osobiście w jesieni, na wiosnę lub w bezśnieżną zimę przejechać się albo bryczką pocztową, albo nędznym, niekutym wózkiem wieśniaczym o jednym koniku liliputowego wzrostu, zaprzężonym w patryarchalne hołoble i duche, aby nauczyć się kłąć, złościć, a potem litować się i być cierpliwym. Miło i szybko jedzie się koleją; ale dostać się do stacyi kolei sześć i więcej mil odległej, to u nas czasami jest kwestyą tak trudną, jak kwadratura koła. Ileżto czasu i koni marnie ginie na tych nieskończonej długości i głębokości groblach i piaskach! Bo gdy latem główny wróg komunikacji tutejszój, błoto, wyschnie, nowa plaga w piaskach powstaje, a mosty i promy we wszystkich porach roku czyhają na zgubę biednego podróżnika, a przynajmniej jego zaprzęgu, lub w najlepszym razie pieniędzy.

W braku szos leży główna zaporą pomyślności handlu tutejszego; oczywiście same koleje nie wystarczają: musi być przynajmniej dwa razy tyle mil zwirowki, co kolei, aby handel, a z nim przemysł i rolnictwo, jakotako mogły się podźwignąć, a i drogi poboczne, niezwirowe, powinnyby w takim przynajmniej stanie zostawać, jak obecne pocztowe. Inaczej chyba tylko bydłem i nierogacizną handlować

można, bo ten towar pędzi się piechotą do stacyi kolei; jakoż te dwa artykuły handlu, najwięcej u nas prosperują. Ale ani wozów porządnych, dużych, ani lepszej rassy koni roboczych nie będzie póty, poki drogi nie umożliwią używania pierwszych i umiarkowanego wyzyskiwania drugich.

Gubernia nasza liczyła w 1873 r. 1,065,542 mieszkańców; w téj chwili musi mieć już około 1,100,000; gdyby więc w ciągu trzech lat każdy mieszkaniec złożył po 10 groszy na budowanie szos, toby się zebrało 1,100,000 złp. czyli 165,000 rs., za które ze 20 mil zwirówki dałoby się sporządzić, rozpoczynając od połączenia miast powiatowych ze stacyami kolei, od których wszystkie są w pewnej, niedogodnej odległości, dochodzącej mil kilka.

Ulepszenie komunikacyi niewątpliwieby wpłynęło i na przemysł, który tymczasem w dzieciństwie się u nas znajduje. Jedyne jego objawami są tu gorzelnie, bo że posiadamy 3 na małą skalę papiernie pod Wilnem, dwie fabryki gwoździ, cztery tytoniu i jedną wód mineralnych, to w stosunku do zasobów przyrodzonych i ilości mieszkańców gubernii, jest kroplą w morzu. Za to gorzeln i browarów mamy większych i mniejszych 237! Tak jednostronny kierunek przemysłu, tém się tylko tłumaczy, iż gorzelnie służą tu nietylko za środek przetwarzania kartofli i żyta na okowitę, ale za sposób do wykarmienia bydła opasowego i powiększania ilości nawozu przez wywar, zwany tu brahą. Ogromna większość gorzeln używa tu bardzo zacofanych przyrządów i jest w ręku żydów; zaledwie kilka posiada aparaty postępowe, a jedna, czy dwie wysyła okowitę za granicę w znacznych ilościach. Drugą przyczyną namnożenia się tych zakładów u nas, jest bezwiedne może dążenie do zużytkowania zbywającej ilości lasów na wytworzenie czegoś na miejscu, bez sprzedawania drzewa spekulantom, która jednak pomimo to, coraz większych rozmiarów dosięga. Przeciętna cena włóki średniego lasu, obecnie przechodzi 1000 r., i co rok się podwyższa; porządne gospodarstwa leśne wszelakoż nie mnożą się w stosunku odpowiednim do znikania lasów.

Zaprowadzone tu od lat kilku sądy pokoju wielce się przyczyniły do ukatwienia ochrony lasów od nieproszonych karczowników; dotychczas jednak włóścianie nie chcą, czy nie umieją przejąć się zasadą, iż lasy dworskie rosną na wyłączny pożytek ich właścicieli; to samo da się powiedzieć i o pastwiskach. W pomoc sądom koniecznie musiałoby przyjść moralne podniesienie tak zwanéj młodszej naszej braci; ale o to niełatwo! Zaprzeczyć jednak nie można, iż postęp w tym kierunku jest choć powolny. Daje się on widzieć w rzadkich jeszcze, ale dawniej niepraktykowanych faktach, że wieśniacy starają się dzieciom swoim dawać średnie, a czasem i wyższe ukształcenie. Dążność tę ukatwia widoczne podniesienie się ich dobrobytu. W ostatnich latach zaczęli nabywać coraz więcej ziemi od podupadłej szlachty, tak iż obecnie chłop kupujący kilkowłóczny folwark nie należy do osobliwości. Robią to, ma się rozumieć, porządniejsi; niedbałych zaś

i leniwych trapią dwie fatalne plagi: pijaństwo i lichwa. Pierwsze, powstrzymane nieco lat temu piętnaście bractwami wstrzeźliwości, dziś znów na dobre potężnieje; druga zaś w niektórych wsiach dochodzi niesłychanych rozmiarów. Oczywiście rodacy Mojżeszowego wyznania ją pielęgnują, łącząc przemysł ten z karczmarstwem, lub pod różnemi innymi pozorami, osiadając po wsiach i każąc sobie nieraz za pożyczkę 150—200 za sto na rok płacić. Liczne i dobrze uorganizowane banki wiejskie, zakładane przez większych właścicieli wiejskich, z widokiem własnego zysku, (dochodzącego choćby 10<sup>o</sup>%) nietylko byłyby na to jedynym lekarstwem, ale przyłożyłyby się dzielnie do podniesienia rolnictwa drobniejszego.

Niech powyższy procent nie oburza czytelnika. Przywykliśmy tu do niego i nieraz za łaskę uważamy dostanie kapitału na 12<sup>o</sup>% rocznie; taki jest brak na ogół pieniędzy. Mamy wprawdzie kilka banków prywatnych: dwa ziemskie, jeden handlowy, dwa wzajemnego kredytu; lecz każą one płacić sobie wysoki procent za pożyczone kapitały; ziemski naprzykład pobiera za krótsze pożyczki po 9<sup>o</sup>%, a za dłuższe po 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub><sup>o</sup>% rocznie z umorzeniem, a daje listy zastawne lub gotówkę, w stosunku 83<sup>1</sup>/<sub>2</sub> za sto. W pierwszym więc roku pożyczki nieszczęsny dłużnik banku tego, oprócz kosztów wpisowego, taksacy i t. d., traci 25<sup>1</sup>/<sub>2</sub><sup>o</sup>% przy długoletniej, a 24<sup>o</sup>% przy krótszej pożyczce, dostając 835 rubli zamiast tysiąca. Możeby konkurencya zdołała obniżyć tę wysoką stopę procentową, bo pożyczki tak drogo opłacone, ratować mogą chyba tylko zagrożone blizkim upadkiem fortuny i to na czas jakiś, lecz do podniesienia rolnictwa, przemysłu i handlu z pewnością nie doprowadzą.

Na towarzystwach ogniowych, których agentur w Wilnie mamy aż dziesięć, najdowodniej się przekonywamy, jak dobroczynne współubieganie się wpływa na obniżenie ciężarów opłat: bodajby tyle się namnożyło banków ziemskich i niezemskich, mielibyśmy tak tani kredyt, jak ubezpieczenia od ognia. W liczbie owych dziesięciu towarzystw, znajduje się i warszawskie; uważam więc za rzecz stosowną w korespondencyi do Warszawy kilka słów o niem powiedzieć. Agentura jego działa u nas, zaledwie od października 1873 r., lecz sumienném i umiejętném prowadzeniem rzeczy, zdołała tak się postawić w opinii mieszkańców, że o lepsze walczy z koleżankami od wielu dziesiątków lat tu osiadłymi. Do nowego roku 1874 uzyskała tylko około 3,000 rs. składki, lecz w ciągu upłynionego roku zdołała podnieść tę summę do przeszło 86,000 rs., mając z górą 3,400 ubezpieczeń na summę blizko 9,000,000 rs., co stanowi prawie trzecią część ogółu ubezpieczeń niemiejskich w całej naszej prowincyi. A co najważniejsza, iż pociągnęła do assekuracyi przeważnie ludność wiejską, gdyż w pomienionych 86,000 rs. składki, figuruje około 60,000 ze wsi płynących; najwięcej dostarcza ich gub. Grodzieńska najmniej Kowieńska i Inflanty; średni właściciele ochoczej się garną od większych i małych, ci ostatni bowiem mają własną assekuracyą,

bogatsi zaś oczywiście nie przekonali się jeszcze o dobrodziejstwach ubezpieczenia. Wiele dobrej spodziewać się należy od urzeczywistnienia projektu inspektora głównej agentury tego Towarzystwa p. Michała Faleńskiego (brata znanego poety), w którym proponuje zrobienie z ogółem tutejszych mieszkańców wiejskich długoletniego układu, mającego na celu połączenie korzyści i rękojmi Towarzystwa akcyjnego z wzajemnością. Towarzystwo zastrzeżałoby sobie pewien procent tylko, jako przyrost od swego gwarancyjnego kapitału i wynagrodzenie za ryzyko, a całą przewyżkę zysków, obracałoby na stosunkowe obniżenie taryfy w latach następnych.

Oby też wynaleźli i towarzystwa ubezpieczające od senności umysłowej, posuchy literackiej i obojętności na wszystko, co choć na cał przewyższa poziom najzwyczajniejszych spraw i potrzeb codziennych! Takie kompanie bardzoby się przydały naszym okolicom, które przodując niegdyś, później równo idąc z innymi pod względem życia umysłowego, dziś wegetują, jakby wypoczywały po zbyt niemiłym natężeniu, lub się gotowały do nowego: co daj Boże! Należy się jednak wdzięczność wiekowej księgarni i drukarni tutejszej p. Zawadzkiego, która pomimo ciężką walkę o byt, dawne swe nakłady przedrukowuje i zdobywa się nawet na tak grube, a co ważniejsza, tak pożyteczne tomy, jak wychodząca teraz *Historia literatury Zdanowicza i Sowińskiego*. Godzi się tu także wspomnieć obchodzące nas dzieło p. Horbaczewskiego, archiwaryusza tutejszego głównego archiwum akt urzędowych, pod tytułem: *Słownik dawnego języka aktowego prowincyj zachodnich i Królestwa Polskiego*; wyszedł on w języku rossyjskim roku zeszłego w Wilnie i zawiera nie mało wyrazów staropolskich, nieznajdujących się, lub też inaczej objaśnionych w słownikach Lindego i Orgelbranda. Warto, aby specjalista wyciągnął zeń, co należy, będzie to pożyteczny przyczynek do wielkiego słownika, zamierzonego przez Akademię Krakowską.

Kończę wzmianką o tém, od czego podobno w salonach rozpoczynają przyzwoitą konwersacją: o pogodzie. Zimę mieliśmy niezwykle ciężką, nie z powodu zbyt wysokich mrozów, ale z przyczyny ich niustawiania; dwie tylko, czy trzy odwilże, przerwały na krótko ciągle zimno, a śniegu mieliśmy taką ilość, jakiej od wielu lat tu nie pamiętają.

—0—

Wiszniew, w kwietniu 1875.

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Biblioteka Ordynacji Krasieńskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. Tom I, Warszawa. Nakładem Świdzińskich. 1875 r. (w wielkiej 8-ce str. 193).*

Spadkobiercy majątku śp. Konstantego Świdzińskiego, w chwili przyłączenia zbiorów naukowych swego brata do biblioteki hr. Krasieńskich, powodowani szlachetną chęcią upamiętnienia jego działalności naukowej i zasług na tém polu położonych, zabezpieczyli fundusz wieczysty na wydawnictwo materiałów historycznych, pod nazwą: *Muzeum Konstantego Świdzińskiego*.

Od czasu włączenia zbiorów K. Świdzińskiego do Ordynacji hr. Krasieńskich upłynęło z górą lat szesnaście, zanim fundusz na wydawnictwo mógł być odzyskany i użyty na cel właściwy. Sądźmy że odtąd żadnej zwłoki w prowadzeniu publikacji *Muzeum K. Świdzińskiego* nie będziemy mieli.

Wydawca p. Władysław Chomętowski bibliotekarz Ordynacji hr. Krasieńskich w przedmowie zapowiada: „ogłoszenie materiałów historycznych w ciągu każdego roku, w rozmiarach jednego tomu, zawierającego kilkanaście arkuszy druku.”

Załowac przychodzi, że w rozpoczynającym się wydawnictwie *Muzeum K. Świdzińskiego* nie znajdujemy, chociażby w treści układu, jaki spadkobiercy oddający jego zbiory ordynacji hr. Krasieńskich, z nią zawarli, wyznaczyszy i opiekunów z ramienia swego. Te wiadomości byłyby pożądane jako ścisły mające związek z tak drogocenami zbiorami, których zgromadzeniem zajmował się ś. p. K. Świdziński całe życie, i znaczną część swego majątku poświęcił.

Tom wydany zawiera na czele: *Wiadomość o rękopismach z archiwum Radziwiłłowskiego znajdujących się w bibliotece ordynacji Krasieńskich*. W zbiorze autografów przechowały się nader liczne korespondencye Udalryka Radziwiłła koniuszego litewskiego z matką, żoną, braćmi i z różnemi osobami w sprawach publicznych oraz prywatnych. Najwięcej budzą zajęcia listy Barbary z Zawiszów Radziwiłłowej do syna. Była to bowiem niewiasta niepospolitego umysłu i serca. Czynna w sprawach majątkowych i rodzinnych, wyręczała najprzód męża i podźwignęła chylącą się do upadku fortunę; następnie nie spuszczała z uwagi losu i przyszłości dorosłych nawet synów, którym nieszczędziła nigdy swych rad i napomnień. W pomienionych listach znajduje się obfity materiał do dziejów naszego domowego życia z połowy XVIII stulecia, na co już zwrócił uwagę i podał obszerną wiadomość, sam wydawca *Muzeum K. Świdzińskiego* w zajmującej



monografii p. n. *Stanowisko praktyczne dawnych niewiast*. (Warszawa 1872 roku).

Za wielec drogocenny podany mamy rękopism najprawdopodobniej w oryginalnej pierwszej redakcyi, księcia Mikołaja Radziwiłła *Sierotki: Pielgrzymka do Ziemi Świętej*.

Wiadomém jest, że dzieło to znaném jest tylko w tłumaczeniu księdza Tretera, oraz z późniejszego przekładu polskiego, dokonanego przez Wargockiego, z tekstu łacińskiego. Wprawdzie tłumacz ten posiadał różne odpisy pielgrzymki, lecz tak niedokładne i niezupełne, że zmuszony był trzymać się tłumaczenia łacińskiego. Dotychczasowe więc wydania słynnego niegdyś dzieła Radziwiłła nie zastąpią oryginału, ważnego dla nas mianowicie z powodu języka. Żałować przychodzi że zabytek ten nie jest kompletny, brakuje mu kilka kart na początku.

Wydawca zwraca pilniejszą uwagę na rękopism obejmujący życie Albrychta księcia Radziwiłła, opowiedziany w rodzaju pamiętnika przez Tokarskiego dworzanina wspomnianego księcia. Trafne tu znajdujemy spostrzeżenie, że ród ten *panoszków* litewskich, który odznaczał się gorliwością dla protestantyzmu, wychowany w jego zasadach, przechodził na łono katolickiego kościoła i również się żarliwością odznaczał dla katolickiego wyznania.

„Częste (pisze p. Wład. Chomętowski) nadzwyczaj wypadki nawracania w drugiej połowie XVI i w początkach XVII wieku, przypisuje się zazwyczaj działalności zgromadzenia Jezuitów, mianowicie wymowie księdza Piotra Skargi. Nie zaprzeczamy słuszności pomienionego twierdzenia, atoli przyczyniał się niemińiej wpływ niewiast, które pomimo wychowania w zasadach protestanckich, lgnęły umysłem i sercem do katolicyzmu. Protestantki raczej z nazwiska niż z przekonania jak np. matka Jana Ostroroga wojewody poznańskiego, czyniły pobożne *vota* i odprawiały pielgrzymki do miejsc słynnych cudami, nie zrywały zatém tradycyjnego węzła, który je z katolickim wiązał kościołem. I na Radziwiłła *Sierotkę* przeważny wpływ wywarła matka, który nie tylko sam porzucił protestantyzm ale i młodszych swoich braci nakłonił do pojednania się z praojców kościołem.” Przywiedziony w tym ustępie obraz domowego życia Albrychta Radziwiłła, czyta się jakby rozdział najwięcej zajmujący historycznego romansu Walterskota. Wszystkie szczegóły tu podane, mogą służyć za wierne malowidło owoczesnego społeczeństwa pojęć, myśli, usposobień duchowych i obyczaju.

Po tój „wiadomości o rękopismach z archiwum Radziwiłłowskiego“ następują: *Korrespondenye Jana Karola Chodkiewicza* od 1606 do 1611 r. wyłączenie, pisane do żony i syna, oraz kilka innych; po nich: *Listy J. K. Chodkiewicza do króla i do różnych osób* 1603 i 1621. W dodatku zamyka całe dzieło testament Zofii z Mieleckich Chodkiewiczowej wojewodziny wieleńskieij.

Obszerny mamy żywot skreślony wielkiego hetmana w dwóch tomach, przez Adama Naruszewicza wydany poraz pierwszy w Warszawie 1781 roku. W nim nasz znakomity historyk stawia swego bohatera na polu zasług krajowych, ale nie ukazuje człowieka w domowém życiu i w rodzinném otoczeniu. Owóż listy wydane obecnie dopełniają ten brak i uzupełniają wiernie obraz wojownika, który w dziejach długiego panowania Zygmunta III-go tak świetnie zajął karty, jako małżonka, ojca i obywatela. Ktoby mógł się spodziewać że Chodkiewicz co z sześćdziesięciu z górą lat życia, czterdzieści lat przeżył na koniu, na *leży* żołnierskiej lub kładąc, jak się sam wyraża „zbroję na grzbiet,“ zapalczewy w walce, skory do gniewu, zwracał się z serdeczną myślą jak młody kochanek pełen uprzejmości i zalotów do żony, jak kłiwy rodzic do syna <sup>1)</sup>.

Po skończonych trzydziestu latach życia rozpoczął starania o rękę młodej, pięknej a wykształconej wdowy. Była to Zofia Mielecka córka słynnego za Zygmunta Augusta hetmana i wojewody podolskiego. Wydana za Siemiona, ostatniego z książąt Olelkowiczów Słuckich, wkrótce owdowiała. J. K. Chodkiewicz poznał, pokochał urodną i pełną wdzięków i rozumu księżnę, i zaczął bezwzględne starania. Zaloty jego wdzięcznie przyjęte zostały. Obrzęd weselny odbył się w Cimkowiczach na Litwie dnia 23 lipca 1593 roku. We cztery lata blisko urodził się syn Hieronim, w kilka lat później córka Hanna. Ogłoszone listy rozpoczynają się już po sławném zwycięztwie pod Kircholmem nad Szwedami, z początkiem roku 1606, kiedy jeszcze stał na straży Infant. Każdy list adresowany: „Małżonce mojej serdecznie miłej Zofii z Mieleckich Chodkiewiczowój.“ Nigdzie nie wspomina o jój książęcym tytule z pierwszego męża, a zwykle zaczyna każde pisanie od słów: „Moja najmiłsza Zosieńko, pociecho moja serdeczna,“ albo „Moja jedyna kochana duszo.“ Kończy zaś każdy: „Waższej miłości uprzejmie z serca miłujący małżonek.“

Pierwszy list na czele pomieszczony jest odpowiedzią hetmana do żony, która miała go w podejrzeniu, że się *kawaler* (tak nazwała swego małżonka) zalecał urodnej moskiewce. Chodkiewicz z tych się *suspicyj* szczerzo, a z prostotą tak tłumaczy:

„Co się moskiewki od kawalera tknie, dalibógemci jój nie widział, a choćby i Dyanną była, jużby mię pewnie nie ruszyła pokusa, dobrzem z łaski Bożej *umortyfikowany*.“

Zapusty 1606 roku, to w obozie, to grody warowne objędzając, przepędził; ażeby zaś nowego niepokoju swój Zosiencie nie napędzić, pomimo, że go zapraszał książę kurlandzki i sama przyjechała, zapraszając do swój stolicy, Chodkiewicz się wymówił i do Dorpatu wyjechał.

<sup>1)</sup> Streściliśmy te tylko listy w dziele p. n. *Szkice historyczne i z domowego życia niedawno ubiegłej przeszłości*. Kraków 1869 rok.

Nie było większego strapienia dla naszego bohatera, jak wiadomość o najmniejszej słabości żony lub syna, którego kochał widać więcej jak córkę, bo w nim kładł nadzieję utrzymania świetności swego rodu. Troszczył się o jego naukę i nie tai, że miło znosi ciężkie trudy, „ale dla ciebie (pisze do młodego swego Hieronima) i sławy twój, lekkie.” Pragnienie to gorące, aby zostawił w potomku godnego siebie następcę, któryby potrafił sławę imienia, jeżeli nie podnieść, to przynajmniej utrzymać, wyraźnie w tych listach przebija.

Jakkolwiek nie mały miał majątek, interesa pieniężne ciągle go trażyły. Wierzyciele nie dawali mu pokoju i opędzić się przed niemi nie potrafił. Zgryzoty z tego powodu miał wielkie, do których przyłączyły się jeszcze skargi niepłatnego rycerstwa, które zbierane nieraz w zuchwałę *kolo*, wypowiadało mu posłuszeństwo i opuszczало obozy. Hetman surowy i popędliwy, w każdym innym razie srogoby ukarał takiego rodzaju niekarność szkodliwą; ale przekonany o sprawiedliwości żądań swoich towarzyszków broni, gryzł się w sobie i milczał, widząc, że władza jego buławy nie ma dawnego znaczenia i powagi, w obec ogólnego wszystkich chorągwi oburzenia. Nieraz z boleścią pisze do żony, że nie ma grosza przy duszy i jedzie „o jednej kurcie a zwierchniej sukni.”

Z rzewném uczuciem czytamy te listy pisane przed trzema blisko wiekami, z różnych okolic, gdzie Chodkiewicz koczował, przy dymnych ogniskach lub na chwilę zaledwie spoczywał pod dachem, szarpány ciągłymi troskami.

Najlepsze konie wierzchowe na wyprawach ciągłych postradał, a wiedząc dobrze z doświadczenia, co znaczy dla wojownika dzielny rumak, chętnie byłby sprzedał złote łańcuchy, byle *turczyzna* pod siódło dostać.

Z obozów pisze listy do swój Zosienki, pełne wyrazów miłości; przeprosza za gniewne i ostre czasem odpisy; portretu jój, który wozik z sobą, wydać nie chce dla skopiowania, „bo się w nim sam Kocham.” Gdy małżonka mu doniosła, że wedle ówczesnego zwyczaju do służby pokojowej przyjęła *karła*, hetman odpisał, żartując sobie z niego. Dotknęło to przykro Chodkiewiczową i nie taita tego przed nim; wojownik dnia 26 października 1606 roku zaraz odpisuje z Rygi.

„Pod sumieniem ci to moja duszo piszę, żeć mi to z żartu, a nie ze złego rozumienia przyszło. Nietylko *karła*, ale i sam mając taką miłość twoją przeciwko sobie, karłem być nieciężkoby mi było, choć uroda nie potemu moja, jednak chęć i do takiego, jaka ich powinność usługowania, nie cofnęłaby się nazad. Proszę cię tedy moja pociecho nie rozumiej o mnie tak źle, jako mi piszesz: dalibóg ci, że nie ze złego mi to serca przyszło, ale z żartu. Nie zapominaj mię w modlitwach swych, ja też sam niegodny Pana Boga za cię i dziatki proszę. A zatém dobranoc moja pociecho jedyna.”

Nadchodziła straszna burza, bo wojna domowa po wybuchu *rokoszu* Zebrzydowskiego; Chodkiewicza odbiegło niepłatne rycer-

stwo, wielu przeszło do rokoszan. „Sam jadę (pisze) i przy Królu Jegomości chcę stanąć i zdrowia jego pilnować.” Dnia 5 Julii 1607 r., już donosi swój Zosieńce o bitwie *pod Guzowem* i zwycięztwie wojsk królewskich. „Widzi Bóg (wyraża Chodkiewicz), jako z obu stron jesteśmy żałośni, patrząc na bracię swoją i na takie grono *grzecznych* ludzi.”

Dla zebrania chorągwi napowrót, aby miał czém żołąd opłacić, zastawia srebro swoje, zaciąga długi; bo Zygmunt III o zaspokojeniu należności wojsku nigdy nie myślał: ztąd Chodkiewicza długi, nacisk wierzycieli i troski wojownika. Za to miał tę nagrodę, że go czerniono nikiemnie na dworze królewskim. Słaby i niedołężny Zygmunt III wierzył w części tym podszeptom. W zbiorze listów znajdujemy jeden z dnia 10 Junii 1611 r., w którym zajmujące spotykamy szczegóły o spotkaniu się hetmana z królem: ten pragnął go sobie zjednać, wojownik zrzucił serca żałobę, jaką miał przeciw niemu.

W *Toloczynie* po naradzie tajnej z *Bobolą*, Zygmunt III zgodził się na to, aby Chodkiewicza upoić, spodziewając się, że prawdy łatwiej z niego dobędą, kiedy głowę zagrzeje. Zaproszono go do stołu królewskiego i cały orszak jego, z którym przybył.

„Kiedy mię pić już dobrze przygrzano (pisze do żony), pił do mnie Król i rzecze mi „*prze* zdrowie Waszmości, którego Waszmości życzymy uprzejmie.“

Podziękowałem uniżenie: zaczęm zaczęła się dobra myśl: kazano w trąby i bębny uderzyć—okrzyk w izbie! Dworzanie wszyscy, rozkazał Jego Królewska Mość, aby zdrowie moje wypili. Pił sam do żołnierzów i sług i moich za mojeż zdrowie. Owa przyszło nam z tój dobrej myśli, żechmy, stojąc około Króla, pili. Mnie się już mózg zagrzał.”

Dalszój sceny nie pamiętał, powtarza tylko, co mu przytomniejsi z niój opowiadali. Rozochocony zaczął się rozbierać i w delijce tylko przyszedłszy do króla, pytał go, dlaczego powątpiewa o jego do siebie przywiązaniu, i jeśli nie zna doświadczonój cnoty Chodkiewicza?

Zygmunt III odrzekł:

— Nigdy do tobie nie wątpił, ale obawiam się, bo wiem, że cię odrazić odemnie mogli, a tём rychlój mnie szkodzić, a po tobie jeździć; ale dzisiaj z tobą mówić nie będę, aż jutro i powiem ci nieco. A teraz pij do mnie!

Hetman wzięwszy szklanicę niemają wina, pocałowałszy króla w rękę, wypił do dna, poczem tęż samą szklanicę rozbił o własną głowę. Zygmunt III zawołał:

— Miły panie hetmanie, nie tłuczcie tój głowy: siła nan na niój zależy.

A Chodkiewicz odrzekł:

— I głowa i ręce zdrowe i serce stałe, jeno go królewską niełaską swą nie wątl.

Król podał mu rękę, oświadczając że wierzyć niczemu przeciwko hetmanowi niema, a ten przemówił:

— Miłuj nas, panie, starą szlachtę, bo my stanęliśmy i gotowiśmy byli pomrzeć przy tobie.

To mówiąc porwał go w swe objęcia i zaczął ścisnąć zalawszy się łzami. Król westchnął i łzy mu kręciły się w oczach i ścisnął go wzajemnie. Potém biegał na koniu pod oknem u króla, który chciał z nim pić: „jeno że mię haniebnie pijanego widział, tedy dał mi pokój. Wymacał tedy we mnie, żem *niefutrowany* sługa jego, i dziwnie był kontent, że mię takiego widział.“

Po tój sutęj uczcie, zdrów był *dobrze*, a na sercu uradowan że wszelkie niesnaski pomiędzy nim a królem usunięte zostały. Z pociechą tóż ze Szklowa żonie donosi, (dnia 28 Julii 1611 r.) jak liczne zgromadza chorągwie. Serce hetmańskie rosło na widok tych zastępów dobrze uzbrojonych i okrytych. Wpóśród tych pomyślności, srodcze dojeła Chodkiewicza wiadomość o śmierci dzielnego *Lisowskiego*, którego imię lotne jego pułki przybrały, walcząc następnie w Niemczech i nad brzegami Renu. Z całą przyjemnością pisze listy do swego syna Hieronima, nieszczędząc mu przy objawach swęj miłości, ojcowskich przestróg. Dbał troskliwie ażeby obok nauk, był pobożnym, i wypełniał wszystkie obowiązki religijne. Słowa te sędziwego hetmana, którego imię jako najpierwszego wojownika nietylko w kraju ale i w Europie chlubny rozgłos znalazło, musiały wywierać głębokie wrażenie na młodém pacholęciu.

Z grudniem 1611 roku kończą się listy Chodkiewicza pisane do żony i syna. W ostatnim czytamy te słowa z obozu: „Mnie czasu do pisania nie masz, noc nadchodzi, zbroja na grzbiet idzie, bo nieprzyjaciel jeno w miłę, a bić się niecnota nie chce.“ We dwa lata niespełna, dnia 2 lipca 1613 roku umarł mu ukochany syn Hieronim, mając rok szesnasty wieku. Nie był przy jego zgonie, nie zamknął oczu swemu jedynakowi, na którym pokładał tyle nadziei. Wielką była boleść nieszczęśliwego ojca, przykutego obowiązkiem hetmańskim do chorągwi. Matka mało życiem nie przyplącała tój straty, znajdując jedyną ulgę w gorącej modlitwie.

Mianowany wojewodą wileńskim 1616 roku, wbrew przyjętemu zwyczajowi nie odprawił wspaniałego, na który oczekiwano, wjazdu do Wilna. Sejm w kwietniu tegoż roku uchwalił wojnę na północy; najwyższą władzę otrzymał królewicz Władysław, ale dowództwo wyprawy i kierunek takowęj objął Chodkiewicz. Słaby i zgnębiony troskami hetman, z zamku swego Lachowic, na początku zimy pisze ożywiony nadzieją blizkich bojów, do przyjaźnego sobie *Benedykta Wojny* biskupa wileńskiego, że pragnąłby po odbyciu tój wyprawy, „ostatek spracowanego życia, gdzie w kąciku przyczaić.“

— Pracowało się (pisze) i harowało dosyć g'woli stawie i ojczyźnie, czas ostatek zachować sobie i miłym przyjaciołom i podpisać czasem.“

Nie przeczuwał ciosu jaki go dotknie. W ciągu tój wyprawy w listopadzie 1618 roku umarła mu ukochana żona, najmiejsza dłań

Zosienka. Straszny to był cios, niewysławiona boleść dla sędziwego hetmana!

Zofia na dwa z górą miesiące, w tychże samych Lachowicach, jakby spodziewała się rychłej śmierci, spisała testament d. 22 września 1618 roku. Mamy go w całości w wydaném *Muzeum* podany. W nim cała czysta dusza téj zacnej niewiasty, jéj pobożność, gorąca miłość dla męża i pozostałej jedynaczki Hanny jak w zwierciadle odbija. Gdy zwraca w nim myśl do małżonka swego, słowa jéj są pełne pokory, poddania się i uszanowania.

Chodkiewicz został się sam „jak sierota.” Stracił małżonkę, którą pierwszą, najgorętszą miłością serca ukochał, której zwierzał najtajniejsze myśli swoje. Cios ten podkopał zdrowie, zwątlone trudami obozowemi, głęboki smutek wyrzył się na obliczu hetmańskim.

Następnego roku wyprawił jéj dnia 4 lipca 1619 roku pogrzeb i pochował ją w *Kretyndze* (w dawném księstwie Żmudzkiem, o dwie mile od Połongi) w kościele bernardynów, który przed dziewięciu laty wymurował. Osamotniony przy domowém ognisku, kiedy nieco utulił się w swéj boleści i żałobie, we dwa lata po zgonie Zofii Mieleckiej, skłoniony namowami przyjaciół, którzy zbadali jego ukryte chęci zostawienia ze swéj krwi dziedzica *po mieczu*, postanowił zawrzéć powtórne związki małżeńskie. Znakomitego imienia urodna i młoda, bo w dwudziestym roku dziewica, Anna Aloiza księżniczka ostrogska, chętnie przyjęła swaty wielkiego hetmana i oddała mu swą rękę.

Chodkiewicz zamyślając o tych związkach, napisał testament w czerwcu 1620 roku i w Jarosławiu 24 listopada t. r. ponowił gody weselne. Nie były one radosne, bo już burza od Wschodu groziła straszną wojną, a sułtan *Osman* zaprzysięgał zgubę Rzeczypospolitej i zbierał potężne wojska. Chodkiewicz objął najwyższą władzę nad zgromadzoném rycerstwem. W sierpniu 1621 roku przeszedł Dniestr i zatoczył obóz pod Chocimem.

W bohatérskim poemacie *Wojna Chocimska* Wacława Potockiego, postać posągowa tego hetmana wydatnieje świetnie, czy go wielki poeta przedstawia w zbroi i na koniu na czele zastępów, czy gdy się modli w kaplicy namiotowej i przygotowywa na przyjęcie dumnego *Osmana*, który w pysze pogańskiej zapowiadał swój obiad w obozie polskim; czy bolejącego rzewnie nad utratą chorągwi: czy nareszcie złamanego śmiertelną niemocą, jak omdlewa bezsilny. Na ten widok poeta z okrzykiem rozpaczy i ze łzami woła: „Hetmanie mój złoty! Skończ rozpoczęte dzieło!” Ale na głos jego zwycięzca z pod Kirholmu nie ożywił się z martwoty. Przeniesiony w lektyce na zamek chocimski, w nim dnia 24 września 1621 roku zakończył życie.

Jeżeli kiedy przyjdzie pora, czyto w poważnym dramacie, czy w historycznej powieści, przywołać postać wielkiego hetmana, listy wydane w *Muzeum K. Swidzińskiego* będą dla wzywającego Chodkiewicza do zmartwychwstania, nieocenionéj wartości materiałem; z nich to pozna jego myśli, uczucia, charakter, słowem człowieka z krwi i ko-

ści, jakim był za życia w całym uroku prawdy. Biograf też bez nich obejść się nie może, jeżeli zapragnie wierny podać wizerunek jednego z największych bohaterów okresu panowania Zygmunta III-go.

Po listach samego hetmana następują cztery listy Zofii Chodkiewiczowej do syna Hieronima pisane; dalej piętnaście listów Hieronima Chodkiewicza a stryja naszego wojownika, dotyczące głównie spraw wojskowych, w czasie wypraw na północ od roku 1606 do 1611: siedm Aleksandra Chodkiewicza stryjecznego brata, w sprawach rodzinnych i jeden pisany do Zofii, po śmierci jej syna Hieronima. Kończy się zbiór cały listami Jana Karola Chodkiewicza do króla i do różnych osób od 1603 do 1621. W liczbie dwudziestu pomieszczonych tu za- bytków, ośm jest tylko nieznanych i poraz pierwszy tu ogłoszone, reszta już drukowaną była w Monografii Naruszewicza i Bibliotece warszawskiej; uzupełniają one przecież zbiór cały korespondencyi wielkiego hetmana.

Wydawca *Muzeum K. Świdzińskiego* wspomina w swój przedmowie, że w bogatym zbiorze autografów Wandalina Pusłowskiego przechowało się, jeżeli nie całe, to niezawodnie w znacznej części archiwum Jana Karola Chodkiewicza, a w nim ogromna ilość oryginalnych listów królów, książąt panujących i znakomitości owoczesnych do niego pisanych. Ważny ten materyał do życiorysu hetmana i historii jego okresu, ma być w dalszych tomach niniejszego wydawnictwa ogłoszony. Dowiadujemy się zarazem iż z szeregu przygotowanych do druku materyałów, na czele stoi rękopism dzieła nieznanego autora z czasów Augusta III-go p. n. *Dzieje krótko zebrane generałów artyleryi koronnej z wyjątkiem praw i prerogatyw przyłączonych do tej godności z ustaw i dziejów Królestwa Polskiego 1756 r.* P. Wład. Chomętowski z tego powodu pisze:

„W zbiorach Konstantego Świdzińskiego znajduje się kopia z dawnego rękopismu biblioteki puławskiej sporządzona. Porównanie z oryginałem lub w razie zaginięcia tegoż z innym odpisem byłoby wielce pożądaném. Upraszamy więc uprzejmie panów konserwatorów publicznych i prywatnych bibliotek o łaskawe udzielenie wiadomości i pomocy w razie znalezienia pomienionego dzieła.“

Powtarzamy te życzenia szanownego wydawcy, ażeby za pośrednictwem naszego pisma doszły do wiadomości szerszego koła miłośników dziejów i literatury ojczyściej, spodziewając się że publikacya tak szacowna i pożądana idąc ciągle, nie przerwie wydawnictwa *Biblioteki Ordynacyi Krasniskich*, której już mamy kilka tomów.

K. Wł. Wójcicki.

*Wieś Paczółtowie (monografia) przez Józefa Louis, w Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego 1874 r. (w 12-ce str. 174).*

Pierwsza to monografia małej wioski w literaturze naszej. Autor słusznie uważa, że jeżeli dzieje rodzin pojedynczych, lub szczegóły życia osób znakomitych, jak historia miast i grodów przyczyniają się do wyjaśnienia przeszłości; nie należy pomijać i skromnych siedzib rolniczego ludu, który, chociaż nie był prawnym czynnikiem w życiu narodowym, brał jednak po wszystkie czasy udział w jego dziejach, który krwią własną opłacał.

Kronika naszych wiosek, tam, gdzie potemu pomagają piśmienne dowody, nie sama tradycja żywego słowa jedynie, może dać bogaty materiał do historyi ludu wiejskiego i gospodarstwa dawnych wieków. Autor znalazł się właśnie w tém szczęśliwym położeniu, że dostał trafem stare rachunki gospodarskie wsi *Paczółtowie*, współczesne zapiski OO. Karmelitów *Bosych* z pustelni *Świętego Eliasza* i zwój dyplomatów, odnoszących się do téj wioski. Przejrzawszy nadto dawne akta sądowe grodu Krakowskiego, akta miejscowych i sąsiednich parafii i dworów, na téj podstawie podaje nam osnute z historyczną wiernością dzieje wsi *Paczółtowie*.

Wioska ta leży w dawném wojowództwie i powiecie Krakowskim, a w teraźniejszym Wielkim Księstwie Krakowskim, o trzy mile od Krakowa, na spadzie wzgórz biegnących ku Wiśle, wśród niegdyś głębokich, dziś już przetrzebionych lasów, w poprzecznym załamie wzgórza tworzącego granicę od Królestwa Polskiego. Wązka dróżyna, wijąc się z żyznych równin na lesiste wzgórze, wiedzie od zachodu z dworca drogi żelaznej w *Krzeszowicach* do *Paczółtowie*; granicami jéj z jednéj strony jest *dolina Ś-go Eliasza*, z drugiéj na wzgórzu *pustelnia* Karmelitów *Bosych*.

Uboga to wioska, bez dworu, o nędznych i dymnych chatach, z drewnianym kościółkiem i skromną szkołką. Nic tu nie przypomina dawnéj świetności: wsiąkała bez śladu krew rycerska i obfity pot wieśniaka.

„Lud cichy i spokojny (mówi autor) wychował się w téj włości, nie dosłyszysz się skargi na niego, nie dowiesz o kradzieży lub bójce karczemnej, a choć opuszczony i przez wieki pozbawiony opieki dworu pańskiego, dożył w tém osamotnieniu i ubóstwie czerstwo i moralnie do dni dzisiejszych.”

Tradycja miejscowa przypisuje założenie téj osady *Paczółtowi* rycerzowi Bolesława Śmiałego; pomniki piśmienne dochowane, wspominają tę wioskę już w roku 1398.

W dwa wieki z górą później, Agnieszka Firlejowa zakłada pustelnię dla *Karmelitów Bosych*, a *Paczółtowie* przechodzą na własność tego zakonu. Nie będziemy przechodzili dalszych losów téj wioski za autorem, powiemy tylko, że dla myślącego badacza następna kronika



wioskowa dostarcza drogocennego materiału do wtajemniczenia się w dolę i niedolę naszych osad rolniczych. Lud był wystawiony na samowolę swych dziedziców, a ciężary coraz większe przygniatały biednych włościan. Losy rolników Paczołtowiec, jakie rozwija nam p. J. Louis, były wspólne i podobne do innych wiosek w całej Polsce. Pomnażano bezprawnie dnie pańszczyzny i powiększano daniny w drobiu, ziarnie i opłatach.

Jakiś doniosłości byłyby tego rodzaju poszukiwania dla dziejów wewnętrznego życia z upłynionych wieków, stawia nam wymowny dowód monografia Paczołtowiec, tak sumiennie i mozolnie opracowana. Nie możemy pominąć obrazu, jaki nam autor stawia przy końcu swego dzieła, mówiąc o chłopkach rodem z tej wioski. „Żywo stoi nam w pamięci przeklęty od Hiszpanów *infernor picador Feliks Lächer* ze Zbiga, rzeński starzec, który jeszcze w roku 1854 pokazywał szwoleżerom austriackim na placu musztry w Krzeszowicach, jak wsiadał na konia ułan polski z lancą w powietrzu <sup>1)</sup>; siedzą na progu parafialnego kościółka *Jan Łysek i Sebastyan Inderski*, żołnierze Chłopickiego; dziś jeszcze wita u wrót swęj ubogiej chatki siwowłosa *Andrzej Molik*, żołnierz z pod Loebau, Drezna i Lipska z bonem francuzkim za odniesione rany i żołd niezapłacony w rękę, pyta się na- iwnie, ażali zapłata za krew nigdy nie nastąpi?...

Spełnił więc i włościanin Paczołtowski sumiennie obowiązek a wydając sąd o nim na końcu historii jego ogniska, śmiało za Brodzińskim powtórzyć możemy:

„W pomoc kraju biegał  
Za pańskimi syny,  
Wszędy on należał,  
Prócz zysku i winy.”

Już poprzednio zaczawszy od Hugona Kołłątaja głębsi myśliciele zwracali uwagę na konieczną potrzebę badania bliżej naszego ludu, w jego podaniach, pieśniach, powieściach, w których się przechowały dawne szczątki dziejów narodowych, jak myśli i wiara z czasów przedchrześcijańskich, które, jak mrówka w bursztynie przeżyły jednakże dziesiątki wieków.

Pojęli dobrze tę przestrożę, badacze dziejowi naszego okresu; to też skrzętnie poszukują nietylko zabytków do historii grodów, ale osad wioskowych. Z prac D-ra Józefa Łepkowskiego profesora archeologii w uniwersytecie Jagiellońskim, przekonywamy się o tém dowodnie. (*Z przeszłości szkice i obrazy. Opis okręgu Krakowskiego*).

<sup>1)</sup> To przekleństwo hiszpańskie *infernor picador*, otrzymali szwoleżery pod dowództwem H. Kozietulskiego po zdobyciu wąwozu *Somo-Sierra*, który zamykał drogę Napoleonowi I-mu do Madrytu.

Zgasły niedawno wielki poeta i znawca kraju Wincenty Pol, geograf i etnograf zarazem, w pośród rodów ludowych w Tatrach i Podgórzu poszukiwał śladów najdawniejszego języka polskiego, wskazując te rody, które jeszcze biblijny *Wujka* przechowały, i te okolice, z których język piśmienny powstał.

Jeżeli poezja nasza odżywiła się pod wpływem przeważnym ludowych pieśni, jeżeli one dały jej prawdziwą prostotę, rzewność i szczerość, od której przez cztery wieki stroniła; to badacze życia ludu i tych pamiątek, które zachował, nie mało już wnieśli grosza wdowiego do skarbnicy wiedzy rodzinnej. Obecnie P. J. Louis, nową nam drogę wskazuje do pracy około kronik pojedynczych wiosek polskich.

Wl.

*Dawny zabytek języka polskiego w Żywocie Ojca Amandusa.*  
Opisał ks. Ignacy Polkowski z jedną tablicą podobizny. Gniezno 1875 r. w (8-ce, str. 31).

Ćwierć wieku, jeżeli się nie mylimy, upływa od chwili, jak rozeszła się po naszych pismach pogłoska o dokonaniem przez *Vogta* odkryciu zabytków języka polskiego z XII stulecia. Niepodobna wypowiedzieć, z jaką żądzą miłośnicy przeszłości oczekiwali ukazania się tego okrucza dźwięków Piastowskich. Pobożne życzenia! niespełnione i to w epoce, kiedy odkopujemy zwaliska Troit!

Wprawdzie język XII wieku dochowanym został pod pewnym względem, żyje on *pokładowo* w mowie obecnej, i nieraz w najpotoczniejszym wyrażeniu, bezwiednie potracamy o skamieniałość jednej z pierwotnych epok. Ale nie mogą one zastąpić żywego, ciągłego tekstu, nie mogą sprawić nam tej naukowej rozkoszy, jaką budzi w przyrodniku widok przechowanego wybornie i w całości okazu paleontologicznego.

I dlatego z zapałem przyjmujemy doniesienia o zdobyczach z epoki chociażby mniej odległej. Koniec wieku XV nie bez zasady zaliczyć można do owych chwil zwrotowych, kiedy to mowa narodu, z plemion, przetwarza się stanowczo na organ poważniejszych myśli i życia wewnętrznego. Autor wspomnianego dziełka przedstawia nam wyjątki z odkrytego przez siebie *Żywota pobożnego Amandusa*, zakonnika z Ulmu. Żywoć ten miał być napisanym przez Feliksa Fabra, mistrza i brata w tymże zakonie. Rękopism, podług domniemania ks. Polkowskiego, „bądź w oryginale, bądź w odpisie dostał się do Polski prawdopodobnie do braci zakonu ś-go Dominika, i od jednego z zakonników przetłumaczonym został na język polski najwcześniej po roku 1450, najpóźniej po r. 1502, i kto wie czy [nie z zamiarem by był drukowanym.“

Ks. Polkowski na wstępie daje nam ścisły opis manuskryptu, a następnie przedstawia swoje domysły o czasie, do jakiego ten pomnik odniesionym być może. Rękopism spisany jest „na mocnym, klejowym, nieco pożółkłym papierze, mającym w wodnych znakach podłużną ozdobną koronę.“ Nie ma on tytułu, który jednak zdaniem ks. Polkowskiego powinien być taki: „Żywot wielbnego Ojca Amandusa, zakonu kaznodzijskiego, zebrany z pism jego przez Ojca Feliksa Faber, przetłumaczony z łacińskiego na polski przez“....

Daléj ks. Polkowski zamieszcza kilka rysów z życia O. Amandusa; jego świętobliwy charakter, jego prawdziwie średniowieczny ascezyzm, pobożność, wizye religijne i t. d.

Opierając się na języku czystym, nieskażonym obczyzną, ks. Polkowski wnioskuje że rękopism nie może przechodzić r. 1510.

Następują poglądy, jakie się autorowi nastreczyły przy czytaniu rękopismu. Dotyczą one głównie pisowni. Tak np. niema tam samogłoski *o* przekreślonej pionowo prostopadłą linijką, (a zastępującej miejsce nosowych *q, e*); lecz zamiast niej widzimy *a* z kręską u dołu. Zamiast *kwiāt, kwiecie*, mamy tu *quyath, quyecze* i t. p. Uwagi te są ważne i z tego względu, że nam zastępują poniekąd całość, aż do chwili kiedy ta ogłoszona zostanie drukiem. Zauważyliśmy jednak, że ks. Polkowski odnosi do pisowni i to, co odnieśćby wypadało raczéj do formacyjnych własności. Tak np. (karta 14) mówi ks. Polkowski:

„Nigdzie nie znalazłem *l* ale zamiast niej głoskę *l* (to rzeczywiście jest szczegół ortograficzny) czasem téż *opuszczono* ją zupełnie.“  
Zdaniem naszym nie jest to bynajmniej wyskok pisowniczy; albowiem słowa rękopismu: *spotka się, obróci się* i t. d., uważać należy za nadzwyczaj ważny zabytek formacyi słowiańskiej (czasu przeszłego w słowach).

Podobnie z formą: *miedźwiedz* (zamiast *niedźwiedz*), autor uważa za szczegół ortograficzny, gdy tymczasem jest to forma *gramatyczna*, i jak dotąd, ludowa. Podobnie forma zaimka *gi*, to jest *ji* (zamiast *go*) właściwiéj było nazwać gramatyczną. Forma ta bowiem ciągnie się jeszcze przez cały wiek XVI. Podobnie zastąpienie wyrazu *grzbiet* wyrazem *chrybiet*, niewłaściwie odniesione jest do pisowni, gdyż wyraz *grzbiet*, jest niczém inném jak ściągnięciem *w chrzebiet* (jak to widzieć można na wyrazie *pochrzept*).

W drugiej części uwag „nad pisownią“ ks. Polkowski daje słowniczek niektórych wyrazów, wiernie wypisanych z rękopismu, bez „żadnych jednakże nad niemi uwag.“ I tak np:

*Angyol* (anioł), jest to poprostu nieprzerobiony jeszcze z greckiego lub łacińskiego *angelus*.

Do słowa *gladał*, ks. Polkowski daje w odsyłaczu objaśnienie: „z rosyjskiego *gladiet*.“ Objaśnienie to niedalekie od prawdy, należało sformułować ogólniej. Przynętem pozwalamy sobie przypuszczać, że tu tłumacz Fabra napisał przez głoskę nosową (*gládał*). Wyraże-

nie w *zdzeń* (zamiast w *dziēn*) jest równieŝ (nie pisowniczym, lecz) morfologicznym zabytkiem, tak jak *wzgore*.

Po takim wstępie następują obszernie wyimki z rękopismu, przedewszystkiem zaś ogólna treść rozdziałów, których pewnej liczby braknie w samym rękopiśmie.

Zabytek ten o ile wnioskować możemy, z cząstki przedstawionej nam przez ks. Polkowskiego, stanowić będzie nadzwyczaj ważny przyczynek do dziejów języka.

Z czysto-językowych zasad, rękopism ten powinien być odniesionym rzeczywiście nie dalej, jak do drugiej połowy XV wieku; albowiem dostrzegamy w nim prawie ten sam nastrój gramatyczny, (pomiijając różnicę w pisowni) jak i w biblii Szarosz-patackiej, odnoszącej się do r. 1455. Wszakże występują w nim tu i owdzie pewne cechy, pokazujące nieco późniejsze pochodzenie.

Cechy te są następujące:

a) Rzadsza aniżeli w biblii Szarosz-patackiej, polaryzacja spółgłoski nieměj (w rodzaju męzkim), która w tak wysokim stopniu przypomina starą słowiańszczyznę. „W początce“ (w Szarosz-pat.), tu zaś w początku. I tu jednak spotykamy formę: w *Bodze*.

b) Rzadsze rozkłady słowa (w czasach przeszłych) na imiesłów „umarły był.“

Częstsze postawienie końcówki *om* zamiast *am* (w przypadku 3-im liczby mnogiej).

c) Częstsze użycie zaimka *który*, zamiast słowiańskiego *jenie*.

I przeciwnie: są tu kształty, dające wiele do myślenia. I tak bezprzyimkowy przypadek 7-my „zimie,“ który przypomina staro-słowiańskie miejscowniki (*gorie*, na górze, *Kijewie*, w Kijowie). Są i pierwiastki przypominające epokę odleglejszą, aniżeli wiek XV. Takim jest pierwiastek *Kus* (późniejsze *kęs*), od którego w obecnym zabytku mamy słowo *zakusić*, to jest, zażyć, a w dzisiejszym języku: *pokusa*, *kusić* i t. p. Mogą to jednak być tylko wyjątkowo przechowane w XV wieku szczątki dawniejszych epok.

W samym końcu ks. Polkowski zamieścił podobiznę, obszerną i starannie wykonaną.

Obok ważności przedmiotu i sumiennego sprawozdania, obok trafnych spostrzeżeń i wniosków i zewnętrzna ozdobność wydania (niestety, tylko w stu egzemplarzach), nadają szanownemu pracownikowi prawo do głębokiej wdzięczności ogółu. I dla tego szczerze pragniemy, aby zamierzone wydanie rękopismu w całości, przyszło jak najrychlej do skutku.

F. J.

*Sprawozdanie komisji konkursowej i rozdanie nagród za utwory sceniczne w roku 1875.* Rok V. Nagrody hrabiów Franciszka Łubieńskiego, Artura Potockiego, p. Ludwika Oraczewskiego i dyrekcji teatru krakowskiego. W Krakowie, w drukarni Leona Paszkowskiego 1875. (w 18-ce str. 33).

Po wielokół powtarzanych konkursach dramatycznych w Warszawie, zawsze w łonie redakcyi Biblioteki Warszawskiej lub przy jej udziale odbywanych, od pięciu lat ukazały się takowe w Krakowie, i żywe obudzają zajęcie pomiędzy młodymi zwolennikami literatury dramatycznej, sprawdzając wszakże dawną na sobie przypowieść, że gdzie „wielu powołanych, tam mało wybranych.” Jakoż ani konkursu w Warszawie, ani w Krakowie nie obdarzyły nas dotąd znakomitęm dziełem, któreby rzeczywistą ozdobą i trwałą pozostało w tój gałęzi; znalazły się tylko utwory mające chwilowe powodzenie na scenie, lub w czytaniu udatne.

W dziejach literatury polskiej uderza szczególnie ubóstwo dzieł dramatycznych. Z końca XVIII wieku wydatniejsze postać z ogromnym talentem *Franciszka Zabłockiego*; zbiór jego komedyi, obecnie zapomnianych, powinien być wzorem do studyów, dla każdego, który swe pióro w tym kierunku poświęca. Tęm więcej go zalecać musimy, gdyż język Zabłockiego w dyalogach dochodzi do tój doskonałości, jakiej żaden z późniejszych nie osiągnął, a tylko jeden Aleksander Fredro w *Zemście* potrafił się przybliżyć.

Ze ten rodzaj ma niesłychany powab dla każdego pisarza, mamy dowody w próbach zacząwszy od Ignacego Krasickiego. Najwięksi poeci z ostatniego okresu, nie ubogacili literatury prawdziwym dramatem; nawet Juliusz Słowacki pozostawił tylko genialne próby.

A. E. Odyńca *Felicyta*, *Barbara*, *Jerzy Lubomirski*, są cudnemi poematami dramatycznymi, ale nie dla sceny; pozostaną jednakże jako arcydzieła w literaturze krajowej. Przyszajmy, że bogatsi jesteśmy w dramata rzeczywistej wartości (Józefa Korzeniowskiego: *Górale Karpaccy*, *Batory* i w. i.) aniżeli w komedye, gdyż ostatniój jedynym dotąd przedstawicielem, stoi w posągowej postaci, samotny, genialny, sędziwy Aleksander hr. Fredro.

Scena potrzebuje coraz świeżego żywiołu, w miarę postępu rozwoju, pragnień, myśli i upodobań społecznych. Zmieniają się one z wpływem czasu i występują nowe idee, nowe kierunki, a pod ich wpływem i nowe charaktery, bez względu na ich wartość moralną. Ocena ich, podniesienie szlachetnych i jasnych, jak napiętnowanie pogardą, nizeczemnych i podłych, jest zadaniem właśnie komedyi: i w obecnym okresie, jeżeli dramat wzniosły czerpany z dziejów, byłby uczcą duchową, to komedya malująca wiernie społeczności naszej dodatnie i ujemne strony, porywy i pragnienia, więcejby pożytku moralnego dała i scenę krajową podniosła.

Czujemy, że daleko trudniejszém zadaniem jest napisanie dobrej komedii, aniżeli dramatu. P. Estrejcher autor sprawozdania *komisji konkursowej* i jej czynny członek, zwraca trafną na to uwagę z doświadczenia czerpaną w kilkoletnich konkursach. W ostatnim, sześć dramatów zwróciło na siebie uwagę: żadna komedya nie miała tego powodzenia.

„Z natury przedmiotu wypływa (pisze on), że łatwiej jest u nas o dramat odpowiadający warunkom scenicznego powodzenia niżeli o komedya. Nie rozumiemy tu komedii krotofilnej, lecz w konkursie myślimy o komedii wyższej, społecznej doniosłości. Autor, mający niejaką świadomość kunsztu dramatycznego, może zwłaszcza jeżeli wierszem pisze, pochwycawszy którykolwiek a afektowy dziejowy temat, lub wypadek jaki tragicznością nacechowany, wydobyć z tego udatne tło dramatu. Może on tylko podnieść narzucające się jemu z treści przedmiotu efekta. Wrażeń tych dostarczą mu znane tragiczne fakta, dostarczą postacie charakterystyczne, obudzające litość lub grozę. Wielkie namiętności, starcia się tychże, będące kanwą dramatu, same przez się (jeżeli wypowiedziane są odpowiednim, podniosłym językiem) przemówią do widza i słuchacza. Namiętności spożytkowane w dramacie, trzeba tylko umieć oświecić żywo lub jaskrawo.”

Nie możemy się wszelako zgodzić z autorem na powody, że położenie dzisiejsze społeczności, stawia największą trudność dla autorów komedii. Materiał potemu nie *jest uboższy* jak u innych narodów, i w każdym okresie go nie zabraknie, gdyby się mógł znaleźć drugi Fredro. Najlepsze jego komedye jak *Geldhab*, *Przyjaciele*, *Słuby Pamięńskie* i *Zemsta*, są to utwory, niemające żadnego związku z położeniem politycznym społeczności. Ze zaś charakterów wydatnych, a nawet oryginalnych u nas nie braknie, najlepszym dowodem są powieści obyczajowe.

Prawdą jest, że wyzwoliwszy się z pod przewagi ucisku obcych romansów przyszliśmy do powieści własnej oryginalnej; że gorąco życzymy, aby na drodze szczególnież komedii mogliśmy dojść do tegoż wyswobodzenia sceny naszej; ale wątpimy czy droga konkursu, jak autor *sprawozdania* pisze, ułatwi to trudne zadanie. Piąty to już konkurs w Krakowie i Lwowie ogłoszony, a ani w roku 1873, ani 1874, żaden z utworów nie otrzymał pierwszej nagrody, a uwiecznione nawet, nie są to dzieła, któreby poważne zająć mogły miejsce w tej gałęzi literatury.

Powieść polska, której rzeczywistym twórcą jest J. I. Kraszewski, znalazła liczny szereg niemal równocześnie znakomitych talentów, jak J. Korzeniowski, Chodźko, Rzewuski, Kaczkowski, Dzierzkowski, Łoziński, a z kobiet Gabriella, Morzkowska, Orzeszkowa, Sadowska, nielicząc innych. Nie był tak szczęśliwym genialny Fredro, bo tylko po jego drodze poszli J. Korzeniowski, którego dramata wyższej są wartości od komedii, i Stanisław Bogusławski komedyopisarz z prawdziwym dowcipem lubo często rubasznym.

Brak talentów, oto główny powód, dla którego daremnie wyczekujemy na dobrą, społeczną komedię: téj dotychczas konkursu wywołać nie potrafiły.

Na konkurs tegoroczny zebrało się aż 47 utworów tak dramatów jak komedii, z tych pierwsze miejsce dano *Athei*, tragedyi starożytnéj greckiej dla jéj wartości literackiej. Odczytano ją z upodobaniem, ale niewieńczono, jako nieprzydatnej dla sceny: autorem jest F. Faleński, znany pod pseudonymem *Felicjana*. Uzyskał za to ogólne uznanie komisji konkursowej dramat w pięciu aktach *Mieczysław II-gi p. Adama Belcikowskiego* i ten otrzymał pierwszą nagrodę w kwocie zł. reńskich 583, drugą *Dramat bez nazwy*, (autor nieznany z nazwiska) zł. r. 300, trzecią *Wesele zdobywcy* Juliana z Poradowa (p. Paulina Mörs) zł. r. 200, czwartą komedya *Kupno i Sprzedaż* Jana Baptisty (Jana Zacharyasiewicza) zł. r. 100. Dramat *Niewinni* w 3-ach aktach, został zalecony dyrekcji teatru. Autorem téj sztuki jest p. Władysław Okoński z Warszawy.

Broszurka p. K. Estreichera pozostanie jako zajmujący przyczynek do dziejów teatru polskiego.

R.

- 1) *Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1872/3, rok czwarty*. Warszawa r. 1873, 8-ka więk. str. 276 i LII. 2) *Pamiętnik z roku szkolnego 1873/4, rok piąty*. Warszawa 1874, 8-ka więk., str. 317 i XLIII. 3) *Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki religii i moralności dla głuchoniemych, opisany przez nauczycieli religii Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, kurs pierwszoletni*. Warszawa 1874, 8-ka więk. str. 224.

Powazne wydawnictwa Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, nie są ocenione w naszym piśmiennictwie, jak na to zasługują.

W Bibliotece Warszawskiej z r. 1872 (maj i listopad) znajdzie czytelnik recenzję książek przez Instytut warsz. głuch. i ociemn. wydanych. Przez dwa ubiegłe lata Instytut wydał dwa powyższe Roczniki wymienione. W roku trzecim Pamiętnika (1872) znajdujemy początek historii Instytutu; w roku czwartym (1873) mieści się ciąg dalszy, mianowicie:

Zarząd pierwszego rektora, księdza Jakóba Falkowskiego, czyli okres czasu od dnia 23 października 1817 r. do 2 września 1831 r.

Znajdujemy tutaj wiele ciekawych faktów i pouczających. Tu w całej prawdzie przedstawia się ten szlachetny, pełen poświęcenia filantrop.

Historya Instytutu jest pióra znanego dyrektora tegoż Zakładu. Kilkanaście dokumentów, drukowanych jako dopiski czynią tę pracę źródłową i w całości rzecz wyczerpującą. Tegoż pióra są życiorysy

dobroczyńców Instytutu. W trzecim Roczniku czytaliśmy życiorys dra. Jana Bęcwicza, w czwartym (1873) mieści się życiorys Michała Kazanowskiego i Berka Szmulowicza Sonenberga. Berek był synem głośnego w pamięci ludowej *Szmula Zbitkawera*<sup>1)</sup>, posiadacza gruntów pod Pragę (Szmulowszczyzna). Dorobił on się wielkiego majątku, a hojne szafowanie tym majątkiem i działalność jego, oparta na humanitarném poczuciu obywatelstwa zasługuje na uznanie i wspomnienie.

Spotykamy nowy dział w Pamiętniku, którego dotąd nie było: są to rozbiory i krytyki. Znajdujemy rozebrane dzieło elementarne: *Obraz i słowo Chocholouska* (Lwów 1852), *Elementarz Brzeskiego* (Poznań, 1872, 1873), *Gramatykę polską Olpińskiego* (Lwów 1872), *tudzież Arytmetyki Nalepińskiego* (Warszawa 1858), Stachowicza (Warsz. 1872) i Jeskiego (Warsz. 1873). Prace te krytyczne nie są bez zalet. W dziale tym zwraca na siebie uwagę tak obszernością jak i bogactwem mało znanego u nas materyału praca p. Moczydłowskiego p. t. *Słowo o najnowszych elementarzach, poprzedzone historycznym poglądem na metody nauki czytania*. Artykuł ten zyskał sobie wiele pochlebnych wzmianek naszej prassy. Jak sam tytuł pokazuje, składa się on z dwóch części. Wielu a może nawet z wykształceńszych ludzi nie przypuszczało może, że nauka czytania może mieć swoją historję, a przecież tak jest rzeczywiście. W r. 1868 cesarz austriacki zatwierdził ustawę o radzie szkolnej dla Galicyi; odtąd datuje się tam ożywiony ruch na polu pedagogiczném. Najpierwszą książką był *Zarys dziejów nauki czytania* celem zawiązania dydaktyki narodowej i reformy elementarza (Kraków 1868, str. 198, 8-o min). To dzieło było pomocą p. Moczydłowskiemu przy pierwszej połowie jego pracy, mówiącej o metodzie sylabizowania, o sylabizowaniu przy pomocy pisania lub liter ruchomych, o metodzie *wyrazowania* (Olivier, Wittmer, Trętowski) o wyrazowaniu połączoneń z pisaniem, i oceniającej elementarze podług tych metod ułożone. Trętowski uchodzi u nas za twórcę *metody polskiej*, metody *doraźnego czytania*, jak ją w naszych czasach nazywano; inaczćj wszelako rzeczy się przedstawiają. Na długi czas przed ukazaniem się *Chowanny* (t. j. przed r. 1842) racjonalny sposób nauki czytania jest już popierany. Tak wnosimy z *Elementarza Wądołowskiego* 1834, który jest przeciwnikiem sylabizowania (str. 4) a także z *Elementarza Odrowąza* (Kamińskiego) 1838 (drugie wydanie

1) W czasie nieszczęsnych okoliczności po zdobyciu Pragi 1794, Szmul, wyjednaawszy zezwolenie zwycięzcy, ogłosił, że ktokolwiek z wojska przyprowadzi do niego żywego mieszkańca Pragi, czy to żyda, czy chrześcijanina, otrzyma nagrody dukata w złocie; kto przywiezie umarłego dla oddania go ziemi, otrzyma rubla. Dwie baryłki złota i srebra wnet się wypróżniły, ale za to tysiące ofiar wyrwano śmierci niechybnój, tysiące pogrzebiono ze złości, jak należy dla umarłych.



jego Abecadlnika było w Wilnie 1860 r.), tudzież ze zdrowo i praktycznie napisanej broszury p. t. *O nowym sposobie uczenia czytać bez abecadla i sylabizowania* (Wilno 1841 r. 8-o maj, str. 24).

W drugiej połowie pracy p. Moczydłowski rozbiera najnowsze metody i elementarze Dawida, Jana Kamińskiego, ks. Bujakowskiego, Anczyca, F. Słowińskiego, Jeskiego, Stołpiańskiego i Elementarz samouctwa. Nie wiemy tylko jakim prawem znalazł się tu elementarz Anczyca, gdyż metodyczne względy a nie piękne wydanie, stanowią o prawdziwej wartości elementarza. Artykuł sumienny i pracowicie obrobiony.

Autor nie wyróżnił od innych *Metody pisania i czytania Estkowskiego* (Poznań 1862, 8-vo maj. str. 90), która wskazuje bardzo obszerny materiał nauczycielowi odnośnie do początkowego obchodzenia się z dziećmi <sup>1)</sup>. Co więcej, autor nie dotarł do najważniejszych punktów.

S. Zarański *Zarysem dziejów nauki czytania*, z którego p. Moczydłowski korzystał, utorował sobie drogę do napisania dwóch książek z poprzednią się łączących: *Elementarz pierwszy, ułożony śladem dziejowego rozwoju nauki pisania i czytania* (Kraków 1869, str. 156) i *Wykład elementarza ułożonego śladem dziejowego rozwoju nauki pisania i czytania* (Kraków 1869, str. 211). P. Zarański podnosi w Zarysie dziejów czytania *Elementarz* b. komisji edukacyjnej 1775 r. (Kopczyńskiego <sup>2)</sup>) i *Elementarz* b. izby edukacyjnej warszawskiej 1810 r. (Wolskiego), jako metodą indukcyjną ułożone, która jest jedyną w początkowym nauczaniu i której sam jest stanowczym zwolennikiem <sup>3)</sup>. Na tej podstawie korzystając z „Elementarza“ Wolskiego i z nowszych prac, a także z Estkowskiego (Książka do pierwszego czytania. Cz. II. Berlin 1854, str. 148) wprowadziwszy do elementarza żywiół historyczny, co ma dużo znaczenia, ułożył p. Zarański powyższe dwie książki, które dzisiaj ostatnim są wyrazem w postępie elementarza. Lubo p. Zarański nie jest fachowym nauczycielem, lubo w elementarzu jego zaprędkie są przejścia, potrzebujące wypróbowania i dopełnienia; lubo nie we wszystko w wykładzie elementarza nauczyciel wierzyć może jak w ewangelią: wszelako elementarz p. Zarańskie-

<sup>1)</sup> Co témbardziej zasługiwało na uwzględnienie, że Estkowski oparł się na zasadach b. izby edukacyjnej i dziełka przez izbę w r. 1811 wydanego p. t. *Przepisy dla nauczycielów, dających naukę początkowego czytania*; wiele materiału, odnośnie do rozmów nauczyciela z dziećmi, do swęj Metody wcielił.

<sup>2)</sup> P. Moczydłowski, idąc za Zarańskim, elementarz komisji przypisuje Piramowiczowi, tymczasem zdaje się niepodlegać już wątpliwości, że autorem jego jest Onufry Kopczyński.

<sup>3)</sup> Zob. cenne dziełko tego autora, wydane bezimiennie jak i powyższe jego prace, p. t. *O zasadzie w układaniu dzieł elementarnych*, Kraków 1869 r. str. 64.

go jest wyborym, a wykład elementarza jest jedyną książką dającą tyle materiału nauczycielowi do rozmyślenia, tyle środków do wyboru i ulepszenia. P. Moczydłowski o tém wszystkiém przemilcza.

Ważnym jest niemniej drugi zarzut, że autor nie wspomiał o elementarzu Hip. Seredyńskiego (*Nauka czytania poprzedzona pisaniem*. Wiedeń 1870 r. 8-o min. str. 151), z polecenia rady szkolnej ułożonym i do użytku szkół początkowych przepisany. Elementarz ten domagał się koniecznie rozbioru, jako jedyny elementarz polski, aprobowany przez ciało zbiorowe pedagogów, a więc w oczach ogółu za najlepszy uchodzący; a w następstwie rzeczy jako najbardziej rozpowszechniony (drugiego jego wydania 1873 r. było 80,000 egzempl.). Mimochodem dodajemy, że elementarz ten nie uszedł słusznych zarzutów krytyki, już to we względzie samej metody syntetycznej, już we względzie nieodpowiednio dobranych wyrazów, a następnie całych ustępów do czytania, z pominięciem rzeczy koniecznych, np. życia wiejskiego i pracy około roli. Komisya dla książek elementarnych utworzona przez radę szkolną, przygotowała już do druku elementarz (na podstawie Seredyńskiego) i książkę do czytania, które niebawem ukazać się mają. Przez to właśnie, że p. Moczydłowski nie uwzględnił najświeższych postępów w tym kierunku, że książki powyższe pominięte zostały, artykuł jego traci wiele, jako niedokończony.

*Uwagi nad metodycznym wykładem nauki Religii i Historii świętej, skreślone przez Brzeskiego, nauczyciela Instytutu Głuchoniemych w Poznaniu* (od str. 112 do 167).

P. Brzeski w zupełności oddał się sprawie głuchoniemych, poświęcając jéj czas swój i zdolności. Pracowity ten i wykształcony nauczyciel, wtajemniczony jest w zupełności w metodykę niemiecką, która bądź co bądź, pierwsze trzyma miejsce w Europie <sup>1)</sup>. Jego „Uwagi” dowodzą wytrawnego i wypróbowanego na rzecz poglądu. Jest to umysł samodzielny, rzetelnie pojmujący potrzeby dzieci głuchoniemych, skoro nie dał się uwieść szematyzmowi niemieckiemu, który tak ucze-

<sup>1)</sup> Pan Brzeski chwile zostając mu od zajęć w Zakładzie poznańskim poświęca naukowym pracom na polu głuchoniemstwa. „Uwagi nad wykładem religii” są wyjątkiem z jego pracy przygotowanej do druku p. t.: *Przewodnik do nauki głuchoniemych*. Prace atoli p. Brzeskiego nie tylko dla samych głuchoniemych mają znaczenie, czego dowodem być mogą drukowane książeczki jego p. t.: *Obrazkowy elementarz nauki pisania i czytania*, oraz początkowego języka polskiego dla początkujących dzieci. (Poznań, nakładem Żupańskiego, cz. I 1872, cz. II 1873). Jest to elementarz rzetelnej wartości. Znajdujemy tu racjonalny układ następstwa brzmień w nauce czytania. Po samogłoskach następują dźwięki p. t. k. ich kombinacje z samogłoskami i zaraz wyrazy z tych dźwięków się składające, a objaśnione ubocznym rysunkiem. Dalej w podobny sposób idą b. d. g. etc. Elementarz ten jest wyborym dla mniejsz

nie i pięknie na papierze wygląda. Umyślnie o pracy téj wspominamy przy końcu rozbioru czwartego roku Pamiętnika, aby ją zestawić z obszerną pracą p. t.: *Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki religii i moralności, opisany przez nauczycieli religii Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych*, która zajmując 224 stronnic ostatniego Pamiętnika (rok piąty), przeszło dwie trzecie objętości tego tomu sobą wypełnia.

Zestawienie tych dwu prac, jako jeden przedmiot traktujących, na niektórych punktach tylko miejsce mieć może, gdyż założenie i rozmiary mają różne. Już same tytuły pokazują, że praca p. Brzeskiego, to tylko uwagi nad wykładem religii; praca zaś nauczycieli Warszawskiego Instytutu, stanowi systematyczną metodę wykładu tego przedmiotu. P. Brzeski dotyka całego kursu nauki religii i Historii Świętej, której początek sięga jeszcze domu rodzicielskiego, gdzie się przedwstępne pojęcia w dziecku mają wyrabiać (str. 121, 130, 135). Nauka religii starszych głuchoniemych, nie powinna się różnić od nauki dzieci słyszących (str. 152). Historia Święta zaś dwa razy powinna być wykładana: pierwszy stopień jest *przygotowawczo-elementarny*, mający na celu opisanie w najprzystępniejszej formie *obrazków biblijnych*; drugi zaś *opisowo-dydaktyczny*, czerpiący z książki podręcznej *naukę i przykład* do naśladowania (str. 156).

Praca nauczycieli Warszawskiego Instytutu, odnosi się tylko do pierwszego roku nauki religii głuchoniemego; zajmuje się rozjaśnieniem pojęć dzieci o świecie zewnętrznym, o człowieku i jego warunkach fizycznych i moralnych, co prowadzi do wzniosłego pojęcia Stwórcy i jego przymiotów, przyczém zajmuje się zaszczepieniem pojęć do-

zdolnych zwłaszcza i mniej chętnych dzieci do nauki, gdyż zawiera do 500 rysunków. Na takim słowniczku ilustrowanym, nauka czytania zamieni się więc dla nich w miłą bardzo zabawkę, bo do przeczytania wyrazu zachęca się dziecko rysunkiem przedmiotu; już najprzód odgaduje z rysunku, co to za wyraz: czytanie więc zamienia się, jakby w sprawdzanie znaczenia obrazków. Prassa poznańska i galicyjska, bardzo poohlebnie pracę tę przyjął, w naszym piśmiennictwie jedyną recenzją spotykamy właśnie w Pamiętniku Instytutu. Recenzent rozszerzył się głównie nad wyliczaniem drobnych usterek i prowincjonalizmów, co dodatek tylko do rozbiorów stanowić zwykło, a o każdy nauczyciel, choćby przy średniej znajomości swego języka i przy pomocy słownika wileńskiego i gramatyki Małeckiego sprostować może. Najważniejszą rzecz pominał, nie wykazał bowiem jasno metodycznego znaczenia tych książeczek w powodzi tylu elementarzy, nie wykazał, o ile elementarz ten przyczynić się może do posunięcia naprzód nauki czytania, rzeczy tak łatwej napozór, a tak ważnej, tak silnie na dziecko wpływającej i stanowiąc czasem mogącej o chęci jego na przyszłość do nauki. Pierwsze kroki najwięcej znaczą.

brego i złego, obowiązków względem bliźnich, społeczeństwa i Boga, nagrody i kary, tudzież wykładem modlitwy Pańskiej. Widzimy więc, że ta praca dotyka tylko cząstki materiału, w całym przez p. Brzeskiego objętego zakresie. Do tego jeszcze rozmiary jęj są przeszło cztery razy większe od pracy p. Brzeskiego.

Co do nauki religii, w szkołach początkowych podzielone są zdania pedagogów, ale w rzeczy nauki religii głuchoniemych, jedno tylko może być zdanie. Wykształcenie moralno-religijne jest najważniejszym, jedynym prawie celem w nauczaniu tych upośledzonych. Różność zdań zachodzić tylko może co do czasu, w którym zaczynać potrzeba tę naukę; większość pedagogów niemieckich jest za późniejszym zaczęciem, t. j. w trzecim lub czwartym roku nauki dziecka, kiedy pojęcia i język wychowanka są już do przyjęcia tój nauki przysposobione. Niektórzy nawet są za odłożeniem tój nauki do ukończenia całkowitego kursu języka. Instytut warszawski innego jest zdania, właśnie zaczyna ten wykład w pierwszym zaraz roku, a nauczyciel religii, ustalając mimikę dzieci i posiłkując się nią, rozwijanie pojęć i języka (jak na tym stopniu nazw tylko, oderwanych wyrazów) bierze na siebie. Praca trudna, ale ważna i ułatwiająca dalszą naukę dziecka. Taki wykład religii jest właściwie wszechstronném rozwijaniem władz wychowanka, a jako taki, oprzéc się musi na zmysłowych wrażeniach, na obserwacjach dotykalnych, na rozumowanėj zasadzie; u pana Brzeskiego inaczej: nauka religii ma się opierać na sercu i sumieniu (str. 120).

Metoda wykładu religii zaczęła się wyrabiać od samego początku instytutu warszawskiego. Nauczyciel nowowstępujący przejmował doświadczenie poprzednika. Skoro obecnie wzięto się do opisanja tój metody, powstało odrazu dzieło, które będzie odtąd ozdobą skromnej naszej literatury pedagogicznej i jest właściwie owocem długiej, wypróbowanej i ciągle ulepszanej praktyki. Nie jesteśmy w stanie w krótkich słowach streścić tój rzeczy w najdrobniejszych szczegółach wypracowanej i w miarę potrzeby objaśnionej jeszcze rysunkiem. Z silną konsekwencyą przeprowadzone tu jest stopniowe wznoszenie pojęć dziecka od martwój ziemi do roślin doskonalszych i ich użytków, do doskonalszych zwierząt i ich własności, do człowieka, jego ducha i rozumu (duszy). Pojęcie o duchu daje się przez podobieństwo ognia, przypomina teorye o duchu filozofów starożytnych. Szeroko bardzo mówi się o zdolnościach człowieka, rzemiosłach, sztukach, naukach. Ale są rzeczy, których człowiek zrobić nie potrafił. Kto błękit rozpostarł, kto księżyc, gwiazdy, kto dobroczynne słońce zawiesił? Takiém stopniowaniem idą dzieci do rzeczy coraz więcj oderwanych. Metoda ta zasługuje na uwagę nietylko nauczycieli i rodziców, ale i wszystkich ludzi myślących. Zyczyćby należało, aby się ukazało przerobione nieco wydanie tój pracy już nie „dla głuchoniemych,” ale dla wszystkich. Co łatwo nastąpić może po wzmocnieniu i zmodyfikowaniu niektórych ustępow, dla głuchoniemych tylko

mogących mieć znaczenie. Książka ta jest krokiem naprzód w ogólnej metodyce początkowej, a zwłaszcza w metodyce wykładu religii, która tak mało dotąd u nas postąpiła.

Pamiętnik ostatni nie odznacza się taką rozmaitością treści, jak poprzedni. Z zalem np. nie spotykamy tu rubryki rozbiórów i krytyk, która w przedostatnim Pamiętniku wydatne wzięła miejsce. Nie wiemy, jakie przyczyny skłoniły redakcyą Rocznika do zaniechania tego działu w chwili właśnie, kiedy wiele pojawiło się dzieł elementarnych, tak pożądaných u nas, a traktowanych to pochwałami, to ogólnikami, przekąsami lub milczeniem przez naszą prasę. Powaga Pamiętnika, wydawanego przez grono pedagogów, niepodlegającego żadnym względom ani okolicznościom w wypowiedaniu zdania naukowego, mogłaby właśnie najsprawiedliwsze i najpewniejsze w tej materji sądy wydawać. Miałoby to nawet praktyczne znaczenie, objaśniając osoby zmuszone kupić tę lub ową książkę elementarną, o której, jeśli znajdują jakie zdania w naszych pismach, to znajdują je najczęściej sprzeczne z sobą.

*O kongresie odbytym dnia 3—8 sierpnia 1873 roku w Wiedniu w sprawie wychowania ociemniałych, rzecz napisana przez Jana Papłońskiego* (od str. 225—278). W samej Europie liczy się około 250,000 ociemniałych. Wszystkich zakładów dla nich liczą do 150. W poczuciu braterstwa z tymi upośledzonymi oddawna już pojawiały się usiłowania celem polepszenia ich losu. W średnich wiekach dawano im przytułek, nowe czasy chcą ich uczyć, uzdalniać do pracy, do samodzielności duchowej i materyalnej. Od Valentina Hauy począwszy, spotykamy całe zastępy ludzi w tej sprawie występujących. Jeden z filantropów wiedeńskich D-r Ludwik Frankl (Czech rodem), zakładając z wielkimi zachodami i trudem instytut dla ociemniałych izraelitów w tém mieście, przekonał się, że urządzenie kongresu w sprawie ociemniałych, posunęłoby ją znakomicie naprzód, jednocząc izolowane dotąd dążenia i kierunki. Projekt przyjęty został przez wiele odnośnych zakładów. Skutkiem tego zebrało się w Wiedniu w czasie wystawy powszechnej przeszło 80 nauczycieli i dyrektorów. Między delegowanymi było 6 Amerykanów, a nawet 1 z Kairu i 1 z Konstantynopola. Polaków było 7. Anglia i Prusy nie brały udziału; podobniez Francya. Z góry już można było przewidzieć, że lubo wiele wniesiono kwestyj do rozstrzygnięcia, nie wiele pierwszy kongres, jako pierwszy, mógł postanowić. Uradzono zebrać się na drugi kongres w Dreźnie za lat 3, t. j. w r. 1876. Najwięcej obradującym leżał na sercu los ociemniałych; uzdolnienie do pracy i w następstwie rzeczy byt ich samodzielny. Ztąd rozprawiano o ochronkach dla ociemniałych, żeby jak najspieszniej naukę zaczynać z niemi; rozprawiano nad tém, jaki kierunek obok wykształcenia umysłowego, powinien przeważać w nauce ociemniałych: muzyka czy rzemiosło, (zależy od warunków miejscowych); rozprawiano najwięcej o opiece nad ociemniałymi po wyjściu ich z zakładu. Niektórzy pedagogowie nie troszczą się o to; z ukończeniem szkoły przez ociemniałego, zadanie swe uwa-

zając za skończone. Ale w takim razie wychowanie ociemniałego nie dochodzi swego celu. Społeczeństwo zapewnić musi pomoc tym upośledzonym, którzy w przeciwnym razie na żebraków się wywierają. W niektórych miastach, jak w Petersburgu, Pradze, Wiedniu, istnieją dla nich przytułki, w których pobyt pociąga za sobą utratę swobody tych ludzi. Zakłady takie nie odpowiadają celowi i kongres nie podziela tego systemu. Społeczeństwo powinno dać pomoc ociemniałemu i opiekę moralną, nie krępując go żadnym mechanizmem administracyjnym. Taki system panuje w zakładach: Drezdeńskim, Edynburskim i Warszawskim. W sprawozdaniu dyrektora Papłońskiego, który nadzwyczaj jasno i praktycznie na rzeczy się zapatruje, zakład warszawski ociemniałych jedno z najpierwszych trzyma miejsce, a urządzenie współmieszkania dla b. wychowanców Instytutu przy ulicy Piwniej jest wzorowem. Właśnie z tém sprawozdaniem całość stanowią: *Przepisy dla współmieszkania ociemniałych. Kassa groszowa. Kassa pożyczkowa. Przepisy sądu braterskiego* (str. 293—301). Ztąd widzimy, że wychowawcy Instytutu stanowią „jedną braterską społeczność,” związaną jednością losów i zajęć, oraz wspomnieniami przeszłości. Instytut czuwa nad współmieszkaniem, administrując szczupłą kassą i wpływami, ale przy współudziale delegowanych ze strony ociemniałych. Wszelkie sprawy wewnętrzne załatwiają oni sami pomiędzy sobą, zasiadając w sądzie braterskim, przy pomocy gospodarza widzącego, wyznaczanego przez dyrektora. Przepisy te idealnej są dobroci; wiele tu atoli zależy od ich wykonania, co znowu warunkuje się gospodarzem współmieszkania. Nie wątpimy, że dyrektor Papłoński potrafił wyszukać taką osobistość, której taktowność i powaga, moralność i charakter, zupełnie odpowiadają myślom jego, i staną się dobrymi w tak trudném zadaniu, tłumaczami.

*Władysław Nowicki.*

---

*O uprawie wina w ogrodach, skreślił Michał Czepiński. (Z dwiema tablicami figur) Warszawa. Nakładem i drukiem F. Fryze i Spółki 1874 r. (w 8-ce str. 83).*

Kraj nasz długo zastrzeżenie noszący nazwę *rolniczego*, obfitował nietylko w doskonałe owoce i warzywa wszelkiego rodzaju, ale w winnice w wybornych gatunkach. Od XVI wieku ziemianki nasze, oddając się z upodobaniem gospodarstwu kobiecemu po dworach wiejskich, czuwając nad ogrodami, nie zaniedbywały i uprawy wina. Dopóki ich upodobanie i staranność, zwracały się troskliwie w tym kierunku; obfitość wielka była owoców i ich taniać. Obecnie, ze wstydem przyznajmy, iż ta gałąź gospodarstwa wiejskiego całkowicie

upadła, a kraj zwany rolniczym, marnuje ogromne summy na sprodawanie zagranicznych owoców. Badając ten smutny upadek, nie trzeba daleko sięgać: kto zwiedził kilka dworów wiejskich, łatwo odgadnie przyczynę główną, patrząc na obojętność samych gospodyń około ogrodów i zaniedbanie obowiązków *pani domu*, pomimo, że mają tak powszechne, a piękne przykłady matek i prababek swoich. Gospodarstwo kobiece jest dźwignią i podwaliną dostatku i zamożności każdego dworu; niestety, gdzież ich szukać? doczekaliśmy się czasów, w których one stały się osobliwością. Nikt z tego upadku nie podźwignie ziemiańskie rodziny, nie przysporzy im pożądanego mienia, tylko same ziemianki, jako żony i matki, gdy wrócą do poczucia obowiązków swoich przy domowym ognisku.

P. M. Czepiński, autor znanego a cennego dzieła: *Powszechne ogrodnictwo* podaje nam w nowej swój pracy, najprzystępniej napisany przewodnik, co do uprawy wina, oparty na blisko półwiekowej praktyce. W szlachetnym, obywatelskiem oburzeniu słuszną wypowieda skargę.

„Na jak dotkliwie wyrzuty (pisze w przedmowie) narażają się ci, którzy mając środki potemu, albo uprawy wina, choćby nawet na niezbyt obszerną skalę, wcale nie podejmują, albo też raz u siebie zaprowadzonej, zmarnieć pozwalają? W jakże opłakany stan są w ogóle sady nasze? Czyż do klęsk, jakie trapią społeczność po miastach, z powodu niedostępnych cen najważniejszych czynników odnowy organizmu naszego, to jest mięsa i mleczywa, jeszcze i brak owoców doliczyć nam wypadnie? Czyż wówczas dopiero ockniemy się z bezczynności, kiedy już kęs ostatni będziemy mieli spożywać?”

Ileż prawdy w tych słowach!

Kiedy rzucimy spojrzenie w dawną przeszłość, gdy przerzucamy karty kronik miast i grodów naszych, liczne wspomnienia znajdujemy o winnicach, które starannie pielęgnowano. Z boleścią przychodzi te wspomnienia obudzać przy niedbałości dzisiejszej. Znajdujemy przecież przykłady i za dni naszych, lubo rzadkie uprawy wina. Niedawne czasy, gdyśmy podziwiali cudne barwą i przewyborne smakiem winne grona, pochodzące z ogrodów w Maciejowicach, Gołkowie, Włochach i Tarchominie. Z ogrodów w *Szopach* pod Warszawą są poszukiwane i dziś winne grona, mogące walczyć o pierwszeństwo z zagranicznymi. W dziesięciu częściach p. Czepiński podaje w najprzystępniejszym wykładzie sadzenie, rozmnażanie i hodowlę winnego krzewu; jest to przewodnik podreżny, najdokładniejszy, z którego pomocą każdy, nawet nieoznajomiony z ogrodnictwem, zająć się może uprawą winnicy na najmniejszym kawałku ziemi. Tablice załączone szczegółowo sam wykład objaśniają. Należy nam polecić to dziełko sędziwego pracownika, głównie naszym ziemiankom, które łatwo znaleźć mogą w ogrodach przy dworach swoich, dosyć miejsca na założenie, i hodowlę winnych krzewów, które pomiędzy owocami krajowemi zajmowały nie tak dawno poczesne miejsce.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Kwiecień 1875 r.* — Dnia 19 w Teatrze Wielkim przedstawiono dramat Wincentego Rapackiego: *Wil-Stwosz*, znany już powszechnie z ogłoszenia najprzód w „Tygodniku Ilustrowanym,” a następnie w oddzielnéj książce. Przygotowania trwały długo tak dla nowych dekoracyj, jako téż i zbiorów, którym za wzór służył zbiór kostiumów polskich Jana Matejki. Pierwszy to raz przedstawiono dramat poważny z tak wielkim nakładem i starannością. Publiczność licznie zgromadzona, z niepamiętnym zapafem przyjmowała tak autora, jak i artystów grających główne role. Dramat ten na scenie zyskał wiele, bo to co w czytaniu nie zwracało uwagi, podniosło się i uwydatniło wyborną grą i wystawą. Główną rolę oddał znakomity nasz artysta Jan Królikowski. Nazajutrz po przedstawieniu, autor osobiście składając mu egzemplarz drukowanego dramatu, te słowa na czele wypisał:

„Prochy *Wilowe* na obcym cmentarzu  
Zadrzały wczoraj radością w swéj trumnie,  
Boś grą potężną co z duszy wybiegła,  
Stawił przed oczy ziomków postać jego.  
Wdzięczny ci autor składa hołd, o mistrzu!  
Tyś w jego posąg wlał życia potęgę:  
Zyjże dla sławy naszej sceny długo,  
Boś jój bogactwem, dźwignią i ozdobą!”

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły: „*Antoniego Edwarda Odyńca Listy z podróży, (z Warszawy do Rzymu)* w 2-ch tomach. Poprzedza je „słówko przedwstępne“ p. Wincentego Korotyńskiego, jako objaśnienie wielce zajmujące. Autor za przedmowę do tych listów z jednego r. 1829, umieścił swój do redaktorki *Kroniki Rodzinnéj* pani Aleksandry z Chomętowskich Borkowskiej, której to dzieło przypisał. Tu postać Mickiewicza w najwierniejszym wizerunku występuje, wydatniejąc obok wielu innych. Część tych listów które drukowane poprzednio były w *Kronice Rodzinnéj*, profesor *Bratranek* w Krakowie przetłumaczył na język niemiecki i ogłosił p. n. *Zwei Polen in Weimar*, dając z nich ustępy obejmujące odwiedziwy Mickiewicza i Odyńca Göthego w Wejmarze. Dziennikarstwo niemieckie z powszechnym oklaskiem przyjęło tę publikację. „Niemców (pisze W. Korotyński) obchodziła w książeczce D-ra Bratranka jedna olbrzymia figura Göthego, nas zaś w *Listach* Odyńca obchodzi każdy rys obrazu promiennéj doby, której światło i ciepło dotąd, jak wieczorem dzień



letni, czujemy w sercach i piśmiennictwie krajowém." Słowa te wymownie malujące całą wartość *Listów* sędziwego poety, powinny w najszerszym kole czytelników wyjednać dla nich pierwsze miejsce, gdyż dla każdego będą one prawdziwą uctwą duchową.

— Z zapowiedzianego wydawnictwa *Dzieł dramatycznych Szekspira* w przekładzie Stanisława Koźmiana, Józefa Paszkowskiego i Leona Ulrycha, przez spółkę wydawniczą księgarzy warszawskich, wyszło już trzy zeszyty w nader ozdobnej i starannej edycji i obejmują dramata: *Król Jan* i *Król Ryszard II*, w tłumaczeniu St. Koźmiana; oraz, *król Henryk IV* (część pierwsza) w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

— W sprawozdaniu cesarskiej publicznej Biblioteki w Petersburgu z r. 1873, wydaném obecnie w 1875 r. czytamy, że z pism polskich zażądane były do czytania: *Kłosa 1162 razy*—*Tygodnik Ilustrowany 1023*—*Biblioteka Warszawska 470*—*Przegląd tygodniowy 449*—*Niwa 346*—*Wędrowiec 312*—*Opiekun Domowy 232*—*Bluszcz 173*—*Przyroda i Przemysł 114*—*Kronika Rodzina 100*—*Kuryer Warszawski 75*—*Wiek 61*—*Zorza 44*—*Kuryer Codzienny 44*—*Ekonomista 41*—*Przyjaciół Dzieci 40*—*Ognisko Domowe 40*—*Gazeta Polska 33*—*Tygodnik Mód 32*—*Izraelita 30*—*Wieniec 30*. Dla porównania tych liczb z wykazem liczb odnoszących się do innych pism, przytaczamy jeszcze następujące dane: *Revue des deux Mondes* zażądano 745—*Revue Britannique 109*—„*Dieło*” (rossyjskie) 4,658—*Goniec Europy* (ross.) 3,647—*Biesieda* (pismo miesięczne, już przestało wychodzić) 444—za-  
tém miéj było czytane niż Biblioteka Warszawska.

— *Atlas historyczny Rosyi* Pawliszczewa wyszedł w dwóch częściach w nowém uzupełnioném wydaniu. Pierwsze dwa bowiem nastąpiły w r. 1843 i 1845. Część druga wyszła w Petersburgu, stanowi właściwy atlas; pierwsza wydrukowana w Wilnie, obejmuje kronikę. W téj ostatniej autor, objaśniając każdą kartę atlasu, poruszył wiele kwestyj dotąd nierozwiązanych, np. nazwy *Rusi*, horodyszcz i t. p. i bada głównie dzieje księstw udzielnych, wyjaśnia nazwy Wielkiej, Małej i Białej Rusi, wykazując, kiedy Ruś zamieniła się w Rosyją, a potem w Rosyją. Wywody te uzupełnił danemi, jakie z pracy Dankertsa zaczerpnął; rzecz w atlasie, o którym mówimy, doprowadzona do wyprawy Chiwińskiej włącznie.

*Kronika* zbita w sobie z początku, rozszerza się w miarę zbliżania do czasów nowszych i przybiera charakter opowiadania.

Rodowody książąt różnią się tu od innych prac tego rodzaju, poczynając od rodowód Strojewa, dodanych do historii Karamzina.

— Znana powieściopisarka Paulina Wilkońska, wdowa po humorystyce autorze „*Ramotek*,” wydała w Poznaniu u Merzbacha swoje *Wspomnienia* w 2-eh tomach. Pierwsza dawniej ogłoszona serya była wielce zajmującą i wprędce wyczerpaną z handlu księgarskiego.

— Zwłoki Władysława Laskonogiego mają spoczywać w Lubieniu, w W. Ks. Poznańskim, w tamecznym klasztorze. Towarzystwo

poznafińskie przyjaciół nauk wydelegowało z łona swego p. Zakrzewskiego dla badań archeologicznych w Lubieniu.

— Na posiedzeniu Towarzystwa mineralogicznego w Petersburgu, przyznano nagrody za rozprawy: p. Rogowicza „O rybach kopalnych formacji trzeciorzędnej w bassenie kijowskim,” i p. Benedykta Dybowskiego, słynnego naturalisty i podróżnika: „Studia paleontologiczne.” P. Dybowski b. professor szkoły głównej warszawskiej bawi obecnie nad Bajkałem i bada pod względem przyrodniczym okolice Bajkału, prowincyj Nadamurskiej i południowej Syberyi.

— P. German w *Magazin für die Literatur des Auslandes*, w obszerniej rozprawie, w dosadnych rysach scharakteryzował wysokie zalety genialnego komedyo-pisarza Aleksandra hr. Fredry. Z niej podamy kilka ustępów. „Akcyja Fredrowskich komedyj jest po największej części prosta, również i język spokojny i odpowiedni zwykłemu towarzyskiemu pożyciu; lecz postacie jego narysowane są tak prawdziwie, tak z życia wyrwane, że nawet złe przedstawienie na scenie nie zdoła ich zupełnie zepsuć, dobre zaś napawa nas wielką artystyczną rozkoszą. Gdy dodamy jeszcze, że autor nie próbuje w swych sztukach żadnych tendencyj, lecz tylko przedstawia obraz zawikłań powstających w skutek starcia różnorodnych charakterów; że nie stara się podniecać namiętności, ani narzucać innym własnych przekonań; że zapomina o swych słuchaczach, a żyje tylko dla swych kreacyj; gdy przypomniemy, że nigdzie nie maluje człowieka ze strony wyłącznie ujemnej, lecz nawet w mniej doskonałym usiłuje wskazać pewne piękne strony, że słabość i śmieszność *ridendo castigat*, ale nie za pomocą moralizujących kazań na scenie, lecz zmuszając słuchacza do uśmiania się z nich, sądzimy, żeśmy przedstawili poetę dramatycznego, godnego stanąć obok najlepszych.”

Wykazawszy wspomniane wyżej przymioty na wybitniejszych postaciach *Zemsty* i *Słubów Panieńskich*, tak kończy p. German: „Powtarzamy raz jeszcze, że Fredro jest pierwszorzędnym komedyo-pisarzem, i że godzien zająć znakomite miejsce w nielicznej dotąd plejadzie, tego rodzaju poezyj.”

— Przed kilkunastu laty ogłosił Lucyan Siemieński zajmujący ustęp z dziejów literatury po rok 1830 p. n. *Obóz Klassyków*. Do niego przybywa nam obecnie ważny przyczynek: *Przegląd polski* ogłosił korespondencyę pomiędzy Kajetanem Koźmianem a Franciszkiem Wężykiem zapalonymi klasykami, z której się jednakże pokazuje, że gdy Koźmian pozostał zawsze fanatycznym stronnikiem starych idei i wrogiem ciągotym Mickiewicza, Wężyk był umiarkowańszy, i lepiej oceniał geniusz wielkiego poety.

— *Gazeta Lwowska* od pierwszych dni kwietnia r. b. w odcinku swoim zamieszczała ciekawą monografią Tadeusza Grabianki p. n. *Mystyk polski*, który był jednym z założycieli w Awinionie stowarzyszenia noszącego nazwę *Narodu Bożego* albo *Nowego Izraela*, które zacząwszy się przed pierwszą rewolucyą francuzką, przetrwało czasy terroryzmu. Grabianka tytułował się królem *Narodu Bożego*.

— W dotychczasowych zbiorach biograficznych najmniej mamy szczegółów co do Andrzeja Poniatowskiego, ojca księcia Józefa, który zginął pod Lipskiem 1813 r. Był on generałem wojsk austriackich i świetnie się odznaczał. Encyklopedia S. Orgelbranda, ledwie że go zna z imienia. Bartoszewicz w swych „Znakomitych mężach“ nie wiele o nim powiedział umieć. Najwięcej jeszcze szczegółów zebrał o Andrzeju Poniatowskim K. Wurzbach w swoim *Biographisches Lexicon*, mając widocznie więcej źródeł pod ręką, niż inni pisarze. Obecnie otrzymujemy wiadomość, że jeden ze znakomitych historyków naszych pragnąc podać wyczerpującą biografię Andrzeja, udał się wprost do ministra wojny w Wiedniu z prośbą, aby mu polecił wygotować wypis z tych dokumentów swego archiwum, które się odnoszą do zawodu wojskowego tego księcia i wojownika.

— Wydział Towarzystwa Tatrzańskiego wystosował ostatnimi dniami pismo do węgierskiego Towarzystwa Karpackiego, ażeby wystarało się u władz tamtejszych o ustawę ochraniającą od zagłady rzadkie już dziś zwierzęta halskie, jak kozice i świstaki. W Galicyi, jak wiadomo, ustawa taka od lat kilku obowiązuje.—Ministerstwo handlu oświadczyło było gotowość poniesienia kosztów utrzymania nauczyciela snycerstwa, któryby wyuczył Podhalanów tój sztuki; żądało tylko, ażeby Podhalanie dali mieszkanie i opał. To ostatnie zobowiązanie wziął na siebie dwór Zakopański, a odnośne oświadczenie uczynione przez p. P'ingera, pełnomocnika p. Eichhorna i delegata Towarzystwa Tatrzańskiego, odeszło już do namiestnictwa.

— Zarząd Towarzystwa muzeum starożytności szlązkich we Wrocławiu, będącego ogniskiem badań archeologicznych tój prowincyi, ogłosił konkurs treści następującej: „Pożądany jest opis porównawczy i ocenienie krytyczne wszystkich od najdawniejszych aż do dzisiejszych czasów na Szlązku znalezionych wykopalisk przedhistorycznych (utworów sztuki, grobowisk i t. d.), ze szczególnym względem na epoki zwane kamienną, brązową i żelazną, o ile oznaczyć się dozwolą, jako tóż zbadanie oświaty, pochodzenia i stosunków w owe czasy tutaj żyjących ludów ze sąsiednimi i wykazanie ich połączenia się z ludnością historyczną.“ Praca odpowiadająca wszystkim powyższym warunkom otrzyma 2,000 marek nagrody. Rękopisma należy nadsyłać pod adresem sekretarza Towarzystwa Dr. Luchs w Wrocławiu do d. 31 grudnia 1877 r. i to z zachowaniem znanych przepisów, w języku niemieckim, pisane, obcą nie autora ręką, bezimiennie, z jakiembądź motto na kopercie i listem osobnym z nazwiskiem autora. Dzieło nagrodzone pozostanie własnością autora; powinno jednakże w przeciągu jednego roku wyjść z druku, w przeciwnym bowiem razie stanie się własnością Towarzystwa. Muzea i zbiory starożytności szlązkich w Wrocławiu, będą otwarte dla chcących z nich dla prac swoich korzystać. W tym celu także otwiera swoje zbiory Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół nauk, ze względu, że wykopaliska i starożytności jakie posiada, są bardzo do wykopalisk szlązkich podobne, mogą więc służyć za przedmiot porównań.

— Znany w polskiej literaturze d-r F. Hipler prof. Lyceum Hosianum w Brodnicy, ogłosił w czasopiśmie „Mittheilungen der Ermländischen Kunstvereins,“ a następnie w osobnej odbitce, cenną *pracę o portretach* Mikołaja Kopernika, w której zastanawia się nad wszystkimi, znacznijszymi obrazami olejnymi, drzeworytami, miedziorytami, posagami i medalami, przedstawiającemi tego astronoma i kończy opisem albumu, wydanego przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, na uczczenie 400 rocznicy urodzin Kopernika. Praca prof. Hiplera odznacza się gruntownością i trafną krytyką; nie róści jednakże pretensji do wyczerpienia przedmiotu, zwłaszcza, że autor nie badał sam polskich zbiorów, ale ograniczał się na przesyłanych mu licznych wiadomościach.

Nad monografią wizerunków Kopernika, pracuje także ksiądz Polkowski, znany autor *Żywota* Kopernika.

— W Paryżu ma być przedstawioną opera Ponghielli'ego p. n. *J. Litvani*, która doznała dobrego przyjęcia na scenie w Medyolanie. Treść do jej libretta wziętą została z *Konrada Wallenroda* Mickiewicza.

— W teatrze peszteńskim d. 27 stycznia r. b. przedstawiono komedią Aleksandra hr. Fredry „Pan Jowialski“ p. t.: „Herr Vidor,“ bo tak nazwisko to przetłumaczył p. Törs. Sztuką podobała się niezmiernie publiczności, która z bogatych i komicznych sytuacji, śmiała się do rozpuku.

— *D-r Ksawery Liske*, professor historii w uniwersytecie lwowskim, otrzymał od króla szwedzkiego krzyż kawalerski orderu Gwiazdy północnej (*Nordstjern*) czyli tak zwaną: „Czarną wstęgę.“ za prace naukowe podjęte dla archiwum królewskiego w Sztokholmie.

— Obywatelstwo pomorskie urządziło publiczną bibliotekę, z książek polskich złożoną, aby ułatwić obieg tych książek między mieszkańcami. Abonament jest bardzo przystępny. Czytelnia zaopatrzona w książki przydatne do kształcenia każdego czasu.

— Towarzystwo istniejące w Paryżu pod nazwą: „*La Société des Etudes japonaises, tartares, chinoises et indo-chinoises*,“ uchwaliło wezwać p. Józefa Kowalewskiego, dziekana tutejszego uniwersytetu, na swego członka korespondenta. Szacowne prace p. Kowalewskiego dopiero teraz zaczynają być w świecie naukowym należycie oceniane. Ułożony przezeń przed laty *Słownik mongolsko-rusko-francuzki*, tłumaczy obecnie w Pekinie na język angielski misjonarz amerykański kościoła episkopalnego, Szezaszewski rodem z Litwy. Ponieważ ten słownik nie jest znany naszej publiczności, dajemy tu o nim krótką wiadomość. Olbrzymie to dzieło, około 4,000 stronnic zawierające, drukowano w Kazaniu czcionkami odlewanych pod dozorem i według samego autora. Ponieważ brakło do tego uzdolnionych zecerów, więc sam autor był zecerem. Ułożenie Słownika zajęło p. Kowalewskiemu 14 lat pracy, drukowanie zaś trwało od r. 1814—1819. P. Kowalewski wydał też *Chrestomatję mongolską* we dwóch tomach.

— Książka dla gospodarzy rolnych i ogrodników wyszła we Lwowie p. t. *Szkodniki naszych pól, ogrodów i lasów, z szczególnem uwzględnieniem szkodliwych owadów*, opracowana przez Leopolda Wajgela. Książka ta jest ozdobiona tablicami kolorowanemi.

— W jednym z ostatnich zeszytów paryzkiego „Przeglądu Antropologicznego” Broca, znajduje się ciekawa rozprawa D-ra Izidora Kopernickiego z Krakowa: *O czaszkach bułgarskich*, zaopatrzona wymiarami i tablicami litografowanemi.

— Ze zbioru powieści J. I. Kraszewskiego wyszedł we Lwowie tom 75 i obejmuje *Jarynę* jako część drugą „Ostapa Bondarczuka.”

— W Wrocławiu wyszło z druku 21 sprawozdanie *Muzeum starożytności szlązkich*. Sprawozdanie to stanowi zeszyt 9-ty wydawnictwa: *Schlesiens Vorzeit in Bild u. Schrift* i zawiera w sobie kilka nader ciekawych rozpraw archeologicznych, jak np. *O starych monetach miasta Wrocławia* przez barona Saurma; *Kościół św. Wojciecha* przez znanego badacza na polu staro-szląckiej historii dra. *Luchsa* i inne.

— Malarze polscy, w liczbie trzydziestu kilku zajęli swemi utworami osobną salę na wystawie w wiedeńskim gmachu „Schönbrunnerhaus.” Jedną z pierwszorzędných gazet wiedeńskich, stara *Presse*, poświęca im osobny odcinek, który tu w streszczeniu podajemy. Recenzent rozpoczyna rzecz swoją od spostrzeżenia, że po świetnym rozkwicie literatury polskiej, która znalazła uznanie nawet w Göthem, zapatrującym się na piśmiennictwo z wyżyny literatury powszechniej, zajaśniał duch polski z całą siłą w sztukach pięknych, co dowodzi że tak pierwsze, jak drugie nie koniecznie chodzą w parze z politycznym rozwojem państwa. „Charakter najnowszego rozkwitu literatury polskiej — są jego słowa — był przeważnie romantyczny, natomiast artystyczna dążność Polaków nosi raczej historyczną cechę. Pomiędzy Mickiewiczem, głową polskich romantyków, a Matejką, godnym przywódcą polskich malarzy, stoi Lelewel, historyk. A. Grotger nierównie więcej ulegał wpływowi romantyków, aniżeli Matejko, i odróżnia się od niego nadto na wskroś lirycznym charakterem.” Ogólne wrażenie, wyniesione z sali polskich malarzy, notuje krytyk w następnym sposób: — „Polacy malują historję, epizody wojenne, pejzaże, sceny wiejskie i próbują sił swoich także w rodzaju wesołych i tendencyjnych obrazów. Nie posiadają oni nic takiego, coby odpowiadało naszym obrazom wieśniaczym i obyczajowym.” Zauważywszy, że w płodach polskiego malarstwa rzadko się pojawia humor i to, co Niemcy zowią *Gemüth*, a na co my nie posiadamy osobnego określenia, powiada, że przejawia się w nich tu i owdzie coś podobnego do francuzkiego *esprit*, — że z zamiłowaniem zajmują się rumakiem i jeźdźcem, — że na widoki równin umieją rzucać tchnienie i marzycielstwo i t. d. Przechodząc do ostatniego dzieła Matejki, „Poświęcenia dzwonu Zygmunta” powiada, że malarz ma na celu przywołanie w obrazie do nowego życia dawniej, mioniej świetności Jagiellonów. Pod inną ręką byłby z tego przedmiotu powstał prosty obraz czczego ceremoniału, Matejko umiał go napełnić

historyczną treścią, uczynić go obrazem cywilizacyjnym. Przedewszystkiem jednak chodziło artyście o rozwinięcie jak największego blasku. Olśniewający czar barw rozchodzi się od tronu pary królewskiej, a od tego jasnego ogniska stopniuje się uroczysty przepych na wszystkie strony.... Ze główne postacie posiadają życie, indywidualną treść i znaczenie, tak, że się pilnie wbijają w pamięć, zbytecznym niemal byłoby dodawać; u Matejki mistrzowski koloryt idzie ręką w rękę z potęgą stwarzania typów. Z uznaniem wreszcie odzywa się krytyk o portretach Matejki, a mianowicie o matronie przedstawionej w charakterze przyjaciółki sztuk pięknych, muzyki i poezji, i magnata polskiego, pojętego jako postać rycerska. „Józef Brandt, który w swój „Bitwie z Turkami“ dał się poznać jako jeden ze znakomitych malarzy bitew, wystąpił z dwiema grupami kozaków, świadczącymi zaszczytnie o jego zapanowaniu nad koniem i jeźdźcem, i widokiem podolskiego miasteczka. Ostatni obraz bogaty w motywa, zręcznie i z miłością wprowadza nas w życie polskiego miasteczka. To też z wielką ufnością powierzamy się temu biegłemu cyeronowi.“ Przyznawszy Mateckiemu zalety wyśmienitego pejzażysty, samodzielności i świetnej techniki, mówi o Sidorowiczu i Swieszewskim, że zdradzając niemal kobiecy pod względem delikatności i nieśmiałości pędzel, umieją przytém rozlewać na pejzaże dziwnie poetyczny urok. Również mniej lub więcej pochlebne wzmianki dostały się G. Meszölemu, L. Kurelli, A. Kowalskiemu, Fr. Streittowi, Józ. Chełmińskiemu, M. Gierymskiemu, i K. Archimowiczowi.

— Zjazd cesarza austriackiego z królem włoskim w Wenecyi, daje sposobność dziennikom do wspomnień o różnych pamiętnych zjazdach monarszych, które miały miejsce wśród marmurów królowej Adryatyku. Do takich monarszych odwiedzin w Wenecyi, o których pozostała pamięć w kronikach współczesnych, zaliczyć można i pobyt Henryka Walezego w tém mieście, o czém szeroko rozpisują się kroniki weneckie. W powrocie a raczej ucieczce z Polski do Francyi w sierpniu r. 1574, Henryk kilka dni zatrzymał się w Wenecyi, uroczystie przyjmowany tam przez rząd i lud. Sześćdziesięciu senatorów w szkarłatnych szatach na pokrytych jedwabiem gondolach wyjechało na powitanie Henryka, i wiodło go do przeznaczonego mu pałacu Capello na wysepce Murano. Następnego dnia w towarzystwie Doży i całego senatu udał się Henryk do kościoła St. Nicolo, przyjmowany przez patriarchę, na czele duchowieństwa. Po odśpiewaniu *Te Deum*, król na słynnym statku *Bucentauro*, otoczony tysiącami gondoli, wśród radosnych okrzyków ludu, Wielkim kanałem (*Canale Grande*) popłynął do pałacu Foscari. Tu odbyła się świetna uczta, w której uczestniczyli oprócz króla i Doży, cały senat, legat papieżki, książęta: Sabaudyi, Ferrary, Mantui, i liczny zastęp gości. „Król, dodaje kronika, dziwił się panującej w Wenecyi wolności i dobremu usposobieniu ludu. Wszystko go czarowało. Żył zupełnie na stopę wenecką, co wszystkich Wenecyan radowało.“ Ośm dni trwały uroczystości, poczem

odprowadzony przez Dożę Mocenigo i senat do granic Rzeczypospolitej, zdążył Henryk do Francyi. Dla uwiecznienia jego pobytu wyryto przy wejściu na olbrzymie schody pałacu dożów napis w języku łańcińskim.

— Dnia 2 kwietnia r. b. jako w siedemdziesiątą rocznicę urodzin słynnego Andersena, komitet zajmujący się wzniesieniem dlań pomnika, wręczył sędziwemu poecie w Kopenhadze adres następujący:

„Jaśnie wielmożny panie radzco konferencyjny Andersenie! My niżej podpisani duńscy mężowie i kobiety, wezwaliśmy wspólnie naszych ziomków, starych i młodych, podzielających nasze uczucia, do wzniesienia panu, naszemu znakomitemu poecie, pomnika w Rosenburgskim ogrodzie zamkowym. Wezwanie nasze znalazło jaknajlepsze przyjęcie nie tylko we wszystkich warstwach ludności duńskiej, ale i za granicą, gdzie pańskie imię znane jest i ulubione. Nasz miłośnicy król udzielił pozwolenia na wzniesienie pomnika na wybranym na ten cel placu, a rzeźbiarze nasi ubiegają się o pierwszeństwo w wykonaniu tego miłego dla nich zadania. Kiedy tak więc wszyscy połączyli się z nami ku wykonaniu myśli naszej, możemy dzisiaj, w 70 letnią rocznicę pańskich urodzin, udzielić panu wiadomość o tym darze, mającym świadczyć o uwielbieniu i wdzięczności duńskiego narodu.“

Przemawiający w imieniu komitetu dodał: „Wręczając panu ten adres ośmielamy się oświadczyć, iż mamy silną nadzieję wykonania swego przedsięwzięcia w sposób tak piękny, że ono tak panu, jak pańskim wielbicielom prawdziwą sprawi przyjemność.“

Andersen dziękował głębokim przejętym wzruszeniem. „Właśnie dzisiaj—rzekł—56 lat ubiega od czasu kiedy jako ubogi chłopiec, z rodzinnego mego miasta Odensee przybyłem do Kopenhagi.“

Gdy się dowiedział, że jest mowa o pomniku, rzecz ta dała mu do myślenia. i obawiał się, czy krytyka zbyt ostro nie wystąpi; wielu bowiem daleko więcej niż on działało, a jednak nie wzniesiono im pomników. Obawa ta jednak ustąpiła, gdy ujrzał, jak ze wszystkich stron kraju datki na pomnik wpływać zaczęły. Szczególnie cieszyły go drobne datki, jako będące wymownym dowodem współczucia nawet najmniej zamożnych jego ziomków. Oświadczył następnie, iż nader mile go wzruszył wybór miejsca w Rosenburgskim ogrodzie zamkowym, gdyż ono przypomina mu pierwszą jego młodość. i ponieważ nieraz chodząc po nim jako młody chłopiec, z smutnem nosił się myślami i kupował sobie chleb u siedzącej tam przekupki, a teraz ma tam stać jego posąg. Nie wie, czy mu Opatrzność udzieli tyle sił, aby zobaczyć posąg już ustawiony, ale spodziewa się, że mu tyle przynajmniej danem będzie, iżby mógł obejrzeć miejsce nań obrane. Zakończył poeta prośbą, aby wszystkim jego ziomkom i przyjaciółom najserdeczniejsze od niego oświadczone podziękowanie. Oprócz tego postanowiono jako w 50 rocznicę jubileuszu autorskiego wydać niektóre utwory jego w przekładzie na obce języki. F. H. Lewestam redaktor „Wieku“ pospieszył z tłumaczeniem poetycznego utworu Andersena, który przesłany zaraz do Kopenhagi w dniu 2 kwietnia r. b. jako w uroczysty ten dzień wydrukowano w pomienionem

dziele. W krótkce otrzymał list następny od jednego z członków komitetu redakcyjnego, zajmującego się tém wydaniem polyglottowém. „Całkowity dochód z tego wydania, pisze p. Thoinsen, professor filologii porównawczej w uniwersytecie kopenhagskim, przeznaczony jest na powiększenie funduszu zakładu dobroczynnego, pod nazwą: *Domu dla dziatwy imienia H. C. Andersena*, który dość sporém już cieszy się uposażeniem. Oprócz tego ma się jeszcze wznieść pomnik, na który składki już są zamknięte. Książka podaną została staremu i bardzo teraz osłabionemu poecie przez deputacyę, a mamy na to niezbite dowody, że z pomiędzy wszystkich, niezliczonych oznak wdzięczności, jakimi w dniu tym go obsypano, polyglot „*Historii o Matce*“ był mu najmilszym. Prosił on wyraźnie, by od niego serdecznie kłaniano się i podziękowano w jego imieniu wszystkim współpracownikom, którzy tak życzliwie ręki doń przyłożyli i tak wielką w dniu tym sprawili mu radość.“ „Dziękuję panu, pisze dalej p. Thomsen, żeś mi przekład swój przesłał złożony; ułatwiłeś bowiem przez to pracy niemało i zecerom i mnie, jako korektorowi. Co do mnie, starałem się usilnie o należyte wywiązanie się z podjętego przez siebie trudu, a ponieważ języki słowiańskie znam nieźle, przeto śmiem mieć nadzieję, że mytek drukarskich pozostało niewiele. Największą biędę mieliśmy jednak z polskimi i czeskiemi czcionkami, gdyż cały zamiar wydawnictwa tego powstał tak prędko, że nie było już czasu kazać odléwać nowego pisma. tak iż musieliśmy się posilkować tém samém, jakim cała książka jest drukowana; skutkiem czego oczywiście przekłady polski i czeski nie wyszły w druku tak ładnie, jak inne. Ogółem udało się nam zebrać piętnaście języków.“

— *Fr. Miklosich w Teoryi form starosłowiańskich* (Altslovenische Formenlehre Wien 1874. Braumüller str. XXXV, 96 in 8-vo maj.) dowodzi, że dawnym językiem kościelnym była mowa Słowian pannońskich, nie zaś starobułgarski, z którego ukształtował się język cerkiewny. Narzeczce pannońsko-słowiańskiej przechowało się, zdaniem autora, w pomnikach frejzyngieńskich. W rozprawie znajdują się wzory odmian i teksty czerpane ze źródeł głagolickich.

— Staraniem akademii chorwackiej w Zagrzebiu, pod redakcyą p. *Sime Liubić'a* wyszedł 4-ty tom: Pomników do historii Słowian południowych, obejmujący lata 1358 do 1403 (*Monumenta spectantia historiam Slavorum meridionalium etc.* Agram 1874).

— Sprawa pisowni nietylko u nas jest przedmiotem kłopotów i utrapień: wychodzi ona obecnie na stół i w Niemczech. Podniósł ją najprzód Dr. Daniel Sanders, potem Towarzystwo pedagogiczne w Gorzelicach (Görlitz), które wydało odezwę do całej klasy nauczycieli o nadsyłaniu wniosków i planów; nareszcie ministerjum pruskie oświecenia narodowego, które poleciło professorowi Rud. Raumerowi zebrać zasady do utworzenia nowój pisowni niemieckiej. To ostatnie zlecenie będzie wykonane zapewne przez p. Raumera w kierunku radykalnym, gdyż przemawiający w jego imieniu Dr. K. Duden wspomina w swojej książce



p. t. *Die deutsche Rechtshreibung* o wyrugowaniu zbytecznych liter i połączeń, o wprowadzeniu znaków dla samogłosek krótkich i t. p.

— *Panna J. Mestorf*, zajmująca posadę kustosza muzeum archeologicznego w Kiel, wydała bardzo dokładne i gruntowne *sprawozdanie o ostatnim kongresie międzynarodowym archeologii i antropologii*, który zasiadał w *Sztokholmie* 7—16 sierpnia r. z. Autorka udzieliła wiele szczegółów o bogatych zbiorach archeologicznych Szwecyi.

— Sławny maestro niemiecki *Ryszard Wagner* nie poprzestaje na oklaskach wielbicieli „muzyki przyszłości;” chce jeszcze zająć wysokie, a przynajmniej szerokie miejsce w rządzie pisarzy i na półkach bibliotecznych. Wydał on teraz wszystkie *dziela* swoje w dziewięciu tomach (*Gesammelte Schriften*. Leipzig E. W. Fritsch).

— Do rzędu znakomitych publikacyj dla młodocianego wieku należą *Grimard'a* pogadanka botaniczna p. t.: *La Plante* i *E. Viollet-le-Duc*, *Historja jednej fortecy* (*Histoire d'une forteresse*). Tą fortecą jest *La Roche-Pont* w Burgundyi, pomiędzy *Langres* i *Dijon*. Autor zaczyna od owych czasów, kiedy to miasteczko było obozem ludzi przedhistorycznych, opowiada czasy galskie, opisuje rzymską twierdzę *Julianę*, znaczenie jej w czasie walki *Burgundów* z *Frankami*, potem zamek fendalny, szturm z armatami za czasów *Ludwika XI*, fortyfikacje *Vauban'a*, nareszcie bezsilność tych fortyfikacyi w obec wojsk pruskich w ostatniej wojnie. Styl i wykład jest przedziwny.

— *P. Louis Rousselet* spędził 6 lat w Indyach Wschodnich, a w ciągu tego czasu przebiegł koleją, powozem, na wielbładach lub słońiach około 12,000 wiorst, zwiedzając *Bombay*, *Dekkan*, *Gudżerat*, podnóża *Himalaj*, *Pendżab*, *Audh*, *Behar*, *Bengale*, *Orysę*, zdejmując widoki fotograficzne, wglądając we wszelkie szczegóły życia krajowców. Dziennik tych podróży stanowi wyborną charakterystykę kraju i mieszkańców. Znana z wytwornych i kosztownych wydawnictw firma *Hachette* wydała go z 317 pysznemi ilustracyami p. t.: *L'Inde des Rajahs*.

— Wyszła druga i ostatnia część II tomu (778 str. in 8-vo maj.) *Historji wojny siedmioletniej* *Arn. Schaefer'a* (*Berlin Hertz*). Autor nie pozostał przy wyświetleniu działań wojennych i stosunków dyplomatycznych. Znaczną rolę w tych stosunkach odegrwali *August III Sas* i *Kaunitz*.

— *Dr. Fr. von Bezold* w swoich *Studyach nad Husytyzmem* (*Zur Geschichte des Husitentums*. Kulturgeschichtliche Studie. München 1874. *Ackermann*) dowodzi, że potężny ów ruch religijno-wojenny, wynikł przeważnie z ducha i dążeń religijnych, nie zaś narodowych; że zatem walka z Niemcami nie była owocem nienawiści plemiennej *Słowian* do germanizmu, lecz że nienawiść ta wywiązała się w następstwie walki o zasady religijne.

— Jako curiosum notujemy, że w *Hiszpanii* przetłumaczono jeden dramat *Kalidasy* (*Vikramvasi*) wprost z sanskrytu. Tłuma-

czenia tego dokonał Don Francisco Garcia Aynso, biegły filolog, autor kilku studyów z dziedziny filologii indo-europejskiej.

— *Encyclopaedia Brytannica*, której pierwsze wydanie ukazało się w 1771 r. (nie długo po sławnej encyklopedyi francuzkiej d'Alembert'a i Diderota), przerabiana już po razy kilka, zaczęta wychodzić w nowém 9-tém wydaniu w 21 tomach. Na listę współpracowników zapisały się najgłośniejsze w nauce imiona: H. Rawlinson, prezes Towarz. Król. Geograficznego, badacz historii Wschodu, W. Wilson Hunter, dyrektor naczelny statystyki Indyów Wsch., Palgrave podróżnik po Arabii, Max Müller filolog, S. Birch, kustosz wydziału Starożytności Wschodnich w Muzeum Brytańskim, Whitney prof. Sanskrytu w New-Haven w Stanach Zjednoczonych, Taylor, antropolog, Huxley zoolog i. t. d.

✠ Na początku kwietnia r. b. w Lozannie zakończył życie *Ludwik Orpiszewski* znany pisarz w literaturze naszej pod pseudonimem *Ludwika z Krzewia*. Wychowaniec uniwersytetu warszawskiego, oprócz drobniejszych prac wydał oddzielnie: 1) „Wędrowkę po Wielkopolsce i Mazowszu“ Powieść. (Paryż 1838 r.) 2) „Pułkownik czyli losy dwóch kolegów szkolnych w dwóch częściach“ (Paryż 1858 r.) 3) „Mikołaj Zembrzydowski. Dramat w pięciu aktach“ (Poznań nakład J. K. Żupańskiego 1872 r.) Była to ostatnia praca tego zacnego pisarza od wielu lat spoczywająca w rękopiśmie. Śpiewak *Błogosławionej* na rękopiśmie tego dramatu po przeczytaniu go we Florencyi 1863 r. napisał wiersz do ś. p. Orpiszewskiego, którego początek:

„Ludwiku! jeśli tobie czasy starodawne  
I tajemnice Polski tak na oczy jawne;  
Jeżeli tobie szlachta cała się spowiada,  
Jeśli milcząca дума grzechy swoje gada:  
To przyzwij w pomoc Skargę i swojemu wieku  
Mów prawdę, jak przystoi swobodnemu człeku.“

(Rozbiór tego dramatu podaliśmy w Bibliotece Warszawskiej, w T. 1 z r. 1873).

**Sprostowanie.** „W zeszytcie kwietniowym z r. b. na str. 134, wiersz 21: zamiast *artykułowoy* czytaj *artykułowany*. Na str. 135 wiersz 7 zamiast *nieznany* czytaj *nizany*. Na str. 133 wiersz 10 zamiast *w nich* czytaj *w niej*. Na str. 140 wiersz 27 zamiast *filozofii klasycznej* czytaj *filologii klasycznej*. Na téjże stronicy, w wierszu 24, przecinek winien stać po wyrazie *owoce*, nie zaś po *doniosłe*, jak wydrukowano.“

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcioki.**

Wydawca **Józef Berger.**

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Апрелья 1875 года.